www.tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 17 (1059)
20-26.04.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Andrzej Romanowski
Ach, jaka piękna katastrofa!
Refleksje pesymisty

Horror w domach pomocy społecznej

Na plecach listonoszy do władzy

Stulecie Niebieskich z Chorzowa

MÓWIĄ JEDNO, ROBIĄ DRUGIE

WIRUS PROPAGANDY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
17 >
9 771509 311003

SKLEP TYGODNIKA PRZEGLĄD

ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI

Nudzisz się?

W naszym sklepie internetowym znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz!

PRENUMERATA ELEKTRONICZNA TYGODNIKA
Miesięczna 12,90 zł, kwartalna 39,90 zł, półroczna 69,90 zł, roczna 119,90 zł

E-WYDANIA PRZEGLĄDU
Aktualne i archiwalne numery tygodnika

KSIĄŻKI
Między innymi z cyklu Historia bez IPN

E-BOOKI
Już od 14,90 zł

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

eprasa.pl 121512869e

CYTATY

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA,
kandydatka na prezydenta RP
My nie mamy prezydenta. Wiemy to od kilku lat.
„Magazyn Świąteczny GW"

MAREK BELKA,
europoseł, były premier
Po epidemii inflacja może stać się problemem numer jeden.
„Rzeczpospolita"

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA,
przełożona Wspólnoty „Chleb Życia"
Naprawdę można być dobrym katolikiem, nie święcąc jajek wielkanocnych.
„Polska The Times"

JAVIER CERCAS,
pisarz hiszpański
Bez ironii nie ma demokracji.
„Forum"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Kto zostanie Brutusem

Minister Łukasz Szumowski nie zawiódł prezesa Kaczyńskiego. Wolał rozczarować tych telewidzów, którzy widzieli w nim lekarza troszczącego się przede wszystkim o zdrowie Polaków. Bardzo sprawna autokreacja wyniosła go na szczyty popularności. Spośród polityków to on cieszył się największą wiarygodnością. Bo umiejętnie budował zaufanie do siebie. Swoimi występami medialnymi trafnie odpowiadał na naturalne w czasach epidemii oczekiwania społeczne. Ludzie szukali autorytetu, który zmniejszyłby ich strach przed niewidzialnym, a groźnym wirusem. Szukali i w osobie Szumowskiego taki znaleźli.

Spodziewali się jednak, że podobnie jak zdecydowana większość lekarzy i autorytetów medycznych minister zaprotestuje przeciw szaleńczym planom Kaczyńskiego, który chce w maju zorganizować wybory prezydenckie. Polacy, ufając Szumowskiemu, widzieli w nim tego, kto stanowczym protestem zatrzyma tę spiralę absurdu. Ludzi uwiedzionych przez Szumowskiego spotkała przykra niespodzianka. Zamiast dobrotliwego lekarza zobaczyli twardego i bezwzględnego polityka. Niczym nieróżniącego się od innych graczy i grajków politycznych.

Szumowski do polityki trafił z własnego wyboru. Poszedł tam, gdzie mu najbliżej z jego poglądami, które – delikatnie mówiąc – są bardzo wychylone w prawo.

I jako frontowy polityk partii rządzącej zrobił w chwili próby to, czego od niego oczekiwał prezes Kaczyński. Zna prezesa na tyle dobrze, że wie, co trzeba zrobić, by go zadowolić. I że jak trzeba sobie przy tym pobrudzić ręce, to trudno. Taki jest koszt osobisty bycia ministrem. A Szumowski lubi to zajęcie, zwłaszcza lubi brylowanie w mediach.

Jest chyba wśród ministrów zdrowia rekordzistą świata. Gdyby policzyć jego występy, wywiady, konferencje prasowe, można by się zastanawiać, kiedy ma czas na żmudną i czasochłonną pracę organizatorską. Efekty takiego stylu pracy widać w szpitalach i w tym, jak marnie pracownicy służby zdrowia są zaopatrzeni w podstawowy sprzęt ochronny. Nie znam żadnych pochlebnych opinii tego środowiska na temat pomocy, jaką otrzymuje ono ze strony ministra zdrowia. By przerwać powszechną krytykę bałaganu i braku działań, zakazano lekarzom, pielęgniarkom i ratownikom wypowiedzi dla mediów.

Kaczyński jeszcze trzyma to swoje szemrane towarzystwo twardą ręką. Jeszcze się go boją. Ale uścisk ma już nie taki jak wcześniej. Zobaczymy, czy nie znajdzie się kilku posłów z obozu rządzącego, którzy nie poprą bezsensownego i niebezpiecznego dla zdrowia Polaków głosowania korespondencyjnego.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 121512869e

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

8 **Po pierwsze, propaganda**
Patologia polskiego życia politycznego

KRAJ

10 **Czy politycy w Europie zdali egzamin?**
– rozmowa z prof. Janem Zielonką
14 **Horror w DPS-ach**
Zostawieni sami sobie
18 **Na plecach listonoszy do władzy**
Wciągnięci w polityczne rozgrywki
22 **PiS dobija państwo, które miało wzmocnić**
– rozmowa z dr. Łukaszem Pawłowskim
26 **Zwolnienia pod specjalnym nadzorem**
Pracownicy transgraniczni bez zarobku
48 **Biegłość w języku obcym jest przereklamowana**
– rozmowa z Jagodą Ratajczak

ZAGRANICA

28 **Team Canada daje radę!**
Korespondencja z Kanady
30 **Uchodźcy bezbronni wobec epidemii**
Zamknięci w przepełnionych obozach
32 **Słowacy to prymusi w walce z koronawirusem**
Sztywne zasady zdają egzamin
35 **Święta bez pielgrzymów**
Puste miasto Jerozolima
38 **Technokrata zamiast wojownika**
Nowy lider brytyjskiej Partii Pracy

HISTORIA

40 **Morderca na pomniku**
Zbrodnie „Wołyniaka"

SPORT

44 **Legenda bez końca**
Stulecie Niebieskich z Chorzowa

KULTURA

52 **Pandemia sztuki online**
Muzea na wyciągnięcie ręki
54 **Qulturalia**
66 **Filmy o sztuce i artystach**

EKOLOGIA

56 **Suchy świat**
Woda droższa od coca-coli?

OBSERWACJE

58 **Być jak sowa**
Ptaki jedyne w swoim rodzaju

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Kto zostanie Brutusem
13 **Andrzej Romanowski**
Ach, jaka piękna katastrofa!
21 **Jan Widacki**
Jak zwalczać cholerę?
43 **Roman Kurkiewicz**
Zmaseczkowani
51 **Tomasz Jastrun**
Bal maskowy
55 **Wojciech Kuczok**
Słowem w mór

35
ZAGRANICA

ŚWIĘTA BEZ PIELGRZYMÓW

Puste miasto Jerozolima

48
WYWIAD

BIEGŁOŚĆ W JĘZYKU OBCYM JEST PRZEREKLAMOWANA

– rozmowa z Jagodą Ratajczak

58
OBSERWACJE

BYĆ JAK SOWA

Ptaki jedyne w swoim rodzaju

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER/EAST NEWS, ADOBE STOCK

eprasa.pl 121512869e

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Prof. Andrzej Romanowski
Klerykalizm i antykomunizm PiS wzięły się z Solidarności

Azjaci w Polsce,
czyli rasizm w dobie pandemii

Arabscy i żydowscy lekarze razem przeciwko wirusowi

10 lat kłamstwa smoleńskiego

Dziękuję za wspomnienia o osobach związanych z lewicą, które zginęły w katastrofie smoleńskiej. Niestety, mam wrażenie, że lewica nie podniosła się po ich stracie. ICH nie da się tak po prostu zastąpić.

Aleksandra Komorowska

Komu więcej swobód?

Wychodząc spod rządów PRL, nie przypuszczałem, że wkrótce doświadczę także represyjnych rządów prawicy. Nie kwestionuję tu większości racjonalnych ograniczeń swobód obywatelskich na czas walki z epidemią koronawirusa. Uważam je za zasadne i konieczne. Nie mogę jednak akceptować rozporządzeń niemądrych, mających cechy znęcania się nad obywatelami. Przykład: przyznano psom (i przy okazji ich właścicielom) prawo do korzystania ze spacerów zdrowotnych. Natomiast pozbawiono tego samego prawa pozostałych obywateli. W tym tę ich grupę, której lekarze zgodnie zalecają spacery zdrowotne poza domem, a więc rekonwalescentów i chronicznie chorych. Psy są ważniejsze niż obywatele?

Równie bulwersujące jest to, że obecna prawicowa administracja Lasów Państwowych odcięła się od takich potrzeb społeczeństwa i stała kolejnym działem aparatu ucisku, ogłosiwszy zakaz wstępu obywateli do wszelkich lasów, nie tylko do ich zbytnio uczęszczanych fragmentów podmiejskich. Zauważmy, że jest to odcięcie dostępu do prawie jednej trzeciej obszaru kraju, i to najzdrowszej, gdyż niepenetrowanej ani przez tłumy ludzi, ani przez wirusa. Najdogodniejszej do rekonwalescencji! A gdzie szacunek dla suwerena?

Prof. dr hab. Ludwik Tomiałojć

Wybory

Gdyby w odpowiednim czasie Ziobro i Kamiński zostali pociągnięci do odpowiedzialności za łamanie prawa i nadużywanie uprawnień, ta ekipa zastanowiłaby się kilka razy przed podjęciem tego typu działań. A może i każda inna.

MS

Wirusa ci dostarczymy

W najbliższych dniach może dojść do wybuchu zakażeń w Lublinie. Chodzi o aktywność kominiarzy sprawdzających przewody kominowe w blokach mieszkalnych. W tych dniach zapowiedziano wizyty kominiarzy w wieżowcu na osiedlu Nałkowskich (a administrująca tym blokiem spółka Ad-Bud zajmuje się znacznie większą liczbą nieruchomości). Czy ktoś wyłączył myślenie, czy też stara się nadać nową treść rządowemu hasłu: „Zostań w domu – wirusa ci dostarczymy”?

Janusz Polanowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

FOT. WORLD PRESS PHOTO/TOMEK KACZOR

Ewa, Ormianka, która obudziła się z katatonii. World Press Photo, I miejsce w kategorii portret. Autor, Tomasz Kaczor, jest freelancerem, animatorem kultury, edukatorem. Zdjęcie Polaka, pierwszy raz w historii konkursu, było także nominowane do Zdjęcia Roku.

eprasa.pl 121512869e

Badacze z Instytutu Chemii Bioorganicznej Polskiej Akademii Nauk w Poznaniu **stworzyli pierwszy polski test genetyczny do wykrywania wirusa.** Test wyprodukują trzy polskie firmy. Jeden ma kosztować 53 zł.

Ks. Zbigniew Wyka, proboszcz parafii w Mierzynie, 69 120 zł z funduszy zebranych na budowę nowego kościoła przeznaczył na zakup dwóch respiratorów dla Szpitala Klinicznego nr 1 w Szczecinie.

Reporterka Katarzyna Kobylarczyk i debiutantka Joanna Gierak-Onoszko znalazły się w finale 11. Nagrody im. Kapuścińskiego za reportaż literacki.

Jan Zając z warszawskiego XIV LO im. Stanisława Staszica jest pomysłodawcą bezpłatnych korepetycji z nauk ścisłych dla dzieci pracowników służby zdrowia. Pomoc zadeklarowało ponad 500 osób – uczniów, studentów i nauczycieli.

Rośnie produkcja wina w Polsce. W sezonie 2018/2019 230 zgłoszonych do ewidencji KOWR producentów wina wyprodukowało 12 716 hl wina, w tym 7761 hl wina białego.

Na 6777 ha uprawia się w Polsce konopie włókniste, najwięcej w województwie warmińsko-mazurskim – na 2868 ha.

Premier Mateusz Morawiecki (PiS) w towarzystwie wicepremiera Sasina powitał na lotnisku transport z maseczkami, kombinezonami ochronnymi i przyłbicami, który na pokładzie największego samolotu transportowego na świecie przyleciał z Chin. **W Czechach trzy tygodnie temu ten samolot z chińskim sprzętem witała obsługa lotniska.**

Marlena Maląg, minister rodziny, pracy i polityki społecznej (PiS), zamiast zająć się dramatyczną sytuacją w domach opieki, przerzuca odpowiedzialność, na kogo się da. Jej zdaniem winne są samorządy, lekarze i pielęgniarki. A naszym? Tylko jej dymisja może zakończyć tę kompromitację i uratować życie pensjonariuszom tych placówek.

Konstanty Radziwiłł, wieloletni nieudany minister zdrowia w rządzie PiS, a obecnie z nominacji tej partii wojewoda mazowiecki, kompletnie nie radzi sobie z sytuacją w podlegających mu szpitalach.

Ponad 11 tys. kierowców straciło w ciągu pierwszych trzech miesięcy tego roku **prawa jazdy z powodu przekroczenia dozwolonej prędkości o 50 km/h.**

Zofia Klepacka, windsurferka o skrajnie prawicowych poglądach, w wielkanocną niedzielę o godz. 7 rano odpalała petardy i krzyczała: „Zmartwychwstał! Jezus zmartwychwstał!”. Przydałby się patrol policji i alkomat.

PRZEBŁYSKI

Są wybory, jest znaczek

Wszyscy wiedzą, że wybory w maju to szaleństwo. Ale na prawicy bardziej od wirusa boją się prezesa K. Bo jak prezes czegoś chce, to ma. Albo ma mieć. Na przykład wybory korespondencyjne. Z pomysłu Kaczyńskiego najbardziej radują się listonosze. Choć trochę się martwią, czy Poczta Polska zdąży wypuścić na wybory specjalny znaczek. I czy prezes będzie zadowolony z wybranego zdjęcia.

Książę Lubomirski, a może nawet król

Na prima aprilis niektóre gazety próbują oszukać czytelników. Myśleliśmy, że 1 kwietnia taki żart zrobiła „Gazeta Polska” z Jana Lubomirskiego. Napuszonego megalomana, który łyka najgłupsze komplementy jak kura pszenicę. Już pierwsze pytanie Sylwii Kołodyńskiej było primaaprilisowe: „Czy powinnam się zwracać do Pana – Książę?”. Ale cała rozmowa była w dworskim dygu z przykucem. Bla, bla. O genie wybitnych wodzów, mecenacie artystycznym, podarowanych kolekcjach, konstytucji rodu itd.

Lubomirski udanie udawał głupka, który nie słyszał o katorżniczej pracy tysięcy ludzi, o ich okropnej biedzie, o pańszczyźnie, która w Polsce należała do najbardziej nieludzkich w Europie, ani o pasożytach z tytułami, które konstytucja zniosła w 1921 r. Ale czego można oczekiwać od kogoś, kto porównuje swój tytuł książęcy z księciem Karolem. I pewnie myśli o koronacji (nie mylić z koronawirusem).

Omijajcie Siemianowice Śląskie

Kiedy mieszkańcy Siemianowic Śląskich wybrali sobie na prezydenta Rafała Piecha na drugą kadencję, i to z wielkim, bo 84-procentowym poparciem, na coś pewnie liczyli. Niechybnie na wsparcie Niepokalanego Serca Maryi, które im Piech obiecał w kampanii. Od Mateusza Cieślaka z „Nie” wiemy, że Piech wybrał Maryję, ponieważ „była mieszkaniem Chrystusa”. Z Panem Bogiem Piech rozmawiał osobiście na jednym ze szczytów w Beskidach. A potem również osobiście przekazał Matce Boskiej mosiężny klucz z napisem: „Klucz do bram miasta”. Prawda, że trudno w to uwierzyć? A mieszkańcy Siemianowic Śląskich uwierzyli. Niestety, Matka Boska chyba nie polubiła Piecha. Wirus szaleje w jego mieście jak wszędzie.

Słowa jak ptaki

Jak się przechodzi do historii kabaretów politycznych? Celnymi słowami. Mimika też musi być jak trzeba.
W styczniu Donald Trump powiedział, że „Stany Zjednoczone są silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej”. Widzimy, widzimy.
A w lutym Michał Karnowski z tygodnika „Sieci” ogłosił, że „jeszcze kilka lat takiego rozwoju i znajdziemy się w europejskiej ekstralidze”. Jako ludzie małej wiary pytaliśmy, co sądzi o tym Europa. Niestety, do tej pory nie trafiliśmy na kogoś, kto słyszał, że nadchodzi nowy czempion Europy. I co gorsza, nikt tam nie słyszał o Karnowskim.

FOT. YOUTUBE (2), A-MEM

eprasa.pl 121512869e

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czego się nauczyłam/łem w czasie kwarantanny?

GRAŻYNA BARSZCZEWSKA,
aktorka, reżyserka i piosenkarka

Niby teoretycznie o tym wiedziałam, ale przekonałam się w praktyce, że nie muszę latać jak z pieprzem i że świat się kręci także bez mojej aktywnej obecności. A ja, siedząc na czterech literach, jakoś do tej pory się nie nudzę.

SYLWERIUSZ KRÓLAK,
Fundacja Praw Obywatelskich

Dla mnie największą nauką z okresu przymusowego odosobnienia jest przykładanie jeszcze większej wagi do zasady mówiącej, że umów należy przestrzegać. Mam na myśli to, że wszelkie umowy zawieramy nie na czas, kiedy jest dobrze, ale na taki, kiedy jest źle. Najistotniejszą społecznie umową jest konstytucja; ponieważ została przyjęta w referendum, jest najpełniejszym wyrazem woli suwerena. Zwłaszcza w ciężkich czasach, jakie obecnie przeżywamy, zasady zapisane w konstytucji powinny być nienaruszalne, gdyż stabilizują one nasze państwo. Jednocześnie są drogowskazem pokazującym zarówno społeczeństwu jako całości, jak i każdemu z nas jako obywatelowi drogę powrotu do normalności. To chyba najważniejsze przekonanie, jakie wynoszę z sytuacji, którą w skrócie myślowym nazywamy kwarantanną.

PAULINA PIECHNA-WIĘCKIEWICZ,
Wiosna

Nauczyłam się, że trudno funkcjonować bez obecności rodziny i przyjaciół. Nie spotykam się m.in. z rodzicami, a ponieważ widywaliśmy się kilka razy w tygodniu, jest to dla mnie i dla moich dzieci bardzo ciężkie. Z bardziej przyziemnych spraw: tak jak wiele Polek i Polaków oraz ludzi na całym świecie wzbogaciłam zdolności w zakresie pracy zdalnej i widzę, że również po epidemii mogłoby tak pracować więcej osób, niż dotychczas myślano. Przekonałam się też niestety, jak wprowadzone obostrzenia, choć potrzebne, mogą wpływać na bezpieczeństwo osób dotkniętych przemocą domową czy mieszkających samotnie. I niezależnie od tego, jak bardzo uważamy się za społeczeństwo solidarne, do końca jeszcze nim nie jesteśmy.

RADOSŁAW S. CZARNECKI,
działacz społeczny

Zawsze byłem zdystansowany do rzeczywistości, ale teraz nabrałem jeszcze większego dystansu, zwłaszcza do tego, co się dzieje w Polsce. Bo kiedy porównuję sytuację u nas i na świecie, to tym bardziej zdaję sobie sprawę, że jesteśmy prowincją – przede wszystkim intelektualną.

SZYMON TALAREK,
uczeń CLVII LO w Warszawie

Nauczyłem się w domu więcej, niż nauczyłbym się w szkole, musząc chodzić na lekcje z przedmiotów, których nie zdaję na maturze. Obecnie mogę się skupić praktycznie tylko na przedmiotach maturalnych, zamiast na tych mniej dla mnie ważnych.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

MAREK SOSKA

Jak jeszcze dokładniej segregować odpadki. Staram się wychodzić osobno z każdą frakcją w trzygodzinnych odstępach.

BRUNO SKALSKI

Jak zrobić drinka z coli i spirytusu rektyfikowanego.

AGNIESZKA ZAWADZKA

Doceniać...

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 121512869e

Po pierwsze, propaganda

Epidemia koronawirusa pokazała z całą ostrością patologię polskiego życia politycznego

Robert Walenciak

Powitanie transportu sprzętu ochronnego z Chin, 14 kwietnia br.

Rzecz jest prosta i oczywista – w czasie kryzysu społeczeństwa potrzebują przywództwa. Instynktownie szukają lidera, wodza na polu bitwy, który ramię w ramię z walczącymi – bo taki jest europejski zwyczaj – zmaga się z wrogiem.

Tymczasem w Polsce mamy sytuację wyjątkową. Postać numer 1 w polityce udaje, że jest zwykłym posłem, i umywa ręce od wszystkiego. Poza tym wszem wobec pokazuje, że jest ponad prawem i ponad wszystkimi. Wjeżdża limuzyną z ochroniarzami na Powązki, choć nikt tam nie wjeżdża. Jakby ten „zwykły poseł" chciał pokazać nam wszystkim, co może. Psując napisany przez siebie scenariusz – że rządzą prezydent, premier, ministrowie.

A oni tylko odgrywają te role. Bo przecież przywódcami nie są. Prezydent przebrany w mundurek jeździ po Polsce, premier przyjmuje uroczyście samolot z Chin, organizując na lotnisku konferencję prasową. Obaj chcą być ważni, ale są śmieszni. Polacy zostali sami.

•

To element podstawowy w naszym postrzeganiu państwa i społeczeństwa – przywódca w czasach kryzysu, w godzinie próby, musi być z narodem. Jest wiele tego przykładów, ograniczmy się więc do kilku.

W czasie II wojny światowej, mimo bombardowań Londynu, król Jerzy VI nie wyprowadził się z pałacu Buckingham. To był oczywisty gest solidarności z narodem. Podobnie jak zastosowanie się do rygorów wojennych – np. do racjonowania wody. Razem z królem w Londynie została jego rodzina. Gdy wybuchła wojna, proponowano królewskim córkom, Elżbiecie i Małgorzacie, wyjazd do Kanady. Na co odpowiedziała królowa: „Dzieci nie pojadą beze mnie. Ja nie opuszczę króla. Król nigdzie nie wyjedzie".

Polska podczas II wojny światowej. Okupowany kraj uwielbiał gen. Sikorskiego, który stał na czele walczących (u boku aliantów) oddziałów. A jednocześnie z pogardą traktowano marsz. Rydza-Śmigłego, byłego naczelnego wodza, który uciekł do Rumunii.

Przejdźmy do czasów powojennych. W roku 2002 wszystko wskazywało, że w wyborach w Niemczech klęskę poniesie SPD kanclerza Gerharda Schrödera, a władzę przejmie CDU, która w sondażach miała dużą przewagę. Ale latem wschodnie Niemcy nawiedziła powódź. Schröder zaangażował się w pomoc, odwiedzał zalane miasteczka, nosił worki z piaskiem, nie zdejmował gumowców. I dosłownie o włos przeskoczył kandydata chadeków Edmunda Stoibera.

Te przykłady pokazują, czego obywatele w Europie oczekują od swoich przywódców. Że bardzo ważne jest dla nich poczucie wspólnoty, wspólne znoszenie niewygód, wspólna walka z przeciwnościami. Przywódca musi być z narodem, a nie ponad nim.

•

A jak jest w Polsce podczas epidemii? Dziś na całym świecie rządzący zajmują się *de facto* dwoma sprawami. Po pierwsze, jak zwalczyć epidemię. A po drugie, jak uchronić gospodarkę przed katastrofą. W Polsce natomiast władza zajmuje się wyborami prezydenckimi. Chachmęci przy tym, łamiąc orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego i samą konstytucję. Wszystko po to, by na kolejną kadencję prezydentem został Andrzej Duda.

Inne sprawy, takie jak walka z pandemią czy ratowanie gospodarki, są na drugim planie. Tu mamy, z jednej strony, wielkie zaniedbania i błędy, a z drugiej – *show*. Spółki skarbu państwa zrzuciły się na zakup materiałów ochronnych i przyleciały one do Polski specjalnie wynajętym największym samolotem świata. Wynajem kosztował 12 mln zł. Koszt dostarczenia ładunku był więc dziesięć razy większy, niż gdyby przyleciał on normalnymi samolotami. Ale co tam koszt. Samolot witali premier Morawiecki i wicepremier Sasin, uroczystość (tak to oficjalnie nazwano!) transmitowała telewizja publiczna.

•

A prawdziwa twarz władzy? Jeżeli ktoś miał jakieś wątpliwości, jak ona wygląda, wystarczyło popatrzeć, jak PiS obchodzi rocznicę katastrofy smoleńskiej. Składanie wieńców przed pomnikami na placu Piłsudskiego w Warszawie – sami ważni partii rządzącej pod czujnym okiem prezesa, jeden obok drugiego. I scena druga – Jarosław Kaczyński w asyście ochroniarzy wjeżdża limuzyną na Cmentarz Powązkowski, by złożyć kwiaty na grobie matki. Wjeżdża – bo chce.

Działo się to w dniach, kiedy rząd PiS nałożył na Polaków faktyczny zakaz wychodzenia z domów, żeby wzajemnie się nie zarażali. A jak już wyjdą, obowiązuje ich zakaz zgromadzeń

eprasa.pl 121512869e

i zbliżania się na odległość mniejszą niż 2 m. Na ten czas zamknięte zostały również cmentarze. Nikt nie mógł odwiedzić grobów bliskich.

Miliony Polaków do tych obostrzeń się zastosowały. Zwłaszcza że niezdyscyplinowanych policja karała mandatami. I nagle oni wszyscy zobaczyli na ekranach telewizorów, że jest w tym kraju grupa, której ograniczenia nie dotyczą, która jest ponad prawem.

Jak zrozumieć tę ostentację? Czyżby Jarosława Kaczyńskiego, bo to on tym wszystkim kierował, zaślepiła pycha? A może powodowała nim chęć pokazania innym, kto tu jest panem? Wołał przecież swego czasu w Sejmie: jesteśmy dobrymi panami! Może uważał, że on, jako władca, może robić, co chce? Czyli uznał, że w Polsce obowiązuje wschodni model sprawowania władzy. A może odczucia milionów po prostu go nie obchodzą?

Tak czy inaczej zobaczyliśmy, że władza jest nie z narodem, ale ponad nim. I o żadnej wspólnocie nie ma mowy.

•

Teoretycznie przywódcą na czas epidemii powinien być generał od zdrowia, czyli minister Łukasz Szumowski. I na pierwszy rzut oka tak jest – minister występuje na konferencjach prasowych i jego popularność ostatnio wręcz wystrzeliła w górę. Tylko że nawet średnio zainteresowani polityką wiedzą, że firmuje on własną twarzą coś, na co ma niewielki wpływ.

Jako anegdotę warto przypomnieć, że PiS jeszcze nie tak dawno jego stanowiskiem handlowało. Jak wyjawił Tomasz Grodzki, zaraz po wyborach parlamentarnych to obecnemu marszałkowi Senatu proponowano resort zdrowia w zamian za porzucenie PO. Grodzki ofertę odrzucił. I tak PiS zostało z Szumowskim.

Dziś jest inna sytuacja. Polacy słuchają jego konferencji, na których zapowiada a to obostrzenia, a to poluzowanie. Ostatnio zapowiedział obowiązek chodzenia w maseczkach. Od 16 kwietnia. Do czasu opracowania szczepionki. Czyli, realnie rzecz biorąc, pewnie co najmniej rok.

Historię z maseczkami warto zresztą przypomnieć. 24 stycznia potwierdzono pierwszy przypadek zakażenia w Europie. A 29 stycznia, po wezwaniach opozycji (wyśmiewanych przez rządzących), zebrał się w Ministerstwie Zdrowia sztab antykryzysowy. Wtedy już było wiadomo, że gdy nadejdzie epidemia, potrzebne będą środki dezynfekujące, maseczki, rękawiczki jednorazowe, stroje ochronne itd. No i testy do diagnozowania koronawirusa.

Ale rząd do takich spraw nie miał głowy. 30 stycznia główny inspektor sanitarny Jarosław Pinkas mówił: „Zagrożenie zarażeniem koronawirusem jest bliskie zeru". Michał Dworczyk, szef kancelarii premiera, zapewniał, że państwo przygotowało się na każdy rodzaj zagrożenia. Minister Szumowski był zaś na nartach we... Włoszech. A 12 lutego Polska Agencja Inwestycji i Handlu chwaliła się, że pomogła polskiej firmie sprzedać 16 tys. maseczek do Chin.

Ba! Sam minister Szumowski w lutym w radiu RMF FM mówił, że maseczki nie chronią przez zakażeniem. W tym samym czasie lekarze przyjmowali pacjentów, praktycznie nie mając żadnych środków ochrony: maseczek, rękawic, gogli, kombinezonów. I to oni znaleźli się w grupie najczęściej zarażanych (co siódmy zarażony to pracownik służby zdrowia) i sami zaczęli zarażać.

Co na to minister Szumowski? Odpowiadał, że to wina dyrektorów szpitali, którzy powinni wcześniej sprzęt ochronny zakupić. Może w normalnych czasach, ale nie w czasach zarazy! A państwo (czyli minister Szumowski) najpierw przez długie tygodnie nic w sprawie maseczek nie robiło, potem opowiadało, że to coś niepotrzebnego, a teraz okazuje się, że maseczki są obowiązkowe.

Minister przez długie tygodnie zapowiadał, że po Wielkanocy powie Polakom, czy wybory 10 maja będą bezpieczne, czy nie. I co? Powiedział tyle, że normalne wybory mogą się odbyć za dwa lata, ale głosowanie korespondencyjne jest bezpieczniejsze. W ten oto sposób Łukasz Szumowski zmienia się w aparatczyka. Takiego, który powie wszystko, pod warunkiem że nie będzie to sprzeczne z wolą prezesa. Taką ma granicę wolności.

•

A jaką granicę wolności ma Mateusz Morawiecki? Nie większą. W ekipie rządzącej przejął rolę odpowiedzialnego za gospodarkę, to on trzyma tarczę antykryzysową, którą ma osłaniać przedsiębiorców. To on zwołuje kolejne konferencje prasowe, podczas których opowiada o miliardach, jakie wepchnie, by rozruszać gospodarkę i pomóc biznesowi.

Wizyta Jarosława Kaczyńskiego na Powązkach, 10 kwietnia br.

Często w tych konferencjach uczestniczy prezydent Andrzej Duda. Wiadomo dlaczego – prowadzi kampanię, więc trzeba go pokazywać.

To są oczywiście propagandowe czary-mary, prezydent nie jest od kreowania polityki gospodarczej, to nie jego kompetencje, ale sprawa rządu i parlamentu. Podobnie propagandowymi bajkami były tzw. wizyty gospodarcze, które prezydent składał w marcu. W rafinerii Jedlicze przyglądał się, jak nalewany do kanistrów jest płyn dezynfekujący, w Garwolinie wizytował tamtejszy szpital. A witał go ubrany w strój ratownika pogotowia dyrektor tego szpitala, radny PiS.

Niektórzy więc zaczęli wołać, że oto rodzi się nam grupa rekonstrukcyjna gospodarskich wizyt Edwarda Gierka. Ale to nieprawda, wizyty Gierka były

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 121512869e

bardziej autentyczne. No i można było w ich trakcie coś załatwić.

Ostatnią inicjatywą Morawieckiego było ogłoszenie, że polska gospodarka będzie odmrażana. A konkretnie? Będzie już można wejść do lasu. Poza tym nic nie wiadomo. Jak czytamy w „Rzeczpospolitej", „rodzice nie dowiedzieli się, kiedy ich dzieci wrócą do szkół, przedszkoli i żłobków. Biznes nie dowiedział się, kiedy ich interesy będą mogły ruszyć. Pracownicy nie usłyszeli, kiedy wrócą do pracy. (…) I nie byłoby zaskakujące, że władza nie chce przedstawić konkretnych terminów odmrożenia życia Polaków, gdyby nie to, że ta sama władza jest pewna, że wybory prezydenckie mogą odbyć się za ponad trzy tygodnie. PiS nie chce ryzykować życiem i zdrowiem Polaków, kiedy mowa o gospodarce i opiece nad dziećmi, ale już nie ma skrupułów ryzykować, gdy chodzi o zapewnienie reelekcji prezydentowi Andrzejowi Dudzie w maju". Żeby władzy raz zdobytej nie oddać nigdy.

Innymi słowy, są w Polsce sprawy drugorzędne, takie jak odmrażanie gospodarki i koronawirus, i pierwszej wagi – jak reelekcja Dudy, a przede wszystkim dobre samopoczucie Jarosława Kaczyńskiego. Niby o tym wiedzieliśmy, ale wydarzenia z czasów epidemii pokazały to z całą ostrością.

Robert Walenciak

Rozmawia Robert Walenciak

Panie profesorze, jak w czasie pandemii reagują Europejczycy? Czyich słów słuchają? Na kogo patrzą?

– Na lekarzy i na pielęgniarki. Politycy są w cieniu. To jest pole walki, na którym umierają tysiące ludzi. A ta walka trwa w szpitalach, nie w gabinetach ministrów.

Lekarze, dyrektorzy szpitali zastąpili polityków?

– Nie zastąpili. Ale uwaga skupia się na tych, którzy mają w rękach instrumenty ocalenia ludzi. I chodzi nie tylko o tych, którzy są chorzy, bo skala zachorowań tu, we Włoszech, jest tak ogromna, że w taki czy inny sposób dotyka to praktycznie wszystkich. Dlatego rozumiem, że w Polsce ludzie bardziej słuchają dzisiaj ministra Szumowskiego, chociaż jest nie epidemiologiem, tylko kardiologiem, niż prezesa z Nowogrodzkiej. Tak samo w Stanach Zjednoczonych dr Anthony Fauci, dyrektor Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Zakaźnych, ma poważanie większe niż prezydent. Ale nie oznacza to, że lekarze powinni podejmować za polityków decyzje. I nie jest tak, że politycy mogą się zasłonić, dziś czy jutro, jakimiś podpowiedziami lekarzy. W demokracji decyzje podejmują ci, którzy zostali wybrani i którzy są politycznie odpowiedzialni.

Słucha ekspertów, nie ucieka od odpowiedzialności

Jak na tym tle wypada premier Giuseppe Conte?

– Uważam, że postępuje właściwie. Słucha ekspertów, ale nie ucieka od odpowiedzialności politycznej, mówi: oni mi doradzają, a ja decyduję. To wzbudza zaufanie. Podjął parę trudnych decyzji. Włochy były przecież pierwszym w Europie krajem, który wirus dopadł tak potwornie. Wyobraźmy sobie, że Włochami rządziłby dziś Matteo Salvini. To byłaby tragedia.

A wydawałoby się, że Salvini, prawicowy populista, w takim momencie powinien się czuć jak ryba w wodzie, podczas gdy Giuseppe Conte, profesor z uniwersytetu, zupełnie odwrotnie.

– Salvini kompletnie zszedł ze sceny. Spadają mu wyniki popularności. Ludzie odwracają się od niego. Okazało się, że jest tylko demagogiem, że realnych problemów nie rozwiązuje. Zresztą gdy był ministrem spraw wewnętrznych, także nie rozwiązał żadnego problemu, choćby w sprawach imigrantów. Rzadko bywał w ministerstwie, jeździł tylko po kraju i wysyłał tweety.

Kryzys weryfikuje wartość polityków? Conte sprawdził się w tej sytuacji jako premier, lider rządu?

– Uważam, że się sprawdził. Owszem, można powiedzieć, że zwlekał z decyzją o zamknięciu kraju, o kwarantannie. W końcu tę decyzję podjął. I pod tym względem wiele krajów naśladuje Włochy. Tyle że dzisiaj w dalszym ciągu 600 osób każdego dnia umiera. Do tego kwarantanna trwa już półtora miesiąca. Zaczynam mieć obawy, że podjęte środki nie wystarczają. Że Chińczycy wprowadzili dużo ostrzejsze reguły, ale nie wiem, czy można je zaaplikować w Europie.

Conte mówił, że trzeba zbudować nową konstrukcję europejską, że powinna się opierać na zasadach jedności, solidarności. Czy to ma sens? Czy jest to realny program, a nie hasło rzucone *ad hoc*?

– Takie deklaracje słyszymy od polityków od iluś tam lat, to trzeba oce-

Odszedł

Redaktor Kazimierz Zarzycki (1939-2020)

Dziennikarz z pasji i przekonania. Redaktor naczelny katowickiego dziennika „Wieczór", zastępca redaktora naczelnego „Trybuny Robotniczej", szef Telewizji Katowice i twórca tygodnika „Tak i Nie". Stracił pracę w stanie wojennym, bo nie podpisał listy zwolnienia 111 dziennikarzy TVP Katowice. Polityk o lewicowych poglądach, poseł na Sejm IV kadencji z ramienia SLD. Wieloletni działacz Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a później Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej, w którym był członkiem Prezydium Zarządu Głównego i prezesem Zarządu Oddziału w Katowicach.

Żegnamy Przyjaciela,
Lidera naszego środowiska,
Człowieka mądrego, ideowego i zawsze otwartego na problemy ludzi.

Jerzy Domański – przewodniczący Zarządu Głównego SDRP
Andrzej Maślankiewicz – sekretarz generalny Zarządu Głównego SDRP

eprasa.pl 121512869e

Czy politycy w Europie zdali egzamin?

Spodziewam się, że wielu z obecnych polityków zostanie wywiezionych na taczkach. Gdy wyjdzie na jaw, że mówili jedno, a robili drugie

niać nie po intencjach, tylko po czynach. Niestety, logika modelu integracji, którą przyjęliśmy, jest taka, że decydują państwa narodowe, a przecież ich przywódcy są odpowiedzialni przed swoim elektoratem. I to praktycznie hamuje współpracę, która w każdych innych kategoriach ma sens.

A Boris Johnson? Na początku śmiał się z koronawirusa. Mówił, że to nic wielkiego, że Anglicy się zarażą, wyleczą i będą uodpornieni… I w końcu znalazł się w szpitalu.

– Gdyby Johnson nie wylądował w szpitalu, dzisiaj musiałby gęsto się tłumaczyć za politykę, którą prowadził parę tygodni temu.

Choć to makabryczne, można rzec, że miał szczęście, że zachorował.

– Ale wie pan, wszystkie rządy zlekceważyły ostrzeżenia na temat tego typu pandemii. Wystarczy przypomnieć wystąpienie Billa Gatesa sprzed pięciu lat, on przed tym bardzo jasno ostrzegał, rządy to zignorowały i teraz płacimy za to cenę. W obecnej sytuacji większość decyzji podejmuje się w ciemno. Do dzisiaj nie wiemy dokładnie, jak ten wirus się rozprzestrzenia i jakie środki pozwolą nam skutecznie z nim walczyć. Bo nie mamy ani szczepionki, ani lekarstwa i nie ma gwarancji, że je zdobędziemy.

Poza tym miejmy świadomość, że pole manewru polityków jest ograniczone. Jak słyszę, że w Hiszpanii rząd, mimo że tam wciąż jest bardzo duża liczba zgonów, zaczyna otwierać fabryki, to obawiam się, że nie dlatego, że tak doradzają medycy, tylko że pewnych krajów nie stać na bycie zamkniętymi przez ileś miesięcy czy nawet lat. Hiszpanie po prostu ryzykują życie, żeby nie zbankrutować. Czyli powstają nowe nierówności nie tylko wewnątrz państwa, ale i pomiędzy

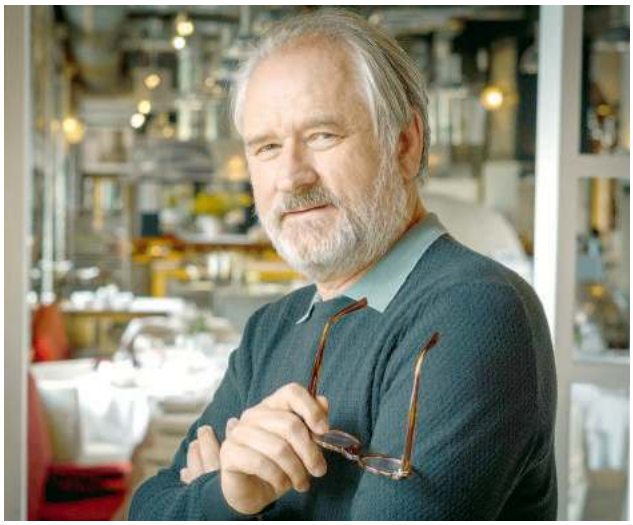

PROF. JAN ZIELONKA
– politolog, profesor na uniwersytetach w Oksfordzie i w Wenecji. Wykłada wiedzę o europejskiej polityce i społeczeństwie

państwami. I to mnie bardzo martwi. Bo to jest główne zarzewie wszystkich konfliktów.

Niemcy muszą się dołożyć do wspólnego wysiłku

Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, mówił pan, że Niemcy nie wywiązują się z roli, która jest im przypisana – lidera Unii Europejskiej.

W demokracji decyzje podejmują ci, którzy zostali wybrani i którzy są politycznie odpowiedzialni.

Teraz Angela Merkel zapowiedziała, że Niemcy bardziej zaangażują się we wspólne działania; mówiła, że nie ma zdrowych Niemiec bez zdrowej Europy. Sytuacja się zmienia? Niemcy poczuły, że są głównym rozgrywającym w Unii?

– Myślę, że Niemcy zawsze miały i mają poczucie, że są głównym rozgrywającym. Tylko że ilekroć pytałem Niemców, dlaczego nie dorastają do tej roli, odpowiadali mi: kiedy żądają naszego przywództwa, chcą naszych pieniędzy. Ale sprawa jest bardziej skomplikowana. Nie odmawiam Niemcom poświęceń po zjednoczeniu kraju, nie odmawiam im zdolności administracyjnych, dyscypliny. Ale nie mam też wątpliwości co do tego, że na Unii Europejskiej, a zwłaszcza na unii monetarnej, zupełnie dobrze wyszli. Czego nie można powiedzieć o krajach południowych, zwłaszcza Grecji.

Grecy zadłużali się i kupowali niemieckie produkty. Ale te kredyty dawały im banki niemieckie.

– Teraz więc, jeżeli Niemcy w dalszym ciągu chcą być krajem prosperującym, muszą bardziej się dołożyć do wspólnego wysiłku.

Do odbudowy Europy po pandemii.

– Dlaczego Hubei, bardzo ważny ośrodek przemysłowy Chin, można było odgrodzić od świata i zamknąć? Bo ta prowincja to mniej niż 10% gospodarki chińskiej i cała reszta na Hubei i jej stolicę, Wuhan, pracowała. Ale gdy coś takiego dzieje się w Europie, w takim kraju jak Włochy, to musi być jakieś porozumienie, że będziemy wspólnie ponosić odpowiedzialność. Bo inaczej, jak to wszystko się rozwali, jak kryzys uderzy w kraje Południa, to tylko kwestią czasu będzie, że uderzy też w Niemcy.

Państwa narodowe zderzyły się ze ścianą

Czy epidemia na nowo zbuduje Unię? Czy Unia ma szansę wyjść z niej silniejsza?

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 121512869e

– Niektórzy mówią, że zawsze, po każdym kryzysie wychodzi mocniejsza. A inni, że kolejny kryzys pokazuje, że ona nie jest w stanie z tego dołka wyjść. Obie opinie są błędne.

Czyli?

– Ja uważam, że Unia pokona obecne problemy, jeśli na nowo się wymyśli. Dylemat, czy państwo europejskie, czy państwa narodowe, nie istnieje. Nie będzie państwa europejskiego, nikt tego nie chce, ale też państwa narodowe, które mają monopol na decyzje podejmowane w Unii, zderzyły się ze ścianą. Bo to one decydują, co się dzieje w Unii, nie Komisja Europejska, która władzy ma niewiele. I trzeba odejść od tego modelu, w którym państwa narodowe mają ten monopol.

Dlaczego to takie ważne?

– Bo ich liderzy są zależni od swoich egoistycznych narodowych wyborców, zwłaszcza w sytuacjach trudnych. Zamiast współpracować, zamykamy granice i udajemy, że tylko państwo, nawet małe i niewydolne, poradzi sobie z globalnym wirusem. Jak od tego odejść? Jeśli zgodzimy się, że państwa nie powinny mieć monopolu na integrację, to możemy zacząć rozmawiać o innych modelach. Jednym ze sposobów jest dopuszczenie innych organów publicznych, takich jak miasta czy regiony, do decyzji w ramach Unii. Można powołać drugą izbę Parlamentu Europejskiego, gdzie ci aktorzy mieliby miejsce. Innym pomysłem jest zdecentralizowanie władzy. Żeby ta władza nie była w Brukseli, ale żeby była w tych 40 różnych regulacyjnych instytucjach – w Polsce jest Frontex, w Kopenhadze jest unijna agencja ds. ochrony środowiska, w Wiedniu od praw człowieka… Dajmy więcej uprawnień tym organizacjom odpowiedzialnym za różne dziedziny życia. Żeby nie było tak, że najmniejszy problem staje się być albo nie być Europy. Spójrzmy jeszcze inaczej – dlaczego np. Węgry czy Austria mają mieć tyle samo do powiedzenia na temat polityki morskiej Unii co Hiszpania? Można to wszystko zmienić. Choć są zasady, które muszą być stosowane przez wszystkich. Nie można mieć wspólnego rynku bez rządów prawa i niezależności sędziowskiej. Bo czy można prowadzić transakcje finansowe lub handlowe, jeżeli sądy są spolityzowane? Pewne rzeczy muszą być uniwersalne. Ale do innych można zastosować elastyczne rozwiązania.

A czy Unia jest gotowa na takie dyskusje?

– Wśród przywódców państw członkowskich panuje dziś przekonanie, że niczego nie trzeba zmieniać, wręcz przeciwnie, oni zabiorą zabawki i pójdą do siebie. Dlatego trzeba obywateli, żeby Europę zmobilizować. Żeby ją odtworzyć, wzmocnić. Gadanie moich proeuropejskich przyjaciół, że na temat Unii nic złego nie można powiedzieć, bo to tylko woda na młyn populistów, to krótkowzroczne myślenie. Ludzie widzą, co się dzieje. Trzeba nazwać rzeczy po imieniu i powiedzieć: to i to nie funkcjonuje. Ale to nie znaczy, że nam nie potrzeba Europy. Nam po prostu potrzeba innej Europy.

Doszliśmy do momentu, w którym trzeba pomyśleć o większej partycypacji społecznej, o demokratycznym podejmowaniu decyzji, bo klasa polityczna jest coraz bardziej wykorzeniona ze środowiska, z którego wyszła. Sądzę, że gdy nierówności zaczną narastać po tej pandemii, ludzie już nie będą chcieli, by ktoś rządził w ich interesie, ale będą się domagali dostępu do podejmowania decyzji.

Wygranych będzie niewielu, przegranych mnóstwo

Jak się spisali politycy europejscy w tych trudnych chwilach? Czy stracili kontrolę nad swoimi społeczeństwami, czy też ludzie im ufają?

– W okresie zagrożenia ludzie zawsze dają kredyt zaufania tym, którzy są przy władzy, bo mają nadzieję, że oni pewne problemy rozwiążą. Ale w sytuacji, kiedy ci u władzy nie tylko nie rozwiązują problemów, ale jeszcze pogarszają sprawy, nadchodzi dzień rozliczeń. Dlatego spodziewam się, że wielu z obecnych polityków zostanie wywiezionych na taczkach. Gdy wyjdzie na jaw, że mówili jedno, a robili drugie, że nie tylko byli nieprzygotowani na wybuch epidemii, ale w dodatku, jak ta epidemia wybuchła, ukrywali prawdę i uprawiali propagandę polityczną, może dojść do dużych zmian.

Jak dużych?

– Kiedy patrzę na to, o czym mówimy, to nie wiem, czy takie normalne kryteria polityczne, które stosowaliśmy w czasach względnie normalnych, przystają do sytuacji, która jest kompletnie rewolucyjna. Granice wolności jednostki, pojęcie dobra wspólnego, zrozumienie tego, gdzie się zaczyna i kończy suwerenność terytorialna, te wszystkie podstawowe – nazwijmy to – umowy społeczne, wspólne rozumienie tego, dlaczego jesteśmy ze sobą na przyjaznej stopie, obecna epidemia stawia na głowie. Spodziewam się bardzo dużych zmian. Każdy tego typu wstrząs ma wygranych i przegranych. W tym wypadku wygranych będzie niewielu, przegranych – mnóstwo. I tego nie da się rozwiązać, rzucając pieniądze z helikoptera. To trzeba rozwiązać w kategoriach instytucjonalnych i etycznych, dla których trzeba znaleźć nową równowagę.

Trudno to nowe sobie wyobrazić.

– Nawet na ten temat nie rozmawiamy. Choć wiemy, że to przyjdzie. Na razie staramy się robić, co można, żeby koszty epidemii okazały się jak najmniejsze. Wciąż pamiętamy też o problemach z epoki sprzed epidemii, większości przecież nie rozwiązaliśmy. Tkwią w nas tamte urazy. Tylko że przyszedł kataklizm i wszystko postawił na głowie. Jesteśmy w okresie przełomu. Oczywiście te kwarantanny będą odmrażane. Ale gdy słucham wirusologów, którzy mówią, że normalne życie nie wróci przez rok albo i dwa lata, dopóki nie będziemy mieli szczepionki lub lekarstwa, to nie wyobrażam sobie, że można wrócić do czasów, które znaliśmy przed wybuchem epidemii.

Robert Walenciak

Unia pokona obecne problemy, jeśli na nowo się wymyśli.

Zamiast współpracować, zamykamy granice i udajemy, że tylko państwo poradzi sobie z globalnym wirusem.

eprasa.pl 121512869e

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Ach, jaka piękna katastrofa!

Czy pamiętamy sprzed trzech lat sukces Beaty Szydło w Brukseli? Czy pamiętamy jej bohaterski opór przed zmasowanym atakiem możnych tego świata? Czy pamiętamy jej triumfalny powrót do Warszawy, dziękczynne przemówienia, pochwały i kwiaty? Zdawało się, że głosowanie 27:1 jest klęską polskiej dyplomacji. Tymczasem był to sukces. Od liberalnej Europy trzeba było odgrodzić katolicką Polskę. Tę „wyspę wolności i tolerancji".

Dziś Beata Szydło nie bryluje już w Brukseli. Jej łabędzim śpiewem była niedawna awantura urządzona Radosławowi Sikorskiemu. W przyszłości więc raczej już nie zobaczymy pani Beatki, jak opływowo kroczy przez brukselskie korytarze. Ale program – bynajmniej nie jej program, ona była tylko wykonawczynią – pozostaje stały. Chodziło i chodzi o to, by między Polską a Europą ustawić szlaban. By – na ile to możliwe – wykopać przepaść. Bo trzeba (cicho sza) wyprowadzić Polskę z Unii Europejskiej. Niekoniecznie formalnie – wtedy są koszty i zawracanie głowy – choć gdyby się udało, czemu nie? Ale wyprowadzić faktycznie – to pod wieloma względami nawet lepiej. Bo w takim przypadku razem z Węgrami będziemy niszczyć Unię od środka. Przed trzema laty głosowanie 27:1 spadło jak z nieba (choć żal, że Węgry zawiodły). Dziś podobną rolę odgrywa koronawirus.

Znów więc jesteśmy sami, ale ile rzeczy się rozwiązało! Można wprowadzić stan wyjątkowy – nie wprowadzając stanu wyjątkowego. Można zakazać zgromadzeń – i zyskać poparcie. Można ograniczyć prawa obywatelskie – i spotkać się ze zrozumieniem. Pozostają wybory prezydenckie – wszak stoimy na straży legalizmu i wraz z Trybunałem Konstytucyjnym bronimy konstytucji. Tu wprawdzie jest pewien kłopot, bo przeprowadzenie wyborów w szczytowym momencie epidemii kłóci się z obecnymi obostrzeniami, ale jeżeli coś nie jest logiczne – to przecież suwerenowi nie przeszkodzi. A jeżeli mamy kłopot – to nie takie kłopoty rozwiązywaliśmy. Ograniczenia, na przekór rzeczywistości, będziemy poluzowywać. A ponieważ chodzi nam zawsze o dobro człowieka – wybory będą korespondencyjne. Jak w Bawarii. Że grozi to, jak w Bawarii, zarażeniami? Wroga propaganda. Że będzie to fikcja? Totalsi zawsze kłamią. Że będzie mała frekwencja? A kto powiedział, że ma być duża? Gdzie w ogóle jest zapisane, że ma być próg wyborczy?

Na dodatek ten dar od TSUE! Znów będziemy mogli pokazać suwerenowi naszą godność. „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz" – czyż Unia nie jest niemiecka? „Nie będą nam tutaj w obcych językach narzucali, jaki mamy mieć ustrój" – czy aby też nie w języku niemieckim? Z czym bowiem jak z czym, ale z TSUE nie będzie problemu. Postąpimy z nim jak z polskim Sądem Najwyższym. Jakiś wyrok? Nie respektujemy wyroków tej kasty. Będą wysokie kary? Niech będą! Nawet najwyższe! Gdy zacznie się kryzys, a totalsi będą atakować, że to przez nas, żeśmy wszystko przejedli i rozdali – wtedy nie tylko będziemy mogli ich oskarżyć, że żerują na ludzkiej tragedii, że prowadzą cyniczną, polityczną grę. Bo wtedy będzie ważne jedno – wytłumaczenie przyczyn kryzysu. I my to zrobimy. Któż bowiem odpowiada za kryzys? Inni. Kiedyś Platforma, zostawiająca „Polskę w ruinie", dziś Unia, pragnąca zniszczenia Polski.

Polska zawsze żyła klęskami i żyła z klęsk. Żyje DZIĘKI klęskom! Klęska – to nasz program polityczny.

Pani Beatka już w pierwszych dniach urzędowania wyrzuciła z premierowskiego gabinetu flagę Unii Europejskiej. To był zdrowy odruch polskiej patriotki. Ale dziś jesteśmy mądrzejsi, z flagą Unii się nie rozstajemy, na tle tej flagi występujemy, Unię kochamy i Unię wspieramy. Skoro jednak Unia zawiodła w pandemii i jeszcze chce teraz do naszych trudności dołożyć kary… No to po co nam taka Unia? Co miała dać, dała, a skoro chce nas karać – jest nie tylko zbędna, ale i szkodliwa. To nie my chcieliśmy polexitu – to Unia nas z Unii wypycha. Skoro odbiera nam prerogatywy suwerennego państwa – musimy bronić tej suwerenności. Jesteśmy dumnym narodem! Obronimy niepodległość! Tak nam dopomóż Bóg!

A Europa? Czymże jest Europa? W Europie są puste kościoły. W Europie – nawet w katolickiej Irlandii – jest możliwa legalna aborcja. I jest możliwa eutanazja. I jest możliwe in vitro – ten „rodzaj wyrafinowanej aborcji". Prawdziwy Polak i prawdziwy katolik takiej Europy nie chce. Takiej Europy mu nie żal. Taką Europę opuści z ulgą. Że jednak to klęska Polski? A kto powiedział, że ma być zwycięstwo? Wszak Polska zawsze żyła klęskami i żyła z klęsk. Żyje DZIĘKI klęskom! Klęska – to nasz program polityczny. Jak u „żołnierzy wyklętych".

Czy ciemny lud to kupi?

eprasa.pl 121512869e

Piekło w DPS-ach

Pandemia obnażyła problemy od dawna zamiatane pod dywan

Anna Brzeska

Łańcuch jest tak mocny jak jego najsłabsze ogniwo.
William James, amerykański psycholog

„Jesteśmy u kresu sił. Coraz więcej pensjonariuszy ma podwyższone temperatury. Boję się, że ci starsi ludzie zaczną umierać. Nie wytrzymamy dłużej niż parę godzin. Jest potrzebne wojsko i ewakuacja mieszkańców. Część podopiecznych leży w odchodach, nie ma już się nimi kto zajmować. Pielęgniarki (zatrudnione w DPS-ach i również zakażone – przyp. red.) mają wysoką gorączkę, są w kwarantannie i powinny wypoczywać, ale pracują po 24 godziny na dobę". To słowa Marka Beresińskiego, dyrektora domu pomocy społecznej w Tomczycach w województwie mazowieckim, które mogliśmy usłyszeć dzięki reporterom TVN 24. W placówce potwierdzono zakażenie koronawirusem u 61 podopiecznych i dziewięciu pracowników.

Koronawirus jest już w ponad 20 innych DPS-ach w Polsce, a podobne dramatyczne relacje i apele o pomoc obiegły większość mediów. COVID-19 dotarł m.in. do placówek w Kaliszu, Zamościu (gdzie zmarła już jedna pensjonariuszka), Wierzbicy koło Radomia czy Obornik Śląskich. Okoliczni mieszkańcy wspierają placówki, jak tylko mogą, dostarczając maseczki i inne środki higieny osobistej. W Bochni – gdzie też doszło do zakażeń koronawirusem – będący na skraju wyczerpania personel wsparły siostry dominikanki.

Co na to rząd? Marlena Maląg, pisowska minister rodziny, pracy i polityki społecznej, przerzuca odpowiedzialność na samorządy, lekarzy i pielęgniarki. A wiceminister Iwona Michałek apeluje w mediach do Polaków, aby przekazywali ośrodkom maseczki, fartuchy i rękawiczki. Czy to jedyna pomoc, na jaką mogą liczyć ze strony rządu najsłabsze i najbardziej potrzebujące osoby w Polsce?

Zostawieni sami sobie

Paweł Maczyński, przewodniczący Polskiej Federacji Związkowej Pracowników Socjalnych i Pomocy Społecznej: – To, co się dzieje w DPS-ach, to dramatyczne zagrożenie. Gdy stwierdzono pierwszy przypadek koronawirusa w jednej z placówek, naturalne było dla nas, że należy tę osobę odizolować, najlepiej zabierając ją do szpitala. To nie jest taka sytuacja jak w domu rodzinnym, gdzie chory może przebywać bez styczności z kimkolwiek z zewnątrz. W dużych placówkach, np. 200-osobowych, utrzymanie reżimu sanitarnego jest praktycznie niemożliwe. Opiekunki zgłaszały nam, że starały się wyznaczyć miejsce izolacji chorych, ale osoby starsze, z demencją, i tak tam przychodziły. Nie jest bowiem tak, że każdemu podopiecznemu da się zapewnić indywidualnego opiekuna, który będzie czuwał, by ta osoba nie weszła na wyizolowane piętro budynku.

Minister Marlena Maląg przerzuca odpowiedzialność za sytuację w DPS-ach na samorządy, lekarzy i pielęgniarki.

Jednak DPS-y nie decydowały się na przewiezienie chorych do szpitali, lecz pozostawiały ich w placówkach. – Jak sądzę, domyślano się, że zakażona może być większa liczba osób, i właśnie dlatego zostawiano je same sobie – mówi szef federacji. – Najwyraźniej uznano, że lepiej mieć te osoby w jednym miejscu, pod kontrolą, niż przeprowadzić ewakuację do szpitali, na którą nikt nie był przygotowany. Nie było też wiadomo, gdzie mieliby trafić np. pacjenci z chorobami psychicznymi, ponieważ w szpitalach jednoimiennych byłoby to trudne do zorganizowania. Postanowiono więc zostawić DPS-y hermetycznie zamknięte, ustawiając przed budynkami patrole policji czy WOT i pozwalając niestety, by w ten sposób podopieczni i personel zarażali się od siebie nawzajem. Tak rzeczywiście się działo – mieliśmy zgłoszenie z jednego DPS-u o 10% zakażonych, tydzień później koronawirusa wykryto tam już u 80% podopiecznych.

Decyzje władz o pozostawieniu chorych na miejscu spowodowały, że zakażenie rozprzestrzeniało się między podopiecznymi i personelem – i doprowadziło do dramatycznych sytuacji, w których nie miał kto zmienić opadających z sił pracowników. Ci ludzie zostali więc sami, a ich praca odbywa się ogromnym kosztem i nadludzkim wysiłkiem. W jednym z domów na nocnym dyżurze pozostały dwie osoby – i te dwie osoby musiały potem zaopiekować się całą placówką, gdy wykryto w niej koronawirusa.

eprasa.pl 121512869e

Przed domami pomocy społecznej stanęły patrole policji i WOT. Nz. dom pomocy w Tomczycach, 5 kwietnia br.

Paweł Maczyński wylicza kolejne kurioza, takie jak zbyt późne przywiezienie sprzętu ochronnego do placówek, w których i tak zdecydowana większość osób była już zakażona. Podkreśla, że zbyt późno zdecydowano o konieczności hospitalizacji zakażonych podopiecznych.

Katarzyna, fizjoterapeutka w miejskim domu pomocy w aglomeracji: – Braki w personelu, szczególnie wśród opiekunów, są ogromne. Staramy się, by utrzymywane były zasady higieny, czystość i porządek, ale jeśli podopiecznych jest kilkudziesięciu – w tym wielu ma demencję, roznosi wszędzie różne rzeczy, wreszcie pozostawia po sobie różne wydzieliny – nie da się fizycznie tego wszystkiego upilnować w takim składzie personalnym, jaki mamy. To wygląda tak, że panie sprzątają jeden pokój, idą do drugiego, a w tym pierwszym za chwilę znów jest totalny chaos. Często salowe pomagają opiekunom, a opiekunowie salowym. To, jak są traktowani pracownicy DPS-ów, jest nie w porządku, rząd nie wspiera ich dostatecznie, co widać szczególnie teraz. Zostali pominięci i zapomniani. Być może władze są przekonane, że jeśli podopieczni po prostu umrą, nie zrobi to nikomu różnicy. A przecież w DPS-ach przebywają nie tylko ludzie starsi, u schyłku życia, ale też osoby młodsze, bezdomne czy niepełnosprawne.

Kasia nie jest zaskoczona dużą liczbą zakażeń w DPS-ach: – Nawet bez pandemii występuje w nich mnóstwo chorób zakaźnych, choćby wirusowe zapalenie wątroby. Jeśli wśród pacjentów zdarzy się jelitówka, rozprzestrzenia się lawinowo na wszystkich, jak w przedszkolu czy żłobku. W budynku są wprawdzie izolatki, ale nie mam pewności, czy opiekunowie są w stanie odseparować w nich pacjentów. Pół biedy, jeśli to osoby leżące, ale przy podopiecznych chodzących, z zaburzeniami psychicznymi czy demencją, jest to bardzo trudne. Krążą po całym budynku nieświadomi niczego, nie kontrolują żadnych czynności, również fizjologicznych, i nie można im przecież powiedzieć, by czegoś nie dotykali, bo nie są w stanie tego zrozumieć. Trzeba by ich poprzywiązywać do łóżek lub zastosować inne drastyczne metody, by zapobiegać rozprzestrzenianiu się choroby.

Iwona, opiekunka w domu pomocy dla osób z niepełnosprawnością: – Moim zdaniem DPS-y zostały pozostawione same. Gdy wybuchła epidemia, nie otrzymały potrzebnego wsparcia. Widzimy wiele placówek, w których chory personel opiekował się chorymi podopiecznymi bez żadnej pomocy z zewnątrz. Na razie zaostrzono u nas środki ostrożności i higieny. Dyrektor zastanawia się, czy nie wprowadzić pracy w systemie 14-dniowym, co dla mnie byłoby straszne, bo mam dzieci. Jednak w takiej sytuacji nie będę miała wyjścia i zostanę w pracy, bo oczywiście mamy za mało personelu. Na szczęście nie było u nas zachorowań, więc pracujemy normalnie, modląc się, by koronawirus nie zjawił się u nas.

W internecie mnóstwo wpisów z podziękowaniami dla pracowników, ale również za wsparcie ze strony inicjatyw społecznych, które w ciągu ostatnich tygodni stały się już niemal systemową formą zaopatrzenia DPS-ów w środki ochrony osobistej. Czekanie na rządową pomoc byłoby samobójstwem.

Paweł Maczyński: – Pracownicy jednego z ośrodków wysłali nam zdjęcia jednego baniaczka płynu dezynfekującego od wojewody albo pięciu małych opakowań rękawiczek jednorazowych na cały ośrodek. Brakuje wszystkiego, co minimalizowałoby ryzyko zakażenia. Więcej tych środków otrzymywaliśmy od okolicznych mieszkańców, a nawet od osadzonych w zakładach karnych, niż od rządu. Wiemy też, że – na szczęście – wielu dyrektorów nie oglądało się na władzę. Dzięki własnym funduszom i znajomościom zapewnili pracownikom środki ochrony i opracowali procedury.

Nie wszędzie jednak dyrekcja zapewnia pracownikom poczucie bezpieczeństwa i wspólnego trwania w tej dramatycznej walce. – Widzieliśmy także oświadczenia pracowników, podpisane pod presją dyrekcji, że pracodawca zapewnił im wszystkie niezbędne środki ochrony osobistej, podczas gdy wcale tak się nie stało – mówi związkowiec. – Obserwujemy też, że w placówkach,

FOT. MARCIN OBARA/PAP

eprasa.pl 121512869e

gdzie pracownicy nie mają wsparcia przełożonych, czują się pozostawieni sami sobie, absencja jest zdecydowanie większa. Widać to szczególnie tam, gdzie na pracowników przerzucono część odpowiedzialności nie tylko za pomaganie podopiecznym, ale i zorganizowanie całej sieci wsparcia i pomocy dla siebie. Natomiast tam, gdzie pracodawcy zadbali o bezpieczeństwo kadry, personel częściej pozostaje na stanowiskach, nie korzysta masowo ze zwolnień lekarskich czy zasiłków opiekuńczych.

To skutek wieloletnich zaniedbań

Iwona: – U nas opiekunki pracujące na trzy zmiany w jednym domu pomocy, świątek, piątek i niedziela, mające wykształcenie opiekuna medycznego, zarabiają może z 2,4 tys. zł na rękę. To żenujące. Przy tak ogromnej odpowiedzialności zarobki powinny być przynajmniej z trójką z przodu. Moja sytuacja jest nietypowa, bo jestem tzw. skoczkiem, czyli pracuję też w innych miejscach, ale jednej z terapeutek, pracującej w jeszcze jednym domu, powiedziano, że ma pracować tylko w naszym. Oczywiście nie spytano, czy to nie nadszarpnie jej budżetu domowego, i rzecz jasna nie dostała żadnego dodatkowego wynagrodzenia za kolejne godziny.

Katarzyna: – Wśród opiekunów widzę ogromną rotację. Dużym problemem są bardzo niskie płace, a to przecież praca bardzo ciężka, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Sama zarabiam niewiele, ale opiekunowie dostają jeszcze mniej, właściwie tylko tyle, by jakoś przetrwać. Przez to wszystko zaniedbywanych jest wiele rzeczy, bo po prostu nie ma kto nimi się zająć. Dlaczego jest rotacja i co się dzieje z odchodzącymi? Nie wiem. Wielu przychodzi na tydzień i potem znika. Najprawdopodobniej praca okazała się znacznie cięższa, niż się spodziewali.

Kasia zaznacza, że mimo trudności chce nadal pracować, dla dobra podopiecznych, którzy tak bardzo potrzebują kontaktu z ludźmi. Dodaje, że mimo iż personel jest nieliczny, bardzo się stara. – Tego rodzaju praca daje mi poczucie spełnienia. Myślę, że ci, którzy zostają na dłużej, mają podobne przekonanie, że to nie tylko praca, ale i misja. Na pewno nie jest to zajęcie, które można traktować jako zwykłą pracę dającą pieniądze. To raczej sprawa dla tych, dla których służenie ludziom jest nadrzędnym celem.

Iwona, zapytana o to, dlaczego wciąż pracuje w domu pomocy, trochę wykręca się od odpowiedzi: – U mnie to skomplikowane, ale wiem, że dziewczyny mają poczucie misji, trzyma je tu chęć niesienia pomocy. Mimo wszystko i tak szukają innej pracy, lepiej płatnej. Większość jest gotowa odejść, jeśli znajdzie coś lepszego. Zostałyby u nas, gdyby dostały tu lepsze pieniądze.

Do marca br. problemy, które w tak drastyczny sposób obnażyła pandemia, były zamiatane pod dywan. Tymczasem środowisko pracowników społecznych o dramatycznej sytuacji sektora bezskutecznie alarmuje od lat. Protest Polskiej Federacji Związkowej Pracowników Socjalnych i Pomocy Społecznej trwa nieprzerwanie od 2018 r. Federacja wielokrotnie informowała ministerstwo o problemach wynikających z niskich wynagrodzeń zarówno pracowników DPS-ów, opiekunów, jak i pracowników socjalnych czy asystentów rodziny. Z jakim efektem? – Bez większego odzewu. Niewiele się zmieniło, tyle że wzrosła płaca minimalna, która spłaszczyła wynagrodzenia w sektorze pomocowym do tego minimum – wyjaśnia Paweł Maczyński. Jak dodaje, niektóre samorządy poradziły sobie z problemem w ten sposób, że zatrudniono pracowników na część etatu, mimo że pracują w pełnym wymiarze. – Wysokość wynagrodzeń była oczywiście zróżnicowana w zależności od regionu, ale by uzmysłowić czytelnikom, jak bardzo jest źle, podam przykład: najlepiej wynagradzanym stanowiskiem w grupie obejmującej opiekunów osób niepełnosprawnych, asystentów rodziny czy pracowników DPS-ów, nie licząc kadry kierowniczej, był pracownik socjalny. Średnie wynagrodzenie brutto takiego pracownika za 2018 r. wynosiło ok. 2,7 tys. zł. Wszyscy pozostali zarabiali jeszcze mniej. Oczywiście mówimy o średniej, po uwzględnieniu regionów zawyżających tę kwotę, a więc głównie dużych miast, takich jak Warszawa czy Poznań – zaznacza związkowiec. – Ostatnio dokonaliśmy też porównania zarobków pracowników socjalnych z ok. 20 państw europejskich. Polska pod względem stosunku średniej płacy pracowników socjalnych do płacy minimalnej czy średniego wynagrodzenia była na przedostatnim miejscu. Gorzej było jedynie na Białorusi.

> Od dawna było wiadomo, że władze nie mają żadnej procedury na wypadek epidemii.

Łatanie kadrowych dziur

Według szefa federacji duża liczba zakażeń jest pokłosiem wieloletnich zaniedbań w obszarze publicznej pomocy społecznej: – To, że wielu pracowników jest zmuszonych pracować w kilku miejscach, stało się jedną z przyczyn transmisji wirusa do DPS-ów. Zwracaliśmy ministerstwu uwagę, że osoby, które pracują w kilku miejscach, robią to, bo nie mają wyjścia. Jednak władze, gdy dowiedziały się, że ci pracownicy mogą być źródłem zakażeń, zamiast wesprzeć ich finansowo, by mogli zostać w jednej placówce, wydały poprzez Ministerstwo Zdrowia i wojewodów zalecenie, by zatrudnieni zadeklarowali pracę w jednym miejscu. Część pracodawców zaczęła więc ich zmuszać do składania formalnych oświadczeń. To oczywiście fikcja, bo jeśli ktoś utrzymuje się z pracy w kilku miejscach, mając w każdym z nich część etatu i wynagrodzenie na poziomie płacy minimalnej lub mniejsze, nadal będzie to robić, nie mając innej możliwości utrzymania rodziny. Podpisanie oświadczenia pod presją pracodawcy to wzięcie na siebie ryzyka poświadczenia nieprawdy. W ten sposób odpowiedzialność za zaniedbania systemu została przerzucona na pracowników. To nie rozwiązało jednak problemu bezpieczeństwa podopiecznych i samego personelu.

Jak tłumaczy Paweł Maczyński, presja na składanie oświadczeń zamiast zaoferowania wsparcia finansowego może mieć jeszcze jeden ukryty cel – utrzymanie *status quo*,

eprasa.pl 121512869e

dzięki czemu systemowo łatwiej jest łatać dziury kadrowe. – Fikcja ze składaniem oświadczeń jest więc na rękę rządzącym i samorządom, a jednocześnie zwalnia ich z odpowiedzialności – podsumowuje szef federacji.

Niskie zarobki i wiele miejsc pracy to jednak niekompletna lista przyczyn katastrofy epidemicznej w DPS-ach. Paweł Maczyński wskazuje, że kolejnym powodem stało się rezygnowanie w poprzednich latach z zatrudniania kadry medycznej. To sprawiło, że przewlekle chorzy mieszkańcy domów pomocy często trafiali do szpitala, np. na dializę, a potem wracali do ośrodka. W kilku przypadkach właśnie tak doszło do zakażenia koronawirusem całej placówki. – Oczywiście nie było wiadomo, czy dany podopieczny nie wrócił ze szpitala zakażony, ponieważ nie testowano pacjentów ani pracowników. Na ten problem też zwracaliśmy uwagę, sugerując, że lekarze powinni przynajmniej okresowo przyjeżdżać do DPS-ów albo pacjentów powinno się zostawiać na dłużej w szpitalu. Od dawna wiedzieliśmy, że władze nie mają żadnej procedury na takie okoliczności jak zagrożenie epidemią. Już wcześniej spotkaliśmy się z sytuacjami, że ze szpitali wracały osoby zakażone różnymi chorobami. Co więcej, pielęgniarki czy ratownicy medyczni, którzy są zatrudnieni zarówno w szpitalach, jak i w DPS-ach, po dyżurze w szpitalu przychodzą na dyżur do drugiej placówki. Rozumiemy, że państwo mogło zostać zaskoczone masowością epidemii, ale jak to możliwe, że w domach pomocy nie ma ani jednej procedury związanej z możliwością zakażenia przez pacjenta czy pracownika wracającego ze szpitala? Szokujące jest dla nas, że teraz wojewodowie na poczekaniu musieli wydać zalecenia przygotowane przez ministerstwo. Co gorsza, te na niewiele nam się przydały, bo zawierały tylko ogólniki w rodzaju „należy stosować się do zasad higieny". I to właśnie do nas trafiały zapytania od dyrektorów DPS-ów, co mają zrobić w określonej sytuacji, bo od instytucji państwa niczego sami się nie dowiedzieli. Dopiero z czasem wojewodowie zaczęli precyzować wytyczne.

I rzeczywiście. Facebookowe fora dla pracowników społecznych i DPS-ów pełne są różnorakich pytań o postępowanie z petentami czy pacjentami. Kierownicy poszczególnych domów czy ośrodków pomocy społecznej przekazują sobie wskazówki za pośrednictwem mediów społecznościowych. Dlaczego nie uzyskali odpowiedzi z samorządów, oddziałów sanepidu czy ministerstwa?

I to nadal nie koniec listy grzechów władz wobec DPS-ów. Szef federacji wspomina jeszcze o przypadkach łamania praw pracowniczych i koszarowaniu personelu na 14 dni. Bez odzewu pozostały także apele o pomoc psychologiczną dla opiekunów czy zapewnienie im wydzielonego, odrębnego miejsca wypoczynku, np. w hotelach, tak jak zrobiono to w wypadku lekarzy niektórych szpitali. Zamiast wesprzeć obecną kadrę, niektórzy wojewodowie woleli uciec się do możliwości wydania nakazu pracy w domach pomocy przez okres trzech miesięcy osobom w nich niezatrudnionym. – Pieniądze, które samorządy będą musiały wypłacić zmuszanym w ten sposób do pracy, można było wcześniej przeznaczyć na wynagrodzenia dla pracowników DPS-ów, doposażenie ich, zorganizowanie im noclegów. Widać już marne skutki tych decyzji. Na 100 osób skierowanych do pracy przez wojewodę mazowieckiego zgłosiło się 15. Reszta wolała zapłacić karę, która może wynosić od 5 tys. zł, niż przyjść do pracy w domu pomocy.

Kierownicy domów pomocy przekazują sobie wskazówki w mediach społecznościowych.

Pozostawienie chorych w placówkach spowodowało, że podopieczni i personel zarażali się od siebie nawzajem.

Zamknięte usta pracowników

I wreszcie ostatnie: pracownicy DPS-ów mają kategoryczny zakaz rozmawiania z mediami, ujawniania informacji o tym, co się dzieje w placówkach.

– To są zakazy nieformalne, nigdy na papierze – zaznacza Paweł Maczyński. – Pracownikom mówi się, że w imieniu placówki może się wypowiadać tylko starosta lub dyrektor, a tych, którzy złamią zakaz, straszy się konsekwencjami służbowymi.

Iwona: – To zupełnie chora sytuacja. Oficjalnie nikt nam niczego nie zabrania, ale nie chciałabym ryzykować i wypowiadać się pod nazwiskiem – ani mówić, gdzie pracuję.

Kasia poprosiła nawet na koniec o zmianę... już wcześniej zmienionego przeze mnie imienia. – To, które proponujesz, jest zbyt podobne do mojego prawdziwego, przedstaw mnie jako Katarzynę.

Kasia i Iwona były jedynymi, które zgodziły się na rozmowę, mimo że próbowałam skontaktować się z wieloma osobami znalezionymi na facebookowych grupach zrzeszających pracowników sektora pomocowego.

Jedna z kobiet w krótkiej wiadomości przyznaje tylko, że od kilku lat jest tragicznie, starszy personel pracuje i ma coraz więcej obowiązków, młodsi zaś biorą L4, jest ogromna rotacja. Nie zgadza się jednak na cytowanie jej wypowiedzi, nawet anonimowo. Zaznacza, że obawia się konsekwencji, i urywa rozmowę.

Według aktualizacji na facebookowym profilu Polskiej Federacji Związkowej Pracowników Socjalnych i Pomocy Społecznej apele organizacji do władz zaczęły już skutkować m.in. pojawieniem się ofert noclegów dla pracowników, tak by chronić ich bliskich. Chorzy mieszkańcy części domów pomocy, w tym ci z COVID-19, trafiają już do szpitali, zamiast zostawać w swoich placówkach. Uszczegółowiono poza tym procedury dla DPS-ów. Dlaczego nie zrobiono tego od razu? Epidemia trwa przecież w Polsce od ponad miesiąca.

Federacja wciąż apeluje o więcej środków ochrony osobistej i testów oraz dodatkowe środki dla pracowników, którym nakazano pracę w jednej placówce.

Anna Brzeska

eprasa.pl 121512869e

Na plecach listonoszy do władzy

25 tys. ludzi poniesie konsekwencje, jeśli wybory prezydenckie się nie udadzą

Ewa Smolińska-Borecka

Próby dotarcia do listonoszy przez znajomych, szefów związków pocztowych, a nawet posłankę zakończyły się fiaskiem. Pozostaje polegać na sobie. Czatuję na listonosza. Idzie. Ma chód starego człowieka, zmęczonego, ciągnie za sobą dwukołowy wózek, jeszcze nie do końca opróżniony, choć już minęła godz. 15. Zatrzymuje się, ściąga z twarzy maseczkę (jeszcze nie obowiązuje nakaz noszenia) i widzę twarz młodego mężczyzny. Zapala papierosa i zaciąga się dymem. Jest zaskoczony, gdy proszę o rozmowę o tym, jak to jest, kiedy zawód staje się najbardziej strategicznym w kraju. I o tym, jak się pracuje w czasach zarazy.

Słyszał, że ludzie obchodzą listonosza szerokim łukiem, a niektórzy mówią złośliwie: „O, wysłannik śmierci idzie". Ale on z tym się nie spotkał. Nie chce rozmawiać. Usprawiedliwia się. Nie ufa, że pozostanie anonimowy. Boi się utraty pracy za nielojalność wobec firmy. Chce utrzymać swój etat, chociaż to jeden z najgorzej płatnych zawodów w kraju. Nowo przyjęty listonosz dostaje zaledwie 2,4 tys. zł pensji zasadniczej, więc premią albo dopłatą Poczta Polska musi mu zrekompensować to, że brakuje 200 zł do wynagrodzenia minimalnego. Listonosz z niedużym stażem ma pensję zasadniczą 2,5 tys. zł, ale to i tak mniej niż minimum, więc pracodawca musi dołożyć premię albo 100 zł. Ale ta praca ma walor – jest. Dlatego mój rozmówca nie będzie kalał gniazda. A jeśli chcę wiedzieć, jak się pracuje teraz listonoszom, mogę sobie poczytać wpisy na Facebooku listonosza, który podpisuje się Roba Jędras.

Pandemia paczek

Roba Jędras mieszka w Oświęcimiu. Jest fanem pisarza Terry'ego Pratchetta, w każdym razie podaje się za absolwenta wymyślonej przez niego uczelni – Niewidocznego Uniwersytetu w Ankh-Morpork. Pisze jak profesjonalista, a nie wiejski listonosz, za jakiego się podaje. Nie wiadomo, co sprawiło, że w niedzielne popołudnie, 29 marca, postanowił opisać cały miniony tydzień pracy wiejskiego listonosza. Drugi tydzień po ogłoszeniu stanu zagrożenia epidemicznego. I od razu zapowiedział, że to pierwsza część relacji. Na razie na Facebooku są trzy części.

Poniedziałek, 23 marca: „Dziś mam już swoje rękawiczki. Te, które dostaliśmy parę dni temu, po pierwsze były śliskie. Z tego powodu wyśliznął mi się tablet, upadł na ziemię i pękł ekran". Nie żali się, że za naprawy tabletów listonosze muszą wnosić zryczałtowaną opłatę. „A, byłbym zapomniał – dostaliśmy maseczki jednorazowe. Dlatego pełen optymizmu wyruszyłem w rejon. Mam rejon wiejski, na którym w większości domów są pootwierane bramy, a do domu wchodzisz, pukając i otwierając drzwi, krzyczysz od progu: listonosz. Dziś wszystko pozamykane. (…) Czuć strach. Ale ludzie chwalą za rękawiczki i maskę. Uprzedzają o kwarantannie". Miękki list do starszej pani, zapewne ciuszek, zostawia w skrzynce przy bramce, żeby nie musiała chodzić na pocztę i narażać się na zakażenie. Ona nie odkrywa intencji i nazajutrz składa skargę, że zostawił paczkę, a ona nie podpisała.

We wtorek już nie ma maseczek, bo się skończyły. Nie będzie do końca tygodnia. Jak go pytają, dlaczego bez maseczki, Jędras żartuje, że to dlatego, że ludzie nie rozpoznawali listonoszy. W środę okazuje się, że jedna z listonoszek nie wytrzymała stresu i jest na zwolnieniu. Jej rejon trzeba obsłużyć, toteż pracy jest więcej niż zwykle. Poza tym – jak zauważa – do ludzi przychodzi tyle paczek co na Boże Narodzenie. W czwartek nawrzeszczał na niego jakiś starszy pan, któremu przyniósł list polecony, a on uznał, że Jędras za bardzo się zbliżył. W piątek jednej z klientek zaniósł chyba dziesiątą w tym tygodniu parę butów zamówionych przez internet. I pomyślał, co będzie po weekendzie. „Kolejne dni rozbiórki, niepewności i poczucia bycia kimś gorszym, tylko dlatego, że jestem listonoszem".

W następny poniedziałek powód do wzruszenia – w trzech miejscach adresaci zostawili mu rękawiczki i maseczki. Miał mokre oczy. We wtorek też znalazł na jednej z bram środki ochrony. W środę oprócz swojego wiejskiego rejonu musiał obsłużyć bloki. Nie lubi tego. Na czwarte piętro trzeba się wdrapywać po schodach, bo nie ma windy. A paczek do doręczenia tyle, że jest objuczony jak wielbłąd. Zauważa, że w rankingu nadawców w tym tygodniu prowadzą Decathlon i Bonprix. Kiedy przemierza opustoszałe wsie, czuje się jak stalker Red Shoehart z powieści braci Strugackich. Czwartek jest pierwszym dniem, kiedy na poczcie Jędrasa listonosze pracują na zmiany, żeby jedni z drugimi się nie stykali. Jędras, który w pracy zawsze ma lornetkę, żeby z daleka odczytać numery dowodów osobistych, żartuje, że jak będzie miał nocną zmianę, będzie musiał sobie dokupić lampę czołówkę. W piątek robi podsumowanie tygodnia: widział na ulicach sześć albo siedem osób, rozniósł jakieś 145 paczek i „pierdylion" listów. Za najdziwniejszą przesyłkę uznał kartkę świąteczną nadaną jako list polecony, na dodatek z potwierdzeniem odbioru.

Ze skrzynek na listy można wyciągnąć korespondencję przez otwór wrzutowy. I co, jeśli złośliwy sąsiad to zrobi?

Tydzień przedświąteczny. Poniedziałek, 6 kwietnia. Choć po weekendzie, Jędras czuje zmęczenie. Przypomina sobie, że miejscowa

eprasa.pl 121512869e

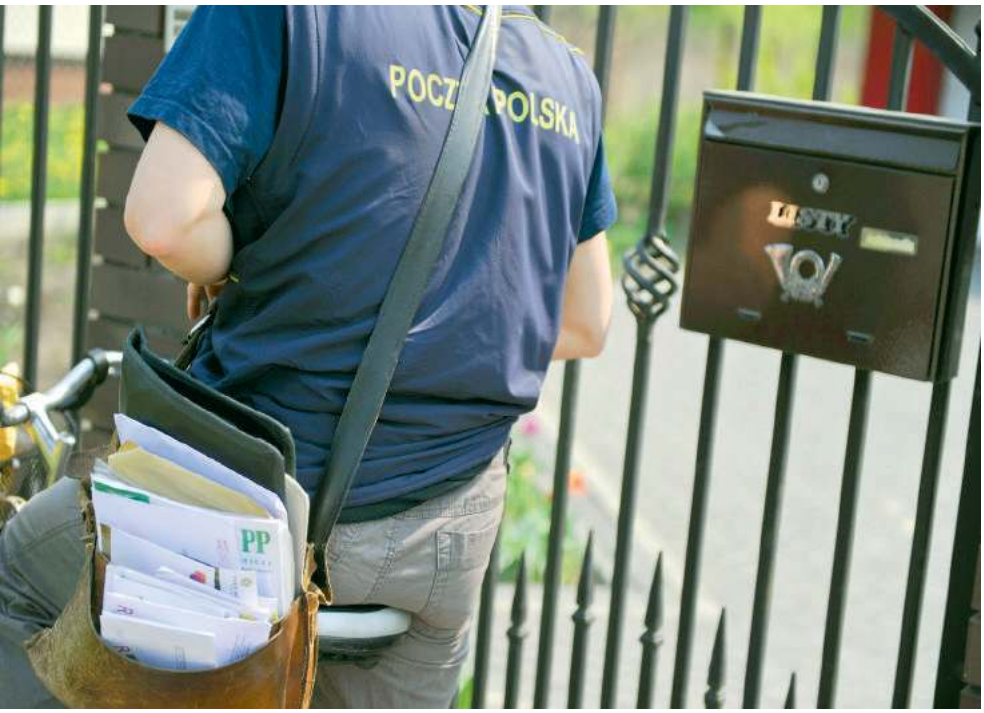

Korespondencyjne wybory oznaczają, że każdy listonosz będzie miał kontakt z tysiącami skrzynek pocztowych.

pani psycholog ostatnio zaoferowała jemu, a także jego koleżankom i kolegom listonoszom, wsparcie w trudnych chwilach. Nieodpłatnie. Jędras uświadamia sobie, że będzie musiał z tej pomocy skorzystać. We wtorek był dzień użalania się nad sobą. „Pamiętam, że kiedyś ludzie szanowali listonosza. Dziś można na nim odreagować swoje frustracje (…) czy okłamać w temacie kwarantanny i cieszyć się z udanego żartu". W środę uświadamia sobie, ile paczek roznosi: „Setki, tysiące. Śnią mi się nocami, widzę je w pracy, pod prysznicem i podczas kolacji. Świat walczy z zarazą koronawirusa, a nikt nie mówi o pandemii paczek". W przedświąteczny czwartek zauważa, że ludzie powoli ujarzmiają strach i interesują się pracą listonosza w czasach zarazy. Nawet nazywają bohaterem czy herosem. Ale on nie czuje się ani bohaterem, ani herosem. I wciąż toczy wewnętrzną walkę między poczuciem obowiązku a strachem.

Nie ma nic do stracenia

Roba Jędras ani słowem nie wspomina o tym, co od kilkunastu dni bulwersuje polityków opozycji i media. O tym, że właśnie Poczta Polska, a w szczególności listonosze mają być odpowiedzialni za przeprowadzenie wyborów korespondencyjnych prezydenta RP, zwanych wyborami kopertowymi. To bowiem listonosze, których w kraju jest 25 tys., mieliby dostarczyć do skrzynek pocztowych ok. 30 mln pakietów wyborczych. Dlaczego Jędras o tym nie pisze? Jako człowiek oczytany, o szerokich horyzontach, na pewno ma swoje zdanie. Ale zapewne nie widzi powodu, by się z nim afiszować.

Czy słyszał o Piotrze Moniuszce? Na pewno. I na pewno nie chciałby mieć takich problemów jak tamten, więc lepiej cicho sza. Piotr Moniuszko, jako przewodniczący Wolnego Związku Zawodowego Pracowników Poczty, jesienią zeszłego roku dość krytycznie wypowiedział się na temat kondycji finansowej Poczty Polskiej SA. Na reakcję władz spółki nie musiał długo czekać. 7 października został z hukiem zwolniony dyscyplinarnie i jako ojciec samotnie wychowujący syna z dnia na dzień pozbawiony źródła dochodu. Moniuszko jednak nie odpuścił. Złożył pozew do sądu pracy. A w kwestii zatrudnienia pomogli koledzy ze związku – dostał etat jako specjalista ds. prawa pracy. Nadal też jest przewodniczącym związku. Głosowało za nim 49 z 50 delegatów. Tylko on się wstrzymał, bo uważa, że na siebie samego głosować nie wypada.

– Pracownicy Poczty Polskiej dostali od zarządu bezwzględny zakaz wypowiadania się na temat spółki – opowiada Piotr Moniuszko. – Dlatego boją się rozmawiać o firmie. Mnie mówią: „Piotrek, ty już robotę straciłeś, to nie masz się czego bać". Faktycznie, nie mam nic do stracenia. Ludzie mają do mnie zaufanie, na które musiałem wiele lat pracować. Dzwonią do mnie, radzą się, opisują swoje problemy, bo wiedzą, że ja tego nie ujawnię. Może znajdzie się jakiś szaleniec, który będzie chciał o spółce rozmawiać, ale ja takiego nie znam. Przecież pocztowcy widzą, co się dzieje. Wiele prywatnych firm może zbankrutować, a ludzie stracą pracę. W razie zwolnienia z Poczty trudno będzie znaleźć inny etat.

Moniuszko wie, że listonosze boją się tych kopertowych wyborów. No bo tak – jeśli pakiet wyborczy zostanie np. uszkodzony lub nie zostanie dostarczony, odpowiedzialność poniesie listonosz. Nigdy tak nie było, żeby listonosz odpowiadał za coś, co nie jest ewidencjonowane. List polecony to co innego. Ale taki pakiet? Jak udowodnić, że został dostarczony? A za ukrycie lub zniszczenie pakietu jest kara grzywny. Z tych skrzynek na listy zgodnych z wymogami Unii Europejskiej można wyciągnąć korespondencję przez otwór wrzutowy. I co, jeśli złośliwy sąsiad to zrobi? – Listonosze chcieliby wiedzieć, w jakim zakresie mogliby się bronić – mówi Moniuszko.

Zastanawia się również, jak będzie ze spisami wyborców. Na przykład kobieta z powodu przemocy domowej wyprowadziła się z dziećmi do domu samotnej matki. A gdzie zostanie przysłany pakiet wyborczy? Pewnie na adres zamieszkania. Kobieta go nie odbierze, bo nie przyjdzie po niego do domu, bojąc się męża sadysty. A jak będzie z ludźmi bezdomnymi? Oni też mają prawa wyborcze.

Czy listonosze stali się strategiczną grupą zawodową? Moniuszko uważa, że nie, po prostu zostali wciągnięci w polityczne rozgrywki.

Solidarność jak zawsze popiera

W spółce Poczta Polska działa 85 związków zawodowych. Pozornie dużo, ale skoro do założenia związku wystarczy 10 osób, to w firmie, która zatrudnia ok. 80 tys. ludzi, mogłoby funkcjonować 8 tys. związków zawodowych. Wolny Związek Zawodowy Pracowników Poczty ma ok. 1 tys. członków. Nie jest najliczniejszy, ale

FOT. ADAM DAUKSZA/FORUM

eprasa.pl 121512869e

bardzo prężny. – Liczy się nie wielkość, tylko skuteczność – podkreśla Moniuszko. – Solidarność ma więcej członków, ale skuteczność bliską zeru. Nasz związek wybronił w sądzie pracy już 50 pracowników. Teraz codziennie przychodzi do związku ok. 100 mejli. Ludzie nie tylko liczą na pomoc, ale po prostu wspierają nas: „Trzymajcie się, róbcie swoje". A teraz, kiedy pojawiła się sprawa powierzenia listonoszom dostarczenia pakietów wyborczych, my też musimy zająć stanowisko.

Moniuszko uważa, że pomysł wyborów korespondencyjnych nie jest dobry. Sam zastanawia się, czy weźmie w nich udział: – Nie zamierzam robić frekwencji. A co się stanie, jeśli w wyborach weźmie udział 8% uprawnionych albo 1%? Gdybym był politykiem, to takiego mandatu bym nie przyjął.

Związek Zawodowy Pracowników Poczty Polskiej SA Wschód ma 700 członków. – Nie wierzę, że te wybory odbędą się w maju – mówi z przekonaniem jego przewodniczący Leszek Michoński. – Poczta Polska jest częścią infrastruktury krytycznej państwa i musi pracować niezależnie od sytuacji. Ale wydaje mi się, że do wyborów korespondencyjnych nie jest przygotowana. To jednak moje prywatne zdanie. My jako związek walczyliśmy o podwyżki dla ludzi i do 31 marca daliśmy zarządowi czas na podjęcie działań. Ale sytuacja się zmieniła. Teraz walczymy o przetrwanie.

Związek Zawodowy Listonoszy i Asystentów Poczty Polskiej ma ponad 300 członków. Jak twierdzi jego przewodniczący Czesław Dudek, na razie organizacja nie zajęła oficjalnego stanowiska w sprawie wyborów kopertowych. Nie wolno robić zgromadzeń, a statut związku nie przewiduje głosowania przez internet. Na razie więc nie wiadomo, czy związek poprze ideę wyborów korespondencyjnych, czy nie. Co przewodniczący myśli o zmianie na stanowisku prezesa Poczty Polskiej SA i umieszczeniu na tym stanowisku wiceministra obrony narodowej? – Prezesi się zmieniali, a myśmy musieli pracować – stwierdza krótko.

Największy związek zawodowy w firmie to należący do OPZZ Związek Zawodowy Pracowników Poczty, na czele którego stoi Sławomir Redmer. Już 4 kwietnia OPZZ negatywnie zaopiniowało poselski projekt ustawy wprowadzającej głosowanie korespondencyjne, który wpłynął do Rady Dialogu Społecznego. „Po pierwsze: niesie on duże zagrożenie dla życia i zdrowia pracowników Poczty Polskiej oraz Polek i Polaków odbierających przesyłki – czytamy w oświadczeniu OPZZ. – Wyrażamy szczególną obawę o zdrowie i życie ok. 25 tys. listonoszy, którzy w krótkim czasie będą musieli dostarczyć ponad 30 mln pakietów wyborczych pod niemal 20 mln adresów. Dla każdego z doręczycieli oznacza to kontakt z kilku, a nawet kilkunastu tysiącami klamek, skrzynek pocztowych, a być może nawet z chorymi odbiorcami. Organizacja wyborów w ten sposób to potężna sieć dystrybucji koronawirusa, narażająca zdrowie i życie listonoszy i ich rodzin oraz niezliczonej rzeszy klientów Poczty Polskiej. Po drugie: taka organizacja wyborów narusza podstawowe zasady demokracji: bezstronności, anonimowości i możliwości sprawowania nadzoru przez komitety wyborcze".

25 tys. listonoszy w krótkim czasie będzie musiało dostarczyć ponad 30 mln pakietów wyborczych pod niemal 20 mln adresów.

Organizacja Międzyzakładowa NSZZ Solidarność Pracowników Poczty Polskiej jest przeciwnego zdania. Przewodniczący związku Bogumił Nowicki przekonywał media, że jeśli Niemcy poradzili sobie z takimi wyborami, to i my sobie poradzimy. Korespondencyjny sposób przeprowadzenia wyborów jest bezpieczny i nie ma lęku przed nowym prezesem Poczty Polskiej, którym został były wiceszef MON, bo po odzyskaniu niepodległości przez Polskę poczta była tworzona przez wojskowych, którzy zorganizowali „całkiem dobre przedsiębiorstwo". Zapewne przewodniczącego Nowickiego nie zaskoczyłoby ani nie zbulwersowało zaprzęgnięcie do obsłużenia wyborów obrony terytorialnej.

A jeśli chodzi o zbieranie pakietów wyborczych – czy jest już pomysł? Może, na razie jednak nikt go nie ujawnił. Ale w tym względzie pomocny mógłby się okazać Kościół. Dochodzą z kraju informacje, że w niektórych parafiach w Wielką Sobotę, w związku z zakazem organizowania święcenia pokarmów, proboszczowie i klerycy podróżowali bryczką czy autem od siedliska do siedliska i kropili święconki. Co za problem zamienić kropidło na urnę wyborczą?

Ewa Smolińska-Borecka

eprasa.pl 121512869e

Z Galicji

Jan Widacki

Jak zwalczać cholerę?

W roku 1873 w Krakowie zmarł na apopleksję prof. Antoni Wachholz, historyk, były rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po latach jego syn Leon, profesor medycyny sądowej, tak to wspominał: „Ponieważ śmierć ojca przypadała na czas epidemii cholery, władze sanitarne miejskie zarządziły, aby przy katafalku ojca umieszczone były miseczki z karbolem surowym. Zapach ten utkwił mi tak w pamięci, że dziś jeszcze woń surowego karbolu nasuwa mi na pamięć katafalk w pokoju obitym kirem, ze zwłokami ojca. Z tego czasu zapamiętałem też nazwę choroby »cholera«. Panowała ona w tym roku silnie w Krakowie. Miasto latem się wyludniło, po ulicach uwijały się często żółte wozy sanitarne, zwane popularnie »kanarkami«, które przewoziły chorych do szpitali cholerycznych". Czemu miał służyć karbol w miseczkach przy zwłokach człowieka zmarłego na apopleksję, odgadnąć trudno. Król polskich medyków sądowych Leon Wachholz uważał to po latach za czysty idiotyzm. Ale władze sanitarne miasta w czasie epidemii uważały to za rzecz bezwzględnie konieczną, a ludzie te nakazy, ze strachu przed straszliwą zarazą, traktowali z całą powagą i byli wdzięczni władzom, że tak troszczą się o ich zdrowie.

Pierwszą stosowaną metodą, jak pamiętamy, było mierzenie temperatury pasażerów, którzy przylecieli do Polski z Chin lub krajów, gdzie epidemia już szalała. Ilu z nich przywiozło wirusa, nie wiadomo. Ale wtedy jeszcze minister zdrowia i główny inspektor sanitarny przekonywali, że epidemia nam nie grozi.

Brak testów i ściśle stosowanych procedur próbuje się zastąpić tą drugą metodą, powszechną izolacją. Stąd te nakazy i zakazy. Nakazy nieopuszczania domów, zakazy chodzenia w grupach większych niż dwuosobowe, obowiązek zachowania półtora- czy dwumetrowej odległości, zamknięte kina i teatry, galerie handlowe, lokale gastronomiczne, odwołane zajęcia na uczelniach i w szkołach, rozprawy w sądach, nawet ograniczenie liczby uczestników pogrzebu itd. Ale ten system z natury jest nieszczelny, bo szczelny być nie może! Działają poczta i firmy kurierskie, sklepy spożywcze, kopalnie i wiele zakładów pracy. Kierowcy tirów przyjeżdżający z zagranicy nie są poddawani kwarantannie ani nie robi się im testów. Lista wyjątków od zasady izolacji jest długa. Ktoś ze Śląska dziwił się, jak to jest, że górnicy na szychtę zjeżdżają stłoczeni w wieloosobowych windach, a po wyjechaniu tymiż windami spod ziemi nie mogą razem w ogródku wypić piwa, tylko zachowując dwumetrowe odstępy, muszą udać się do swoich domów.

Dziś mamy epidemię wprawdzie nie cholery, ale koronawirusa, jednak władze sanitarne i w ogóle państwowe wydają zarządzenia, z których niejedne są tak skuteczne jak miseczki z karbolem przy zwłokach zmarłego na serce w czasach cholery. Takich współczesnych „miseczek z karbolem" mamy dziś wielką mnogość.

Z teoretycznego punktu widzenia rozprzestrzenianiu się choroby skutecznie może zapobiec szybkie odizolowanie chorych i nosicieli wirusa od reszty społeczeństwa. To oczywiste. Aby ten cel zrealizować, trzeba by ich szybko zidentyfikować. Do identyfikacji służą testy. Musiałaby ich być odpowiednia liczba. Ale to nie wszystko. Musiałyby być jasno określone procedury, komu, gdzie i w jakich warunkach te testy robić, a wcześniej, komu zgłaszać podejrzenie zarażenia.

Krótko mówiąc, potrzebna jest odpowiednia liczba testów i sprawna organizacja. U nas testów robi się mało, a procedury doprowadzające do ich wykonania, a później zasady traktowania pacjentów czekających na diagnozę i wreszcie zdiagnozowanych, nie są ściśle przestrzegane lub po prostu ich brak. Teoretycznie można by to zastąpić pełną izolacją wszystkich, i tych zarażonych, i jeszcze niezarażonych, bez zadawania sobie trudu sprawdzenia, kto jest chory, a kto jeszcze nie. Jak nikt z nikim się nie spotka, to nikt nikogo nie zrazi. Ale nie trzeba przekonywać, że to absolutnie niewykonalne.

Każdy chyba bez trudu może wskazać przypadki, że ludzie zgłaszający się sami na test są albo odsyłani, albo czekają na niego po parę godzin w otoczeniu innych osób. I jeśli rzeczywiście są zarażeni, zarażają dalej, zanim zostaną odizolowani.

Dlaczego nie można wejść do lasu państwowego, a do prywatnego już wolno? Zresztą skąd ktoś ma wiedzieć, czy las jest prywatny, czy państwowy? Przed spacerem ma sprawdzić księgę wieczystą?

Czy wiemy, jaki procent ludzi zaraził się koronawirusem w lesie? Bo wedle oficjalnych danych dwadzieścia parę procent zaraziło się w placówkach służby zdrowia. O czym to świadczy? O dobrym wyposażeniu i sprawnej organizacji?

Najbardziej restrykcyjne ograniczenia i obowiązek izolacji nie zastąpią koniecznej liczby wykonywanych testów i procedur postępowania z zarażonymi i o to podejrzanymi.

Doceniam trud i poświęcenie tysięcy lekarzy i personelu medycznego. Nawet tych policjantów, którzy, też narażając się na zakażenie, wykonują swoje obowiązki, nie zawsze rozsądnie im narzucone. Dodać trzeba, że na ogół wykonują je rozsądnie i z kulturą. Choć i tu zdarza się, że zabraknie zdrowego rozsądku lub kultury, a czasem jednego i drugiego. Ale to na szczęście wyjątki od reguły.

Dziś słyszę w telewizji, że zmalała liczba wykonywanych testów. Obawiam się, że to w myśl zasady „stłucz termometr, nie będziesz miał gorączki". Inaczej mówiąc, nie róbmy testów, nie będziemy mieli nowych przypadków zarażeń koronawirusem? Czy chodzi o to, że 10 maja mamy wszyscy być zdrowi? Będziemy zdrowsi czy tylko gorzej zdiagnozowani?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 121512869e

PiS dobija państwo, które miało wzmocnić

Państwo oszczędza na najważniejszych filarach systemu: opiece zdrowotnej, edukacji publicznej, systemie emerytalnym

Rozmawia Jakub Dymek

Zacznijmy od wyjaśnienia pewnego paradoksu. Jak to się stało, że ty, liberał, krytykujesz teraz w książce „socjalny" rząd Prawa i Sprawiedliwości za nadmierną czy agresywną „drugą falę prywatyzacji"? O co tu chodzi?

– Książka „Druga fala prywatyzacji" wzięła się z obserwacji niepokojących zjawisk wokół mnie. Okazało się, że coraz więcej ludzi w Polsce odkrywa z przerażeniem rosnące wydatki na pewne usługi, które w teorii powinny być publiczne – prywatne szkoły czy przedszkola dla dzieci, prywatne wizyty u lekarza… Niezbędne w życiu rodziny rzeczy – takie jak mieszkanie i posłanie dzieci do przedszkola – stają się trudniejsze do zdobycia i droższe nawet dla ludzi żyjących na poziomie warszawskiej średniej. Gdyby dokuczało to i przeszkadzało wyłącznie mnie, nie byłby to oczywiście materiał na książkę. Ale wystarczyło zacząć ten proces obserwować, liczyć, rzucić okiem na dane i posłuchać ludzi, a wyłonił się z tego wyraźny i dotykający wiele osób problem.

Co wynika z tych liczb?

– Prywatyzacja, o której piszę i którą krytykuję, to następujący mechanizm: ludzie otrzymują pieniądze od państwa w ramach transferów socjalnych – one są dla nas, mają redukować nierówności, napędzać demografię, dawać zabezpieczenie najuboższym. Tak przynajmniej mówi rząd. Tylko ci sami ludzie te pieniądze wydają następnie na coraz droższe usługi, których państwo nie zapewnia – bo oszczędza na najważniejszych filarach systemu: opiece zdrowotnej, edukacji publicznej, systemie emerytalnym. Co gorsza, rząd twierdzi, że te pieniądze są „nowe"…

…legendarne „wystarczy nie kraść" Beaty Szydło?

DR ŁUKASZ PAWŁOWSKI

– socjolog i psycholog, członek redakcji „Kultury Liberalnej". Autor tekstów i wywiadów na temat polskiego i amerykańskiego życia politycznego. W 2014 r. otrzymał nagrodę NBP w kategorii najlepszy wywiad o tematyce ekonomicznej za rozmowę z Michaelem Sandelem „Pobudka z amerykańskiego snu". Najnowsza jego książka ma tytuł „Druga fala prywatyzacji. Niezamierzone skutki rządów PiS".

– „Wystarczy nie kraść" Beaty Szydło, „Nie wierzcie tym, którzy mówią, że się nie da" Andrzeja Dudy i wielokrotnie obiecywane nowe miliardy w każdym kolejnym budżecie Mateusza Morawieckiego. W rzeczywistości nie może być aż tak łatwo. Ktoś na tym tak naprawdę traci,

eprasa.pl 121512869e

a tym kimś w dzisiejszej Polsce są usługi publiczne. Ja w książce skupiam się na trzech, które mnie najbardziej interesują: edukacji, opiece zdrowotnej i emeryturach.

I PiS je prywatyzuje?

– Problem z „drugą falą prywatyzacji" polega na tym, że ludzie, którzy płacą podatki, a następnie część z nich otrzymuje transfery gotówkowe opłacane z tych podatków, i tak muszą raz jeszcze (czasem z tych samych świadczeń społecznych!) zapłacić za rzeczy, które te podatki powinny finansować.

Bo teoretycznie, skoro płacę podatki i składki w Polsce, mogę, gdy tego potrzebuję, pójść do lekarza. A w praktyce? Zanim się na niego doczekam w kolejce, wezmę swoje pieniądze i zarejestruję się prywatnie. Albo od razu opłacę miesięczny abonament w jednej z komercyjnych sieci. Badania zresztą pokazują to wprost. Polacy idą do prywatnych przychodni, by krócej czekać, a nie dlatego, że wierzą w ich lepszą jakość.

Co ciekawe i paradoksalne, PiS mówi o prywatyzacji funkcji państwa w swoim najnowszym programie. Krytycznie. Czytamy tam, że w czasach PO prywatne firmy ochroniarskie rzekomo robiły to, co powinny służby państwowe, i że jest to niebezpieczna i szkodliwa dla Polski praktyka. A teraz, gdy PiS rządzi, nie rozwiązuje problemu, tylko pogłębia w kluczowych obszarach działania państwa tę samą tendencję.

Mówisz o oszustwie, podczas gdy rządzący zapewniają – nie bez pewnych podstaw – że oni akurat swoje obietnice zrealizowali. Oszustwo zaś polega na tym, że co innego się obiecuje, a co innego – lub po prostu nic – daje.

– Mamy do czynienia z oszustwem, które polega na tym, że PiS reklamuje się hasłem solidarności. Jeszcze w 2005 r. Lech Kaczyński wprowadził podział na Polskę solidarną i liberalną, który zresztą partia do dzisiaj dość skutecznie rozgrywa. Swoje pomysły PiS przedstawia w kategoriach troski o najsłabszych, redukcji nierówności, wyciągania ludzi z biedy. Fakt, 500 zł miesięcznie to kwota nie bez znaczenia, szczególnie dla uboższych, nie ma co się spierać. Jest jednak poważne ale.

Gdy wprowadza się świadczenia gotówkowe – 500+ czy 13. emeryturę – a zaniedbuje usługi publiczne, to skutki są dokładnie takie, jak opisuję, czyli państwo jest zastępowane przez prywatnych usługodawców, przy większych kosztach dla przeciętnego obywatela, zmuszonego do coraz to nowych inwestycji w sfery życia, z których wycofało się państwo.

Cyniczny argument przeciwko twojej tezie jest taki: w Polsce każdy rząd zaniedbywał usługi publiczne, a ci przynajmniej dają pieniądze, za które możesz sobie kupić te same rzeczy prywatnie.

– Tylko że nie możesz! To złudzenie i zaraz powiem, dlaczego. Po pierwsze jednak, ten rząd obiecywał coś innego. PiS nie szło do wyborów z hasłem np. rozdania ludziom bonów edukacyjnych, które mają oni sobie realizować w prywatnych szkołach, prawda? Szło z obietnicą stworzenia solidarnego społeczeństwa, wyrównania nierówności, zlikwidowania ubóstwa. To, już widzimy, nie sprawdza się, bo z całego państwa dobrobytu, jakie miało w Polsce powstać, zostały raptem bezpośrednie świadczenia gotówkowe.

Po drugie, twierdzenie, że ludzie mogą sobie kupić lepsze usługi za 500 zł, jest zwyczajnie nieprawdziwe. Gdy potrzebujesz opłacić dziecku korepetycje, zajęcia dodatkowe lub wyrównawcze, miejsce w prywatnej szkole, rehabilitację, cokolwiek… za 500 zł nie ma na to szans. Miejsce w prywatnej szkole to minimum 1000 zł miesięcznie. Nie inaczej jest ze służbą zdrowia. Możesz wykupić prywatne ubezpieczenie za np. 80 zł miesięcznie. Ale od osoby, których w gospodarstwie domowym jest przecież kilka, a to i tak tani pakiet. Ceny zaś i wydatki rodziny na prywatne usługi medyczne rokrocznie rosną. W dodatku system prywatny już zaczyna być niewydolny, z tych samych zresztą powodów co publiczny – mamy w Polsce mało lekarzy, często ci sami leczą w kilku miejscach, tworzą się kolejki. Co więcej, w wypadku poważnej i przewlekłej choroby prywatna służba zdrowia i tak nie pomoże.

No i po trzecie wreszcie, pozostaje pytanie: po co? Skoro płacimy podatki, dlaczego mamy raz jeszcze płacić za to samo prywatnie?

Dziś, po tym jak Polskę dotknęła pandemia, każdy polityk powie, że wydatki na służbę zdrowia trzeba zwiększyć, a usługi publiczne są kluczem do sprawnego państwa. Problem w tym, że jeszcze do niedawna nikt nie chciał tego słuchać. Politycy twierdzili zgodnie, że służba zdrowia i usługi publiczne, nawet jeśli ważne, nie są sexy, natomiast 500 zł w portfelu to konkret, który zobaczy każdy.

– Zarazem ta 13. emerytura, w rzeczywistości – dodajmy – mniejsza od minimalnej emerytury i wynosząca ok. 1000 zł, nie pokryje żadnych wydatków na opiekę zdrowotną, a lepsza geriatria w Polsce mogłaby naprawdę ratować życie. Ale owszem, nikt już dziś nie podniesie ręki na raz dane świadczenia społeczne, one są nie do ruszenia. Ryzyko jest inne – że partie opozycyjne, pomimo wiedzy o wadach modelu pisowskiego, będą postępować zgodnie z jego logiką. Pamiętamy przecież, jak opozycja miotała się od ściany do ściany, raz mówiąc, że 500+ to korupcja ▸

PiS nie szło do wyborów z hasłem rozdania ludziom bonów edukacyjnych, które mają sobie realizować w prywatnych szkołach. Szło z obietnicą stworzenia solidarnego społeczeństwa.

Twierdzenie, że ludzie mogą sobie kupić lepsze usługi za 500 zł, jest nieprawdziwe.

W wypadku poważnej i przewlekłej choroby prywatna służba zdrowia i tak nie pomoże.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 121512869e

polityczna, a raz obiecując, że da nawet więcej, i to na każde dziecko. Chyba najlepiej widzimy właśnie teraz, że pożytki z bezpośrednich transferów gotówkowych się wyczerpują – że dzięki dodatkowym kilkuset złotym nie uratujemy się przed nędzą publicznej szkoły, nie polepszymy swoich warunków mieszkaniowych ani nie zadbamy o zdrowie najbliższych w czasie epidemii. Widzimy to, ale wcale nie mamy gwarancji, że wśród osób kształtujących politykę w Polsce ktoś tę lekcję rozumie i wyciąga wnioski.

Twoja ocena polityki społecznej w Polsce ostatnich lat jest chyba jeszcze surowsza. Redystrybucja w wydaniu PiS – dajesz do zrozumienia – nie zasypuje nierówności społecznych, ale je pogłębia. Piszesz, że „PiS dzieli Polaków na lepszy i gorszy sort nie tylko retorycznie, ale także jak najbardziej realnie".

– Tak jest. Pierwszy z brzegu przykład to cofnięcie reformy edukacji wysyłającej sześciolatki do szkół – to była reforma wyrównująca szanse. Sprawa edukacji najbardziej mnie boli, bo mam dzieci w wieku przedszkolnym.

Dziś pewna grupa dzieci, których rodziców na to stać i którzy przywiązują do edukacji określoną wagę, wypłynie poza system edukacji publicznej. Nie będzie miała żadnego kontaktu z innymi dziećmi, tymi, które nie miały pieniędzy ani szans pójść do lepszych szkół. I nie mówię tu, że wszystkie prywatne szkoły są lepsze od wszystkich publicznych. Ale jeżeli w centrum zainteresowania będą placówki prywatne i do nich będzie trafiać coraz więcej środków, kosztem publicznych, to za nimi pójdą nauczyciele, rodzice i dzieci – jeszcze bardziej osłabiając sektor publiczny. Nauczyciele dziś też wybierają lepsze warunki pracy, prywatyzacja ma wpływ nie tylko na tych, którzy korzystają z usług, ale i na tych, którzy je świadczą. Kto na tym straci? Ci, którzy nie mają odziedziczonych kapitałów – kulturowego czy symbolicznego – i dla których szkoła publiczna to jedyna opcja.

Skoro płacimy podatki, dlaczego mamy raz jeszcze płacić za to samo prywatnie?

A te same zjawiska, przyśpieszone przez bezpośrednie transfery pieniężne, odtwarzają się w innych gałęziach działania państwa. Lekarze również idą tam, gdzie jest zapotrzebowanie itd.

Skąd przekonanie czy nadzieja, że gdyby władzę dzierżyła dzisiejsza opozycja, byłoby inaczej? Czy trend do prywatyzacji, urynkowienia i uelastycznienia wszystkiego, co się da, zostałby powstrzymany, a nie przyśpieszony przez jakiś kolejny program „taniego państwa", partnerstwa publiczno-prywatnego, bonów edukacyjnych albo podatku liniowego?

– Z tym, jakie opozycja ma postulaty programowe, bywa naprawdę różnie, bo przecież swego czasu Platforma proponowała dopłaty do pensji, rozszerzenie programu 500+ i 13. emeryturę… Nie mogę nikomu obiecać, że dzisiejsza opozycja rządziłaby w jakimkolwiek wymiarze lepiej. Wciąż jednak mam nadzieję, że jest bardziej otwarta na krytykę, dyskusję i nowe pomysły niż partia rządząca, która na to jest absolutnie immunizowana. Tam nie ma prób zrozumienia, co w następstwie jej rządów się dzieje.

Widzimy to teraz, gdy wszelkie wysiłki zmierzają do utrzymania władzy, a nie do realizacji nawet własnych, deklarowanych przez partię rządzącą celów, takich jak wzmocnienie pozycji Polski na arenie międzynarodowej, zmniejszenie nierówności czy usprawnienie państwa. Nie widzę, aby PiS troszczyło się choćby o to, co samo określiło jako najważniejsze cele i wyzwania dla Polski, więc tym bardziej nie mam teraz nadziei na produktywną, krytyczną dyskusję z rządzącymi.

Opozycja zaś przez długi czas proponowała na to anty-PiS.

– Czasem, gdy rozmawiam z politykami opozycji, czuję – i jest mi z tym głupio! – że to mnie bardziej zależy na zmianie polityki, jaką prowadzi się w Polsce. I że to ja mam silniejsze przekonania na temat tego, co można i należy poprawić. Doskonale było to widać przez ostatnie kilka lat, gdy ta otwartość czy skłonność do dyskusji programowych – za które przed chwilą opozycję chwaliłem – przybierała karykaturalną postać. Była gotowość, by energicznie zwalczać „rozdawnictwo" – i niemal jednocześnie obiecywać rozszerzenie tych samych programów społecznych, które się krytykuje! Po stronie opozycji brakuje elementarnej zdolności wyłożenia własnych poglądów.

Można mojej książce zarzucać, że jest idealistyczna, bo „500 zł każdy widzi w portfelu", a lepsza edukacja to bardzo ogólny postulat. Ale uważam, że tym bardziej należy podkreślać cenę bezpośrednich świadczeń i wartość usług publicznych. Epidemia tylko dodaje moim tezom aktualności, bo deficyty usług publicznych widzimy dziś wyraźnie, podobnie jak dostrzegamy, co się stanie, gdy zamiast realnie inwestować w państwo, będziemy kontynuować wyłącznie politykę bezpośrednich świadczeń. Zwrócenie uwagi na ten problem – „drugiej fali prywatyzacji" PiS i jej skutków dla państwa – otwiera moim zdaniem pakiet poglądów, którego opozycja mogłaby teraz bronić.

Rozważasz w książce kilka popularnych interpretacji dominacji PiS w sferze kultury i tożsamości – czy to katolicyzm, czy tradycjonalizm, czy coś jeszcze innego decyduje o tym, że partia Jarosława Kaczyńskiego zdaje się być górą w wielu tych sporach. Ale tak naprawdę najciekawsza wydaje mi się odpowiedź najprostsza. Pisowcom – w przeciwieństwie do liberalnej

eprasa.pl 121512869e

opozycji – o coś chodzi, widać, że mają jakieś poglądy i mocne przekonania, walczą o swoje do upadłego nawet w sprawach beznadziejnych.

– Żyjemy w czasach deficytu stabilności i bezpieczeństwa – to już powoli staje się banałem. Zmienia się wokół nas bardzo wiele rzeczy: technologia, rynek pracy, nasza obyczajowość. Pandemia także w wielu dziedzinach życia oznacza natychmiastową zmianę.

PiS wyrąbało sobie pozycję partii, która ma pewną wizję świata i chce jej bronić. Nie obiecuje powstrzymania wszelkich zmian i cofnięcia zegara historii. Ale zarazem obiecuje przynajmniej część z nich powstrzymać i zapanować nad tym, co się dzieje. Chronić Polskę i prowadzić ją z dala od tego, co zdaniem PiS szkodliwe.

Opozycji, właśnie przez to, że sama często dopiero szuka swoich poglądów, było z taką obietnicą trudno konkurować, nawet jeśli na każdym kroku widać, że jest to obietnica dziurawa. A hasło: „Jesteśmy silną partią, z mocnym zdaniem i poglądami, potrafimy uchronić was przed chaosem" działa. Zaznaczmy też, że religijność – te wszystkie deklaracje Kaczyńskiego, że poza Kościołem czeka Polskę nihilizm – ma moim zdaniem drugorzędne znaczenie. Dużo istotniejsza jest obietnica stabilności i przywrócenia „bezpieczeństwa" w świecie, który galopuje. Do podobnych sloganów i odruchów z sukcesami odwołują się rządzący w innych krajach, o zupełnie nieprawicowym rodowodzie. Na przykład Emmanuel Macron mówi o „Europie, która chroni".

To właśnie masz na myśli, gdy piszesz, że „prawica obiecuje alternatywny model modernizacji"?

– Tak, ona uparcie poszukuje propozycji konkurencyjnych dla europejskiej, zachodniej wersji nowoczesnego państwa dobrobytu – czegoś, co byłoby i swojskie, i lepsze. Stąd ta idealizacja II RP i 20-lecia międzywojennego, stąd wynajdywanie historycznych patronów dla rozmaitych przedsięwzięć, stąd nowe nazwy i kostium dla starych pomysłów. I PiS realizuje te pomysły, nawet gdy nie mają żadnego sensu ekonomicznego, gdy upadają albo okazują się mrzonką, gdy wypalają pisowcom prosto w twarz. Weźmy pomysł kupna niemieckich linii lotniczych przez LOT, odbudowę przemysłu stoczniowego czy polskie auto elektryczne Morawieckiego… To się kompletnie rozłazi, ale daje poczucie, że państwo działa, ma plany i „coś robi".

Interesujące, że ostatecznie jako przykład polityka, który potrafi wyartykułować sprzeciw wobec pisowskiej wizji i zarysować konkurencyjne postulaty, podajesz Adriana Zandberga.

– Zaznaczmy od razu, że nie deklaruję się jako wielbiciel Zandberga, nie podzielam też wielu postulatów partii Razem. A jednak to Zandberg w odpowiedzi na exposé premiera Morawieckiego był w stanie przekonująco, logicznie i z pasją wyartykułować to, w co wierzy. Jego kontrexposé wzbudziło ogromne poruszenie. Czy dlatego, że ludzie zapałali miłością do wszystkich lewicowych postulatów? Wiemy, że nie. Ale sam fakt, że wyszedł przygotowany i merytorycznie, klarownie pokazał te postulaty, był powiewem świeżości. To pokazuje, jak nisko zawieszona jest poprzeczka, ale skoro obejrzały to miliony ludzi – widać potencjał. Wracam do tego, bo to jest właśnie dowód, że jeśli ktoś ma poglądy i w nie wierzy, jest w stanie przynajmniej zdobyć uwagę. A to również niezbędny warunek do prowadzenia sporu politycznego w Polsce i ewentualnej zmiany polityki na lepsze, bez kapitulowania przed wszystkim, co rządzący w danej chwili narzucają debacie publicznej.

Inna rzecz, że z Zandbergiem jest jak ze spławikiem, który robi ruch na powierzchni wody, po czym znika i go nie widać. Lewica nie wykorzystała tej wielkiej uwagi i impetu, które były efektem sejmowego wystąpienia Zandberga – przynajmniej nie w sposób zauważalny w sondażach.

Ale duża część liderów opinii po stronie opozycji jest słaba. Mieli poglądy płytkie, zmienne, nieugruntowane w żadnych głębszych przemyśleniach o świecie i wartościach, których byliby skłonni bronić.

– Nie chcę się odnosić do konkretnych nazwisk, ale widzimy przecież, jak znaczna część polityków zmienia poglądy. I to daje o sobie znać w najbardziej oczywisty sposób, bo w zmieniających się co wybory programach ich partii.

Wejdę ci jednak w słowo: poglądy można zmieniać, czasem nawet trzeba. Problem powstaje, gdy nie wypływają one z niczego trwalszego i gdy w ich obronie nie chce się specjalnie wiele poświęcić lub zaryzykować.

– Część polityków nie wie, czego chce, bo nie ma tego dogłębnie przemyślanego; część wie, ale nie potrafi tego komunikować; część zaś rzeczywiście jest koniunkturalna i zmienia zdanie pod nastroje społeczne.

Ja oczekiwałbym, że polityk ma zdolność narzucania swojego sposobu myślenia i opisywania rzeczywistości, a nie tylko chodzenia z termometrem i sprawdzania temperatury opinii publicznej na każdy temat. Z tymi poglądami wychodzi się do ludzi, rozmawia się o nich i ich broni, a nie na odwrót – ogląda się na sondaże w poszukiwaniu poglądu, który w danej chwili warto mieć.

Jakub Dymek

Około 1000 zł 13. emerytury nie pokryje żadnych wydatków na opiekę zdrowotną, a lepsza geriatria mogłaby ratować życie.

Prywatyzacja ma wpływ nie tylko na tych, którzy korzystają z usług, ale i na tych, którzy je świadczą.

eprasa.pl 121512869e

Zwolnienia pod specjalnym nadzorem

Polski rząd zablokował możliwość pracy Polaków w Czechach, podczas gdy Czesi bez problemów mogą pracować w Austrii czy Niemczech

Łukasz Grzesiczak

– Nasza inicjatywa jest apolityczna. Nie chcemy walczyć z rządem, chcemy tylko chodzić do pracy – mówi Alan Szatyło, pomysłodawca petycji do premiera Mateusza Morawieckiego, w której już ponad 7 tys. osób żąda umożliwienia przekraczania polskiej granicy przez pracowników transgranicznych. – Postanowiliśmy działać, kiedy wskutek decyzji polskich władz wzdłuż całej południowej granicy było słychać narzekania Polaków, którzy tracą pracę – tłumaczy.

Problem może dotyczyć nawet 30-40 tys. osób. Według danych GUS w Czechach pracuje 47 tys. Polaków, zdecydowana większość to pracownicy transgraniczni, którzy mieszkają w Polsce i każdego dnia przekraczają granicę. W tej liczbie ujęte są też osoby, które przeprowadziły się do Czech, gdzie pracują.

Od 27 marca polski rząd uniemożliwił Polakom mieszkającym w kraju chodzenie do pracy w Czechach. Po powrocie muszą się poddać 14-dniowej kwarantannie. Wcześniej przez kilka dni granice były zamknięte, ale pracownicy transgraniczni mogli je przekraczać.

– Mieszkam w Wodzisławiu Śląskim i od czterech lat pracuję w Ostrawie, w firmie produkującej podzespoły motoryzacyjne – opowiada Alan, który do pracy jeździł 50 km w jedną stronę drogą ekspresową. – Cztery lata temu rynek pracy w Polsce był gorszy niż teraz, a płace w Czechach wyższe.

Jego zdaniem najwięcej Polaków pracuje w czeskich hutach, kopalniach, przy produkcji podzespołów motoryzacyjnych. Jednak nie tylko. – Firma produkująca narzędzia chirurgiczne w Karwinie straciła pracowników, których większość pochodziła z Polski. W czasie kiedy szczególnie potrzebny jest sprzęt medyczny, nieprzemyślana decyzja polityków prowadzi do takich absurdów – podkreśla i dodaje: – Przykro mi, że rząd nie reaguje na nasze postulaty. Dlaczego mamy być męczennikami, gdy inne kraje pozostawiły otwarte granice dla pracowników transgranicznych?

Wiele osób straciło pracę, niektóre dowiedziały się o tym z SMS-ów. Alan Szatyło ma więcej szczęścia, wziął po prostu urlop wypoczynkowy, ale nie wszyscy mieli taką możliwość. – Nieprawdą jest, że każdy ma płacone jakieś postojowe – wyjaśnia. – Część w obawie przed utratą pracy idzie na L4. Inni lądują na kwarantannie. W ten sposób mogą liczyć na czeskie wsparcie. Lepiej, by rząd pozwolił nam po prostu pracować – apeluje.

Anna Weisberg z Jastrzębia-Zdroju właśnie straciła pracę w Czechach. Uważa, że Czesi wykorzystali koronawirusa i pozbyli się niepotrzebnych pracowników z Polski. – Dwa i pół roku pracowałam w Nowym Jiczynie przy produkcji lamp samochodowych. Byłam zatrudniona przez czeską agencję pracy tymczasowej. Do zakładu jeździłam pracowniczym busem – opowiada.

O znalezieniu zatrudnienia w Czechach zdecydowały względy ekonomiczne, Czesi po prostu więcej płacą. – Wszędzie mówiło się o koronawirusie i namawiano, by zachowywać się odpowiedzialnie. Czułam się źle, bolało mnie w płucach. Lekarz dał mi L4 i od 12 marca przebywałam na zwolnieniu lekarskim – wyjaśnia. 17 marca zadzwonił do niej przedstawiciel czeskiej agencji pracy i zwolnił ją telefonicznie. – Powiedział, że z powodu epidemii ograniczają produkcję. Zawalił mi się świat. Samodzielnie wychowuję 11-letnią córkę. Nie mamy środków do życia poza 500+, dostaję też 250 zł alimentów na dziecko. Nie mam pieniędzy na poradę prawną i w obecnej sytuacji szansa na znalezienie innej pracy jest niewielka – zamartwia się. W dodatku nie może korzystać z bezpłatnej opieki zdrowotnej w Polsce, bo nie jest u nas ubezpieczona. Co gorsza, nie może się zarejestrować jako osoba bezrobotna, bo w Czechach przebywa na zwolnieniu lekarskim.

eprasa.pl 121512869e

Most Wolności w Cieszynie zamknięty ze względu na epidemię koronawirusa, także dla pracowników transgranicznych.

Problem pracowników transgranicznych dotyczy także osób pracujących w Polsce, które, jak Patrycja Wieczorek z mężem, mieszkają w Czeskim Cieszynie. Marcin ma więcej szczęścia, bo może pracować zdalnie. Patrycja, zatrudniona w markecie budowlanym, od dwóch tygodni siedzi w domu.

– Popieramy inicjatywę przywrócenia możliwości przekraczania granicy przez pracowników transgranicznych, bo sami nimi jesteśmy, przy czym nasza sytuacja jest specyficzna. Ten problem dotyka przede wszystkim Polaków pracujących w Czechach, ale jest grupka Polaków mieszkających w Czechach, takich jak my, którym decyzja polskiego rządu uniemożliwiła wykonywanie obowiązków zawodowych w Polsce – tłumaczy Patrycja Wieczorek.

Wieczorkowie trzy lata temu kupili mieszkanie w Czeskim Cieszynie. – Zdecydowały głównie kwestie ekonomiczne. Mieszkanie w Czechach było wówczas znacznie tańsze, a oferta kredytowa czeskiego banku o wiele korzystniejsza – wspomina Patrycja. Oboje pracowali w Polsce i brali pod uwagę ewentualne utrudnienia przy przekraczaniu granicy. – Zawsze jednak można było tę granicę przejść.

Dopóki nie zaatakował koronawirus. Polacy i Czesi zdecydowali o uszczelnieniu granicy, ale pozostawili ją uchyloną dla pracowników transgranicznych, których w Cieszynie i Czeskim Cieszynie nie brakuje. Idąc do pracy, Patrycja przekraczała granicę czesko-polską. Na szczęście mieszka na tyle blisko miejsca pracy, że trasę pokonuje pieszo. – Nosiłam komplet dokumentów. Na początku wzięłam wszystko, co mogło być potrzebne. Dokumenty poświadczające *přechodný* pobyt w Republice Czeskiej, umowę kupna mieszkania, umowę o pracę i paszport – wylicza. Z czasem pracodawca wydał jej zaświadczenie, że pracuje w Polsce. W dużym markecie jest obecnie jedyną osobą, która do pracy przychodziła z zagranicy. Strona polska wymagała jeszcze wypisywania tzw. karty pasażera, gdzie podawano m.in. datę przekroczenia granicy i adres zamieszkania, natomiast strona czeska – książki pracownika transgranicznego, w której czescy celnicy codziennie przybijali pieczątki z datą wyjścia z Czech i powrotu. Dodatkowo za każdym razem polskie służby graniczne mierzyły temperaturę.

W Czechach pracuje 47 tys. Polaków, zdecydowana większość to pracownicy transgraniczni, którzy mieszkają w Polsce.

Polski market budowlany stracił wielu klientów, bo przynajmniej połowa z nich to Czesi, a ci – ze względu na regulacje – nie mogli chodzić na zakupy do Polski. Patrycja Wieczorek do karty pasażera nie zdążyła się przyzwyczaić, bo polski rząd zdecydował, że od 27 marca nawet pracownicy transgraniczni po przekroczeniu polskiej granicy muszą trafić na 14-dniową kwarantannę. Gdyby Patrycja poszła do pracy, znalazłaby się w kwarantannie. Do końca nie jest jasne gdzie. Można skorzystać ze specjalnych miejsc, które przygotowali Polacy. – Rząd dał pracownikom transgranicznym niecałe dwa dni na decyzję i całkowitą zmianę życia, w tym sytuacji zawodowej. Kwarantannę mogłabym spędzić np. w domu w rodzinnym Wodzisławiu Śląskim lub u teściów w Rydułtowach. To kuriozalne. W Czeskim Cieszynie mieszkam z mężem i gdybym złapała koronawirusa, mogłabym zarazić nim tylko jego. W Wodzisławiu byłyby narażone dwie osoby w grupie ryzyka, podobnie jak u rodziców męża – tłumaczy.

Rząd dał pracownikom transgranicznym niecałe dwa dni na decyzję i całkowitą zmianę życia, w tym sytuacji zawodowej.

Teoretycznie po 14-dniowej kwarantannie Patrycja mogłaby w Polsce mieszkać w Wodzisławiu Śląskim lub Rydułtowach i jeździć do pracy do Cieszyna. Jednak to zupełnie nieopłacalne i dla wszystkich kłopotliwe, zwłaszcza biorąc pod uwagę odległość. Poza tym równałoby się rozstaniu z mężem co najmniej na kilka tygodni. W takiej sytuacji pozostał jej tylko urlop. Ten jednak kiedyś się skończy. – Potem, za zgodą pracodawcy, można wziąć jeszcze urlop bezpłatny, a to już oznacza spore problemy. A co, jeżeli koronawirus, jak przewidują niektórzy eksperci, wróci jesienią? – zastanawia się Patrycja. Dlatego rozważa znalezienie pracy w Czechach.

Patrycja podatki płaci w Polsce, tu trafiają też jej składki na ubezpieczenie zdrowotne. Zakupy spożywcze – jak dotąd – także robiła w Polsce, bo taniej. W Czechach płaci jedynie podatek za mieszkanie. Do lekarza chodziła w Polsce. – Mam kartę EKUZ, która upoważnia mnie do skorzystania z czeskiej służby zdrowia w nagłych wypadkach. Ze względu na niewielką odległość i ubezpieczenie w Polsce nie było potrzeby ubezpieczania się w Czechach. Teraz, po zamknięciu granicy, musiałam wykupić dodatkowe ubezpieczenie, a to kolejne koszty.

Do momentu oddania tego tekstu polski rząd nie odniósł się do problemu polskich pracowników transgranicznych. Autorzy petycji nie otrzymali żadnego oficjalnego stanowiska, a Centrum Informacyjne Rządu nie odpowiedziało na nasze pytania. Za to do sprawy na konferencji prasowej odniósł się czeski minister spraw zagranicznych Tomáš Petřícek. Jego zdaniem należy wypracować porozumienie dotyczące pracowników transgranicznych. Jest ono konieczne „z uwagi na potrzeby czeskich szpitali lub innych instytucji związanych z ochroną zdrowia, w których pracuje wielu polskich obywateli, którzy często nie chodzą do pracy". Tomáš Petícek przyznał, że to duży problem dla czeskich władz.

Trzeba jednak pamiętać, że to problem, który stworzyli Polacy. Czesi proponują jego rozwiązanie analogicznie do tego, jak oni sami regulują pracę swoich obywateli, pracowników transgranicznych w Austrii czy Niemczech. ■

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 121512869e

Małgorzata P. Bonikowska
Korespondencja z Kanady

Team Canada daje radę!

Odłożono na bok konflikty, dawni przeciwnicy polityczni są w stałym kontakcie i wspólnie radzą, jak pomóc

Codziennie siedzę w środku ludzkiego bólu i strachu, bo prowadzenie dziennika „Gazeta" oznacza nieustanny obowiązek bycia na bieżąco i podawania aktualnych informacji, najnowszych restrykcji, liczby ofiar i zachorowań. Czytelnicy czekają na podsumowania tego, co jest rozproszone w tylu miejscach. To czas, kiedy media etniczne liczą się bardziej niż zwykle w wielokulturowej Kanadzie – wielu Kanadyjczyków imigrantów z ponad 200 grup etnicznych potrzebuje informacji w ojczystych językach.

Słupki na wykresach zachorowań na COVID-19 stale idą w górę. Pierwszy przypadek zakażenia stwierdzono 27 stycznia w najbardziej zaludnionej prowincji Ontario. 15 kwietnia mamy ponad 27 tys. zakażeń, 71,4 na 100 tys. osób. Na tę średnią wpływają głównie wyniki z wyjątkowo ostro zaatakowanej przez COVID-19 prowincji Quebec (166,9 na 100 tys. mieszkańców). Pierwszy zgon spowodowany koronawirusem zanotowano 9 marca w Kolumbii Brytyjskiej. Dzisiaj jest ich 980. 90% ofiar to ludzie powyżej 60. roku życia, większość z domów opieki. Pozytywna wiadomość to 8234 wyzdrowienia.

Rzeźba przed szpitalem Princess Margaret w centrum Toronto.

My i oni

Jak zawsze jesteśmy my, Kanadyjczycy, i oni – Amerykanie. Tak różni, ale tak bardzo powiązani. Granice można zamknąć, ale transport musi działać, bo codziennie w obie strony przewożone są towary niezbędne w obydwu krajach. Kiedy niedarzony ani sympatią, ani szacunkiem w Kanadzie prezydent Trump zaczął grozić, że wyśle na północną granicę wojsko, lub próbował zakazać eksportu masek do Kanady, politycy z Ottawy przypomnieli mu o tysiącu pielęgniarek, które mieszkają w przygranicznym kanadyjskim mieście Windsor, a pracują w szpitalach w Detroit. Czy mają przestać pomagać amerykańskim pacjentom?

Pandemia obnażyła prawdziwe oblicze USA, z milionami Amerykanów niemających dostępu do służby zdrowia, szokującymi kontrastami między baśniowym bogactwem a slamsami, kilometrowymi kolejkami do banków żywności, tysiącami dzieci w Nowym Jorku, które wraz z zamknięciem szkół utraciły codzienne posiłki w ramach szkolnych programów dożywiania. I do tego egocentryczny przywódca, ignorujący autorytety naukowe, zainteresowany tylko sobą.

Stąd tak ogromne różnice między obrazem pandemii w Kanadzie i Stanach. Uniwersalna, bezpłatna służba zdrowia w Kanadzie, dostępna dla wszystkich w takim samym stopniu, to gwarancja sprawiedliwości i równości. Nie ma prywatnego sektora ochrony zdrowia, każdy ma taki sam dostęp do lekarzy, szpitali, pomocy.

Osobom, które straciły pracę, są chore albo opiekują się chorym członkiem rodziny, przez cztery miesiące przysługuje zasiłek 2 tys. dol. miesięcznie.

Zero biurokracji, proste procedury

Kiedy w 2003 r. Kanadę zaatakował wirus SARS, najbardziej ucierpiało Toronto. Pamiętam opustoszałe korytarze szpitali, ludzi w maskach. Z perspektywy obecnej pandemii COVID-19 nie była to wielka epidemia, ale posłużyła jako lekcja.

W 2004 r. powstała Public Health Agency (Agencja Zdrowia Publicznego), wydział federalnego Ministerstwa Zdrowia, zajmujący się kwestiami zdrowotnymi na masową skalę – działaniami prewencyjnymi, epidemiami, uruchamianiem w razie zagrożeń współpracy między Ottawą a dziesięcioma prowincjami i trzema

FOT. ZBIGNIEW BEŁZ/GAZETA

eprasa.pl 121512869e

terytoriami. Powstały plany i rezerwy na wypadek, gdyby coś takiego wydarzyło się ponownie. To wtedy zwyciężyło przekonanie, że trzeba słuchać tych, którzy wiedzą, i opierać się na solidnej nauce, a nie na polityce.

Każdy dzień ma trzy główne punkty – konferencje prasowe transmitowane na żywo przez media: lokalnych władz zdrowia publicznego, premiera Justina Trudeau, który do niedawna pozostawał w samoizolacji po stwierdzeniu wirusa u jego żony Sophie, i premierów poszczególnych prowincji. To wtedy dowiadujemy się, jakie czekają nas nowe restrykcje i jaką pomoc mają dla nas władze na wszystkich trzech szczeblach – federalnym, prowincji i lokalnym (gminnym). A konkretnego wsparcia jest naprawdę dużo.

Dla osób indywidualnych, które straciły pracę, są chore albo opiekują się chorym członkiem rodziny, stworzono program Canada Emergency Response Benefit. To 2 tys. dol. miesięcznie przez cztery miesiące (nie 2 tys. dol. jednorazowo jak w USA), ale jeśli trzeba, możliwe będzie przedłużenie zasiłku. Uruchomiony błyskawicznie program objął w pierwszym etapie ponad 5 mln ludzi. Ktoś, kto składał podanie online w poniedziałek, miał pieniądze na koncie bankowym w środę. Zero biurokracji, superproste procedury.

Kolejne zmiany usprawniają system pomocowy, włączają grupy początkowo przeoczone: pracowników sezonowych w rolnictwie czy niedawnych absolwentów uczelni, którzy nie zdążyli jeszcze podjąć pracy i zarobić wymaganego minimum, 5 tys. dol.

Pierwszy pakiet pomocy dla firm dotkniętych konsekwencjami pandemii był niewystarczający. Program o nazwie Canada Emergency Wage Subsidy przewidywał, że firmy, które straciły dochody albo których dochody obniżyły się, dostaną 10% dofinansowania, aby mogły utrzymać pracowników i uniknąć zwolnień. Potem dofinansowanie podwyższono do 75%. Poluzowano też kryteria, jakie muszą zostać spełnione, aby dostać takie wsparcie, i sposób, w jaki należy wykazać spadek dochodu.

Firmom, z których wiele albo jest dotkniętych kompletnym zastojem, albo ma poważne trudności z utrzymaniem się na powierzchni, zaoferowano nieoprocentowane pożyczki do 40 tys. dol., z czego 10 tys. może zostać umorzone, jeśli kredyt zostanie spłacony do końca 2021 r. Są też dotacje dla firm, które przestawią produkcję na pomoc w walce z COVID-19.

Ktoś, kto składał podanie online w poniedziałek, miał pieniądze na koncie bankowym w środę.

Wszystkim firmom przedłużono terminy składania rozliczeń podatkowych i rozliczeń HST (tutejszy VAT).

Osoby prywatne, które wpadły w problemy, mogą liczyć na współpracę instytucji finansowych – sześć największych banków oferuje możliwość odroczenia o pół roku spłat kredytów hipotecznych czy obniżenie oprocentowania kart kredytowych. Kryteria zostały bardzo uproszczone – wystarczy zadzwonić i omówić to z bankiem.

Są też ulgi, które dotyczą wszystkich, bez konieczności składania podań czy ubiegania się o wsparcie: przedłużono terminy składania rozliczeń podatkowych, obniżono ceny energii elektrycznej, rodzice dzieci, które zamiast być w szkole, muszą zostać w domu, otrzymują jednorazowy zasiłek (wyższy, jeśli dziecko jest niepełnosprawne), na kilka miesięcy przerwano obowiązek spłacania rządowych kredytów studenckich.

Firmy zamiast zaplanowanych 10% dofinansowania dostaną 75%.

Duch wspólnoty

Kanada to kraj, gdzie wielką wartością jest *community* – społeczność. Ludzie organizują się, pomagają – nie tylko w obliczu pandemii. Poza pomocą rządową ruszyły niezliczone inicjatywy oddolne.

Firmy i ludzie prywatni wspomagają pracowników szpitali – wszystkich, od lekarzy po sprzątaczki – dostarczając im bezpłatnie posiłki. Pomyślano o tym, aby w razie potrzeby mogli spać nie w domach, gdzie zaraziliby bliskich, ale w hotelach lub mieszkaniach subsydiowanych.

Jest wsparcie (także rządowe) dla bezdomnych, dla ludzi z problemami psychicznymi oraz takich, których dotyka przemoc domowa.

Czy jest idealnie? Nie, bo to wszystko *terra incognita*, zdarzają się więc błędy i przeoczenia, ale jak najszybciej naprawia się je, aby siecią pomocy objąć wszystkich potrzebujących. Poseł federalny polskiego pochodzenia, Irek Kuśmierczyk, sprawujący też bardzo odpowiedzialną dzisiaj funkcję sekretarza parlamentarnego minister pracy Carli Qualtrough, której resort jest w centrum ważnych decyzji pomocowych, opowiada o bezprecedensowej współpracy wszystkich partii i władz na każdym szczeblu. Odłożono na bok konflikty, dawni adwersarze są w stałym kontakcie i wspólnie radzą, jak pomóc. Rząd rozmawia z opozycją, podsuwają sobie pomysły, zasłyszane od ludzi w swoich okręgach. Kuśmierczyk mówi: „Naprawdę realizowane jest podejście *Team Canada*, czyli wszyscy Kanadyjczycy razem. Taką współpracę i takiego wspólnego ducha widać tylko na olimpiadach, kiedy jesteśmy jedną drużyną w sporcie. A teraz jest tak w obliczu pandemii". To podejście, jego zdaniem, to także powód do optymizmu, nadziei, że mimo miliardów dolarów wydanych na pomoc, mimo prognoz deficytów i spadku PKB nadrobi się te straty.

Kanadyjczycy są wdzięczni. Ponad 70% dobrze ocenia działania rządu federalnego, a jeszcze więcej – przeszło 80% – wyraża uznanie dla władz swojej prowincji. Trudno się dziwić, na co dzień widać konkretne wysiłki polityków. Polska posłanka w Ontario, Natalia Kusendowa, dyplomowana pielęgniarka, powróciła do szpitala na trzy 12-godzinne dyżury w tygodniu. W razie potrzeby jest gotowa na więcej. Ona i inni politycy sami odbierają dostawy sprzętu, rozwożą maski.

Team Canada daje radę!

Autorka jest redaktor naczelną dziennika „Gazeta", www.gazetagazeta.com

eprasa.pl 121512869e

Uchodźcy bezbronni wobec epidemii

Kiedy koronawirus wycieknie z obozów dla imigrantów, sytuacja w Europie może być katastrofalna

Lech Miodek

Częste mycie rąk i zachowanie odległości między ludźmi to dwa podstawowe zalecenia pomagające chronić się przed koronawirusem. Ich wdrożenie w miejscach takich jak Moria na wyspie Lesbos, największy obóz dla uchodźców w Unii Europejskiej, jest prawie niemożliwe. W przestrzeni zaprojektowanej dla ok. 3 tys. osób przebywa ok. 20 tys.

„Media o nas zapomniały, mówią tylko o koronawirusie", skarży się uchodźca obozujący na przejściu granicznym Pazarkule między Turcją a Grecją. Kiedy pod koniec lutego rząd turecki ogłosił, że pozwoli na swobodny przepływ uchodźców i migrantów do Unii Europejskiej, tysiące ludzi wyruszyło w stronę granicy z Grecją. Ta jednak zawraca każdego, kto zdoła przedostać się na jej terytorium. Na granicy z Turcją siły bezpieczeństwa użyły gazu łzawiącego i strzelały plastikowymi kulami. Dwie osoby zginęły, ponad 160 zostało rannych.

Większość migrantów wróciła do tureckich miast, ale niektórzy nie mają dokąd, bo nie mają gdzie mieszkać, stracili pracę (jeśli ją mieli) i sprzedali rzeczy, aby zapłacić za podróż. 16 marca, rzekomo w obawie przed rozprzestrzenianiem się koronawirusa, policjanci odgrodzili prowizoryczny obóz Pazarkule i zabronili uchodźcom zbliżania się do sąsiedniego miasta Karaağaç, gdzie mogli oni naładować telefony komórkowe i kupić jedzenie. Racje żywnościowe dostarczane dotąd przez kilka tureckich organizacji pozarządowych zostały zredukowane do minimum. W Turcji wykryto już ponad 61 tys.* przypadków zarażenia koronawirusem, a 1296 osób zmarło. Władze używają wszelkich możliwych środków, aby pozbyć się uchodźców, kupują im ubrania, buty, jedzenie i dają trochę pieniędzy na wyjazd.

Koronawirus nie może być wykrętem

W Europie największe ryzyko dla ubiegających się o azyl występuje na pięciu greckich wyspach Morza Egejskiego, gdzie ponad 40 tys. osób przebywa w fatalnych warunkach. W obozie Moria większość uciekinierów śpi w małych namiotach – po pięć lub sześć osób na 4 m kw. Jeden prysznic przypada na 240 osób, jedna toaleta na 170. W innych obozach, gdzie mieszka ok. 5 tys. osób, nie ma wody, toalet ani prądu. Ludzie pytają lekarzy, co mają robić, i szyją sobie maski. Wszelkie zalecenia są prawie niemożliwe do przestrzegania, brakuje mydła i wody. Na razie nie ma potwierdzonego przypadku zarażenia wśród ubiegających się o azyl. Jeśli jednak wirus się pojawi, będzie się szybko przenosił, a szpital na wyspie już teraz jest przeciążony. Ponadto możliwość dalszej pomocy ze strony organizacji pozarządowych została ograniczona po ksenofobicznych atakach na uchodźców i personel.

17 marca Grecja ograniczyła przemieszczanie się uchodźców poza obozem, zakazała odwiedzin, w tym przedstawicielom organizacji pozarządowych, i grupowania się na terenie obozu. Tymczasem ludzie ustawiają się tu od rana w kolejkach po jedzenie i do toalety. Zawiesiło działalność Biuro Azylowe, co prowadzi do demontażu całego systemu, tym bardziej że Grecja odmówiła rozpatrywania wniosków azylowych osób przybyłych po 1 marca 2020 r., tj. po otwarciu granicy przez Turcję.

Niemcy przyjęły 350 chorych i niepełnosprawnych dzieci z obozów dla uchodźców w Grecji.

Wiele organizacji międzynarodowych domaga się likwidacji obozów. Uważa bowiem, że pozostawienie ludzi w tych niehigienicznych warunkach nie tylko jest naruszeniem praw człowieka, ale również może doprowadzić do kryzysu zdrowotnego o niesłychanych rozmiarach. Niepokój wzbudza szczególnie sytuacja niepełnoletnich, których w samym obozie Moria jest ok. 1 tys., a w całej Grecji 5,5 tys. Rząd niemiecki na początku marca zgodził się przyjąć 1-1,5 tys. dzieci do 14. roku życia. Karl Kopp, dyrektor na Europę niemieckiej organizacji Pro Asyl, stwierdził, że liczy się każda minuta: „Koronawirus nie może być żadnym wykrętem. Pozostawienie dzieci w takich warunkach to wielki skandal". Do Niemiec już zostało przewiezionych 350 dzieci, głównie chorych, niepełnosprawnych i samotnych, mniejsze ich grupy przyjęły Francja, Portugalia, Luksemburg, Finlandia, Chorwacja, Irlandia i Litwa.

Zamknięte okno przesiedleń

„Miliony ludzi dotkniętych konfliktem żyją na zatłoczonych polach w warunkach urągających higienie. Kiedy wirus dotrze do osad w Iranie, Bangladeszu, Afganistanie i Grecji, konsekwencje będą katastrofalne – ostrzega Jan Egeland, sekretarz generalny Norweskiej Rady ds. Uchodźców. – Wirus nie rozróżnia granic, dokumentów ani statusu imigracyjnego. Ważne jest, aby nikogo nie zostawiać, ponieważ jeśli migranci i uchodźcy będą chronieni, cała populacja kraju również". Dodajmy, że to przede wszystkim Norwegia finansuje obozy dla uchodźców. Agencja ONZ ds. Uchodźców (UNHCR) apeluje o objęcie uchodźców i migrantów krajowymi planami walki z COVID-19.

W trzecim tygodniu marca UNHCR i Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji musiały zawiesić przesiedlenia azylantów do bezpiecznych krajów. W 2019 r. przesiedlono jedy-

eprasa.pl 121512869e

Uchodźcy w obozie Moria otrzymali od organizacji pozarządowej Team Humanity ręcznie uszyte maski, 28 marca 2020 r.

nie 63,7 tys. z 1,4 mln uchodźców. Pochodzili z Syrii, Demokratycznej Republiki Konga i Afganistanu i od lat czekali na taką możliwość w Turcji, Libanie i Jordanii. Teraz to okno zostało zamknięte, nawet w przypadku spraw w toku.

Nie wiadomo, czy pandemia już nie dotarła do obozów dla przesiedleńców w syryjskiej prowincji Idlib, ostatniej warowni rebeliantów. Żyło tam 3,5 mln osób, z czego ok. 2,5 mln uciekło. Setki tysięcy koczuje w obozach, takich jak Atmeh przy granicy z Turcją, bez bieżącej wody. Z powodu złych warunków rozprzestrzeniają się choroby przewodu pokarmowego, dermatologiczne i układu oddechowego. Nie ma możliwości wykrycia koronawirusa, bo nie ma testów.

Syryjsko-Amerykańskie Towarzystwo Medyczne dopiero przygotowuje plan działania. Problem polega na tym, że po zniszczeniu ponad 70 ośrodków medycznych przez lotnictwo syryjskie i rosyjskie liczba łóżek szpitalnych jest minimalna. Nie ma prawie żadnych oddziałów intensywnej terapii, a miejsca zajmują ranni i bardzo trudno jest zagwarantować izolację pacjentów. To samo dotyczy miast, których populacja podwoiła się lub potroiła, oraz obozów, w których z powodu ogromnego napływu wysiedleńców w ostatnich miesiącach kilka rodzin musi dzielić jeden namiot.

W innych rozdartych wojną krajach, takich jak Libia, na jednym z najniebezpieczniejszych szlaków migracyjnych wiele tysięcy migrantów i osób ubiegających się o azyl trafia do zatłoczonych ośrodków zatrzymania, bez podstawowych środków higieny i żywności.

W obozie Moria zaprojektowanym dla 3 tys. przebywa 20 tys. ludzi. Jeden prysznic przypada na 240 osób, jedna toaleta na 170.

Strach na granicy z Meksykiem

Organizacje humanitarne wskazują ryzyko epidemii w gigantycznych obozach dla uchodźców w Azji. Kilka takich obozów znajduje się w prowincji Koks Badźar w Bangladeszu. Żyje w nich ok. 700 tys. Rohingjów, mniejszości muzułmańskiej prześladowanej w Mjanmie. Żyją w opłakanych warunkach. Jak wyjaśnia Themba Lewis, sekretarz generalny organizacji pozarządowej Asia Pacific Refugee Rights Network: „Wobec groźby COVID-19 uchodźca nie ma żadnych możliwości obrony. Nie ma wpływu na decyzje dotyczące dostępu do opieki zdrowotnej, testów wykrywających wirusa ani nawet podstawowych informacji".

Podczas gdy koronawirus szybko opanowuje Stany Zjednoczone (do 14 kwietnia potwierdzono tam 582,6 tys. zakażeń, 23,6 tys. osób zmarło), migranci w Meksyku są bezbronni wobec epidemii. Schroniska wzdłuż granicy z USA ostrzegają: „Nie mamy nawet fizycznych możliwości izolacji pacjenta z COVID-19". W schronisku dla migrantów Ágape niemal połowa ze 175 mieszkańców ma biegunkę, wymioty i gorączkę. Taka sytuacja trwa od miesięcy. Schronisko nie ma żadnych środków, aby zapobiec zakażeniom. Rząd Donalda Trumpa ogłosił 20 marca, że wszyscy cudzoziemcy, którzy przekroczą południową granicę bez dokumentów, zostaną natychmiast zawróceni do Meksyku. By nie dopuścić do rozprzestrzeniania się wirusa, nie będą przetrzymywani w tymczasowych ośrodkach na terenie Stanów. Szansę na pozostanie będą mieli tylko imigranci z kwalifikacjami medycznymi lub paramedycznymi. Przegrywana walka z koronawirusem zmusiła bowiem rząd amerykański do natychmiastowego zatrudniania ich w szpitalach i domach opieki. Strach i psychoza na południowej granicy są już tak duże, że nikt nie sprawdza, czy przekraczający granicę są zdrowi.

* Dane z 14 kwietnia 2020 r.

FOT. MANOLIS LAGOUTARIS/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 121512869e

Słowacy to prymusi w walce z koronawirusem

Na okres świąt wprowadzono zakaz swobodnego poruszania się. Ten pomysł stał się pierwszą przyczyną kłótni nowego rządu

Łukasz Grzesiczak

Wszystkie przyjęte środki ostrożności w ramach walki z COVID-19 okazały się efektywne, a Słowacja ma szansę z powodzeniem opanować epidemię – uważa szef Instytutu Polityki Zdrowotnej Martin Smatana. Według niego Słowacja może się znaleźć wśród pięciu krajów, które odniosły największy sukces w walce z koronawirusem. Dodał również, że środki ostrożności wprowadzone w połowie marca okazały się kluczowe w powstrzymywaniu szerzenia się wirusa. To wtedy Słowacy m.in. zamknęli większość sklepów i wprowadzili obowiązek noszenia maseczek. Dzięki tym ograniczeniom liczba nowych chorych nie zaczęła rosnąć lawinowo.

Zgodnie z badaniem zaprezentowanym przez Smatanę na Słowacji epidemia osiągnie szczyt w połowie lipca, kiedy zakażeniu mogłoby ulec 3% populacji, czyli 170 tys. ludzi. Sztucznej wentylacji płuc potrzebowałoby wówczas ok. 1030 pacjentów, a ta liczba – zdaniem rządzących – jest w zakresie możliwości słowackiej służby zdrowia. Gdyby Słowacja nie przyjęła stosowanych obecnie środków, zgodnie z badaniem zakaziłoby się nawet 20% populacji, a sztucznej wentylacji wymagałoby 6 tys. pacjentów, czego tamtejsza służba zdrowia by nie udźwignęła.

Na razie (dane z 15 kwietnia) Słowacja ma jedynie sześć ofiar śmiertelnych koronawirusa i 863 zakażonych. Troje spośród sześciorga zmarłych zaraziło się w domu dla seniorów w Pezinoku, który stał się miejscowym ogniskiem epidemii. Zgodnie z aktualnymi wynikami testów zakażonych zostało 55 mieszkańców ośrodka i dziewięć osób z personelu, ale prawdopodobnie ostateczna liczba będzie jeszcze większa. Pierwszy przypadek potwierdzono w sobotę, 11 kwietnia. Dom jest objęty kwarantanną i strzeżony przez policjantów, nikt nie może z niego się wydostać.

Rząd przekonuje, że powolny powrót do normalności nie byłby możliwy bez wyjątkowych obostrzeń w okresie świąt.

Prezydentka Zuzana Čaputová nie zapomina jednak o innych skutkach pandemii i kwarantanny. Zwróciła się do naczelnika policji Milana Lučanskiego z prośbą o wyjątkową czujność, jeśli chodzi o przypadki przemocy domowej. Na spotkaniu z naczelnikiem dyskutowała m.in. o tworzeniu nowych tymczasowych miejsc zamieszkania dla ofiar przemocy. – Ofiary przemocy domowej mają dużo mniejsze możliwości skorzystania z pomocy, skoro są zamknięte z oprawcą w jednym mieszkaniu i pozostają pod jego całkowitą kontrolą – podkreśliła we wpisie w mediach społecznościowych.

Słowacja walczy z koronawirusem bez względu na wszystko, łącznie z dobrymi relacjami sąsiedzkimi. Mimo specjalnych stosunków, jakie łączą Słowację i Czechy, zachodni sąsiad jest dla Słowacji krajem ciężko doświadczonym koronawirusem, a zatem źródłem zagrożenia. Każdy, kto wróci z Czech na Słowację, musi się poddać kwarantannie. Chociaż, inaczej niż w Polsce, nie dotyczy to np. pracowników transgranicznych, a Słowacy często pracują w Czechach bądź Austrii. Ponadto premier Igor Matovič wymógł, że respiratory

eprasa.pl 121512869e

ze słowackiego zakładu Chirany będą produkowane wyłącznie dla Słowacji.

Kontrowersyjnym posunięciem rządu była decyzja o zamknięciu wsi Romów, w których potwierdzono przypadki zakażenia koronawirusem. Pięć romskich osad, zamieszkiwanych przez niemal 7 tys. ludzi, na Spiszu we wschodniej Słowacji, zostało otoczonych policyjnymi taśmami i jest patrolowanych przez policję i wojsko. Premier Matovič już wcześniej wyrażał obawy, że romskie osiedla, gdzie standardy higieny są niskie, mogą się stać ogniskami epidemii. – To nie jest akt wrogości. Chcemy przede wszystkim chronić ludzi objętych kwarantanną. Zapewnimy oczywiście dostawy artykułów spożywczych – podkreślał Matovič w mieście Krompachy na wschodzie Słowacji, gdzie rząd prowadził rozmowy na temat zaistniałej sytuacji. Do tej pory testy przeprowadzono w 110 romskich osadach. W 14 potwierdzono przypadki COVID-19.

W poniedziałek, 20 kwietnia, rząd ma zaprezentować plan wychodzenia Słowacji z koronawirusowych restrykcji. Wtedy Słowacy dowiedzą się, które sklepy i w jakiej kolejności będą na powrót otwierane. Pacjenci, których zabiegi i operacje zostały tymczasowo przełożone z powodu pandemii, również zostaną – zgodnie z ich stanem – poddani zaległym zabiegom. Matury mają się odbyć bez zmian. Opublikowano jednak szczegółowe wytyczne, których należy przestrzegać w trakcie egzaminów. Konieczne jest utrzymanie przynajmniej dwumetrowych odstępów między ławkami, każdy uczeń musi mieć założoną maseczkę i używać własnych przyborów do pisania.

Rząd przekonuje, że powolny powrót do normalności nie byłby możliwy bez wyjątkowych obostrzeń, które spotkały Słowaków w okresie świąt. Między 8 a 13 kwietnia ograniczono im swobodę poruszania się. Za złamanie zakazu groziła kara 1,5 tys. euro. Wyjątki? Podróż do pracy, wyjście na zakupy, wizyta lekarska, wycieczka na łono natury w obrębie powiatu (po słowacku *okres*, w całym kraju jest ich 79), opieka nad krewnym lub pomoc sąsiedzka. Przestrzegania zakazu na drogach wyjazdowych, na granicach powiatów i dużych skrzyżowaniach pilnowały policja i wojsko. Początkowo kontrolowane były wszystkie pojazdy, co spowodowało ogromne korki na autostradach, przede wszystkim na wjazdach do miast. Później sytuacja się poprawiła, ponieważ kontrole przeprowadzano jedynie wyrywkowo. Pojawiły się też inne, nieoczekiwane skutki – np. problemy z zaopatrzeniem na czas sklepów w pieczywo.

W mediach prezenterzy i politycy, łącznie z panią prezydent, są w maseczkach, więc łatwiej o dyscyplinę. Zuzana Čaputová głosi: maseczka to nie wstyd.

Zaangażowanie policji i wojska w kontrolowanie i ograniczanie ruchu wzbudziło duże emocje wśród członków koalicji. Nie poparły go koalicyjne partie SaS i Za l'udí. Ministra inwestycji i rozwoju regionalnego Veronika Remišová poparła wniosek o ograniczenie swobodnego poruszania się, ale według niej przepisy te miałyby funkcjonować na zasadzie dobrowolności. Na swoim profilu na Facebooku napisała: „Uważam za błąd używanie narzędzi represji – wykorzystywanie policji i wojska. Armia na ulicach to ostateczność". Remišová wyraziła poza tym obawę, że zbyt surowe ograniczenia zniechęcą obywateli i zniszczą dobrą do tej pory współpracę z nimi.

Sytuację krytycznie skomentował również szef SaS, Richard Sulík. W mediach społecznościowych pisał: „Walka z koronawirusem stała się naszym fetyszem. W całej Słowacji na drogach, które zwykle są niemal puste, tworzą się kilometrowe korki. Zamknęliśmy dziesiątki tysięcy małych sklepów, a rząd nie jest nawet w stanie dorzucić im się do wynajmu. To szaleństwo musi się skończyć".

Premier Matovic skrytykował kolegów z koalicji za egoistyczne zagrywki. „Brak poparcia dla wszelkich niepopularnych posunięć, będących we wspólnym interesie nas wszystkich, i publikowanie wytworów myśli na Facebooku jest w takim momencie niezwykle nieodpowiedzialne", napisał – tak, dobrze państwo się domyślają – w mediach społecznościowych. Przeprosił też za komplikacje na drogach i zapewnił, że od początku planował tylko wyrywkowe kontrole. Jego zdaniem powstały

Matury mają się odbyć bez zmian. Opublikowano jednak szczegółowe wytyczne na czas egzaminów.

eprasa.pl 121512869e

chaos to efekt niewłaściwych zaleceń szefostwa policji, które sabotowało rozporządzenia rządowe.

Wydaje się, że słowackie ograniczenia są mniej dokuczliwe niż te w Polsce. Nietypową wielkanocną rozrywkę na czasy pandemii przygotowano dla dzieci w parku w bratysławskiej dzielnicy Ružinov. Zaplanowane szukanie wielkanocnych jajek musiało zostać odwołane, ale organizatorzy, nie chcąc rozczarować najmłodszych, zorganizowali akcję rozdawania pisanek. W bezpiecznych strojach – kostiumach dinozaurów.

– Słowacy postawili na dyscyplinę, być może nieświadomie postanowili zostać prymusami. Liczba zakażonych czy przypadków śmiertelnych wskazuje, że Słowacja radzi sobie bardzo dobrze. Wymaga to zaangażowania nas wszystkich, choćby w szycie maseczek. Każdy, kto miał maszynę do szycia i choć trochę zdolności, starał się. U nas przy maszynie do szycia usiadł mój mąż i uszył maseczki według instrukcji znalezionej w internecie – mówi Małgorzata Wojcieszyńska, polska dziennikarka, która od lat mieszka na Słowacji. Jej zdaniem przykład szedł z góry: – W mediach dziennikarze, prezenterzy telewizyjni, politycy, łącznie z panią prezydent, wszyscy w maseczkach, więc łatwiej o dyscyplinę. Zuzana Čaputová głosi hasło: maseczka to nie wstyd. I wiem od znajomych, którzy mają dzieci, że łatwiej im wytłumaczyć, że maseczki nosić trzeba. Przykład z ekranu telewizyjnego robi swoje.

Część romskich osad na Słowacji została otoczona taśmami i jest patrolowana przez policję.

Małgorzata Wojcieszyńska mieszka z mężem w miejscowości Kvetoslavov, ok. 30 km od Bratysławy, ale w czasie pandemii do słowackiej stolicy nie jeździ. – Mój mąż chwalił, że dużo łatwiej poruszać się po mieście, jak w niedzielę czy podczas świąt, bo ruch dużo mniejszy – mówi i dodaje: – We wsi ludzie chodzą na zakupy, te normalne, codzienne, do sklepiku, który też jest krócej czynny, i do piekarni. Normalnie, jak wszędzie, ustawiają się kolejki przed sklepami, stoi się w odległości 2 m jeden od drugiego. A w miastach przed hipermarketami jest podobnie, z tym że ograniczono liczbę wózków, by za dużo osób nie weszło do sklepu.

A jak żyje się w niewielkiej miejscowości pod Bratysławą? – Ludzie w ogrodach, przez płoty rozmawiają ze sobą, niektórzy nawet w ogrodach są w maseczkach. Na rowerach i spacerach także spotykamy innych, bo wolno wychodzić na łono natury. Maseczki nie trzeba nosić, jeśli się wie, że nikogo nie spotkamy w lesie. Nie trzeba też jej nosić w samochodzie, chyba że jadą z nami obce osoby – wyjaśnia Małgorzata.

Opowiada, że ze względu na zakaz opuszczania powiatu sporo Słowaków postanowiło już we wtorek, 7 kwietnia (obostrzenie obowiązywało od środy), wyjechać do swoich domków letniskowych. Sama święta spędziła w ogrodzie, łącząc się przez internet ze znajomymi i rodziną. – Wielkanoc to ważne święto dla Słowaków, ale chyba nie aż tak jak dla Polaków, bo przeciętny Słowak nie będzie sobie włosów z głowy rwał, jeśli zabraknie czegoś na stole. Zawsze może przecież zjeść makaron – tłumaczy. I przypomina, że słowackie kościoły były czynne dwie godziny dziennie, by wierny mógł wejść i w odosobnieniu się pomodlić. Za to msze i wszystkie nabożeństwa zostały zawieszone już od początku pandemii i te ograniczenia obowiązywały również podczas świąt.

Łukasz Grzesiczak

Liczba zakażonych czy przypadków śmiertelnych wskazuje, że Słowacja radzi sobie bardzo dobrze.

FOT. RADOVAN STOKLASA / REUTERS / FORUM (2)

eprasa.pl 121512869e

Jakub Katulski

Święta bez pielgrzymów

Wielkanoc i Pesach w pustym Świętym Mieście

Zazwyczaj o tej porze roku Jerozolima tętni życiem. Tłumy pielgrzymów i turystów przybywają do miasta, żeby wziąć udział w procesjach i nabożeństwach na Drodze Krzyżowej i w bazylice Grobu Świętego. Jedną z ceremonii, w których starają się uczestniczyć nie tylko wierni, lecz również przyjezdni przybywający do Izraela w ciągu całego roku, jest zamknięcie wrót bazyliki. Zgodnie z wypracowanym przez wieki *status quo* codziennie wieczorem klucznik zamyka w niej kapłanów tych wyznań chrześcijańskich, które mają prawa do świątyni. Wrota otwierane są rano, by w ciągu dnia pielgrzymi mogli uczestniczyć w modlitwach. Tym razem tak się nie stało. W Wielki Piątek nabożeństwa odbyły się bez wiernych, po raz pierwszy od XIV w.

Internet obiegło nagranie, na którym klucznik zamyka wrota świątyni przed nabożeństwami, w których uczestniczyć mogli jedynie duchowni. Adib al-Husseini, który te drzwi zamykał, powiedział Al-Dżazirze, że stało się to pierwszy raz od 1349 r., kiedy wrota na czas nabożeństwa zamknięto, także zresztą z powodu epidemii – czarnej śmierci.

Tegoroczna droga krzyżowa prowadzona przez franciszkanów, gromadząca zwykle tysiące pielgrzymów, odbyła się jedynie z udziałem mnichów. Zakonnicy stosowali się do nakazu zachowania dwumetrowej odległości, gdy szli przez 14 stacji wyznaczonych na krętych uliczkach Starego Miasta. Po przybyciu do bazyliki modlili się za chorujących, umierających i personel medyczny opiekujący się dotkniętymi wirusem.

Za chorych modlił się też abp Pierbattista Pizzaballa, administrator apostolski patriarchatu Jerozolimy, który w Wielką Niedzielę wkraczał do bazyliki Grobu Świętego w ochronnej maseczce, by odprawić mszę w nielicznym gronie katolickich duchownych. Przed wejściem do świątyni oznajmił, że „Wielkanoc jest czasem życia", które zwycięży, i złożył wszystkim życzenia wesołych świąt.

Franciszkanie biorący udział w drodze krzyżowej zachowywali między sobą dwumetrowe odległości.

Wybielacz zamiast palenia chamecu

Wielkanoc zbiegła się w tym roku z żydowskim świętem Pesach, upamiętniającym wyjście Żydów z Egiptu. Co roku mieszkańcy Jerozolimy gromadzą się pod Ścianą Płaczu, w synagogach i innych miejscach, lecz to także zostało ograniczone ze względu na epidemię. Wyjątkiem od tej reguły były minjany, czyli grupy dziesięciu mężczyzn wymaganych przez religię do modlitwy, pod Ścianą Płaczu i w Grocie Patriarchów w Hebronie. Ograniczono też niektóre tradycyjne praktyki poprzedzające święto.

Przygotowujący się do Pesach praktykujący Żydzi co roku dokładnie oczyszczają swoje domy z chamecu. To żmudna praca, która ma na celu pozbycie się wszelkich artykułów spożywczych niedozwolonych podczas święta. Według tradycji religijnej, kiedy Mojżesz wyprowadzał swój lud z Egiptu, nie było czasu, by zrobić zaczyn na chleb do wyrośnięcia. Na pamiątkę tego wydarzenia przez siedem dni (lub osiem w diasporze) Żydom nie wolno spożywać chleba na zakwasie. Jada się macę, przygotowywaną w taki sposób, by przeznaczona na nią mąka miała minimalny kontakt z wodą, w celu uniknięcia procesu fermentacji. Nie tylko spożywanie chamecu jest zabronione, ale również posiadanie go w domu. Stąd wziął się zwyczaj palenia tych produktów przed świętami.

Naczelni rabini Izraela, David Lau i Icchak Josef, wezwali w tym roku Żydów, by nie opuszczali domów w celu palenia zabronionych produktów. Zamiast tego zaproponowali wyrzucanie chamecu do kosza i oblewanie wybielaczem, by stał się niejadalny. Burmistrz Jerozolimy Mosze Leon polecił, aby miasto wystawiło specjalne

Nabożeństwa Wielkiego Piątku odbyły się bez wiernych, po raz pierwszy od XIV w.

eprasa.pl 121512869e

Mea Shearim – ortodoksyjna dzielnica Jerozolimy – była zablokowana w czasie święta Pesach.

pojemniki, do których mieszkańcy mogli odkładać chamec. W ten sposób wyszedł naprzeciw wiernym, którzy nie chcieli zaniechać tradycji palenia zakazanych produktów, mimo wcześniejszego wezwania naczelnych rabinów. Wspólnie z rabinem Szlomo Amarem Jerozolima zorganizowała „największe na świecie palenie chamecu", po zebraniu około stu pojemników wypełnionych resztkami pieczywa i innych produktów. Mosze Leon zaznaczył, że nawet w czasach epidemii Żydzi nie mogą rezygnować z tego zwyczaju, dlatego zdecydowano się na zastosowanie wyjątkowych środków i zorganizowanie ceremonii bez udziału tłumów wiernych.

Minister Amalekita

To odstępstwo od tradycji religijnej było w pewnym stopniu podyktowane obawą przed gromadzeniem się tłumów. Już 2 kwietnia Izrael zamknął miasto Bene Berak, którego mieszkańcami są głównie ultraortodoksyjni Żydzi. Stało się to po tym, jak złamano tam ograniczenia dotyczące udziału w uroczystościach religijnych. 29 marca w pogrzebie rabina Cwi Szenkara wzięło udział nawet 400 mężczyzn, choć izraelskie ograniczenia zezwalały wówczas na udział maksymalnie 20 osób, jeśli zachowają one dwumetrowe odstępy. Dzisiaj Bene Berak, choć mieszka tam zaledwie 200 tys. ludzi, jest drugim największym ogniskiem zachorowań w kraju.

Zakaz udziału w zbiorowych modlitwach złamał też minister zdrowia, Jaakow Licman, u którego 2 kwietnia zdiagnozowano zakażenie koronawirusem. Internet obiegły informacje i memy na temat rzekomej wcześniejszej wypowiedzi ministra ortodoksa, że koronawirus jest karą za homoseksualizm. Choć minister takich słów nie użył, podzielił Izraelczyków. Niektórzy zarzucali mu, że zbagatelizował epidemię, natomiast ortodoksyjne społeczności obarczyły go winą za zamknięcie synagog na czas świąt. W nocy z 11 na 12 kwietnia na murach jerozolimskiej dzielnicy Mea Szearim pojawiły się napisy nazywające Licmana Amalekitą, co było odwołaniem do narodu, który miał zaatakować Żydów podczas ich przejścia z Egiptu do Ziemi Obiecanej. Następnego dnia, choć nie w wyniku tych działań, ortodoksyjne dzielnice Jerozolimy zostały objęte kwarantanną, gdyż według Ministerstwa Zdrowia aż 75% zachorowań w mieście bierze się z tych okolic.

Ortodoksyjne dzielnice Jerozolimy zostały objęte kwarantanną, gdyż właśnie tam zanotowano 75% zachorowań.

W związku z obostrzeniami dotykającymi ortodoksyjne społeczności doszło do starć między policją a przedstawicielami radykalnych ugrupowań religijnych, po tym jak 1 kwietnia policjanci przerwali modlitwy w synagogach związanych z jedną z grup – Edą. Rabin Icchak Weiss, jeden z przywódców Edy, w rozmowie z „Jerusalem Post" zaznaczył, że dla ultraortodoksyjnych Żydów modlitwa w synagodze jest tak samo konieczna do życia jak robienie zakupów spożywczych w supermarkecie. Funkcjonariuszy, którzy aresztowali chasydów za łamanie zakazu zgromadzeń, wyzywano od komunistów i nazistów, co nie jest niczym nowym w ustach członków grup religijnych, które nie zawsze przychylnym okiem patrzą na koncepcję współczesnego państwa żydowskiego.

Zakaz podróży na święto Pesach

Izrael w okresie świątecznym nałożył też inne ograniczenia. Zabroniono podróżowania między miastami, o ile nie jest to konieczne ze względów zawodowych lub do uzyskania usług niedostępnych w miejscu zamieszkania. W Jerozolimie zakaz opuszczania miejsca zamieszkania dotyczył dzielnic. W całym kraju zdecydowano się również na zawieszenie komunikacji publicznej między 7 a 12 kwietnia. Obostrzenia te są stopniowo zdejmowane od środy 15 kwietnia, czyli ostatniego dnia Pesach. Zwykle jest to dzień, w którym po zachodzie słońca Żydzi masowo odwiedzają piekarnie,

FOT. SEBASTIAN SCHEINER/AP PHOTO/EAST NEWS, GIL COHEN MAGEN/XINHUA/EAST NEWS

eprasa.pl 121512869e

aby kupić pieczywo, którego nie mogli jeść przez cały tydzień. W tym roku jednak rząd wydał decyzję uniemożliwiającą otwarcie piekarni już w środę wieczorem, aby w punktach sprzedaży nie gromadziły się tłumy.

By umożliwić jak najszerszemu gronu wiernych bezpieczny udział w uroczystościach, chrześcijańskie i żydowskie społeczności wykorzystały technologię. Nabożeństwa z bazyliki Grobu Świętego zostały udostępnione poprzez internetowy streaming, który rozpoczął się po zamknięciu bram świątyni. Inne kościoły, takie jak anglikańska katedra św. Jerzego, również rozpoczęły nadawanie swoich nabożeństw za pośrednictwem mediów społecznościowych czy platform do telekonferencji.

Transmisja z bazyliki stanęła jednak pod znakiem zapytania, gdy rząd wyznaczył limity osób uczestniczących w ceremoniach religijnych. Przedstawiciel Watykanu w Ziemi Świętej, Farid Dżubran, w apelu do prokuratora generalnego Awichaja Mandelblita oskarżył Izrael o dyskryminację chrześcijan. Rządowe zasady zezwalały bowiem w końcu Żydom na modlitwy przy Ścianie Płaczu i w Grocie Patriarchów. Ostatecznie pozwolono, by niewielkie grono kapłanów i kamerzystów brało udział w ceremoniach.

Uroczysta niedzielna msza z udziałem abp. Pizzaballi również była transmitowana w mediach. Były Kustosz Ziemi Świętej wielkanocną mszę odprawił w języku arabskim, a nadawano ją w palestyńskiej telewizji i na wielu platformach społecznościowych. Przed rozpoczęciem modlitw pozdrowił widzów i wyraził smutek wywołany tym, że modli się bez obecności wiernych. Dodał jednak, że misją chrześcijan jest „wspieranie siebie nawzajem i modlitwa za wszystkich w czasie pandemii".

Decyzję o ograniczeniu dostępu do Wzgórza Świątynnego podjął też Wakf, instytucja kontrolująca muzułmańskie miejsca modlitwy w obszarze Starego Miasta Jerozolimy. Jej przedstawiciele wezwali muzułmanów, by trzymali się z dala od meczetu Al-Aksa i Kopuły na Skale, a władze Izraela zobowiązały się, że dostępu do tego miejsca nie będą mieli także żydowscy goście i turyści. Po raz pierwszy od 17 lat kompleks na Wzgórzu Świątynnym jest zamknięty dla wszystkich oprócz pracowników.

Święte Miasto w tym roku jest puste. Choć sektor turystyczny w Jerozolimie i całym Izraelu nie po raz pierwszy stoi w obliczu kryzysu, chyba jeszcze nigdy nie znalazł się w takich kłopotach. Pielgrzymów i turystów bywa mniej, gdy Izrael toczy wojny z Hamasem i innymi palestyńskimi ugrupowaniami w Strefie Gazy, jak choćby latem 2014 r. Na początku tamtego roku prognozowano, że będzie on rekordowy dla sektora turystycznego. Niestety, w efekcie konfliktu aż o 31% spadła liczba przyjezdnych z zagranicy. Również wtedy mówiono o pustych ulicach i atrakcjach turystycznych. Nikt nie mógł przewidzieć, że za niespełna sześć lat liczba przyjezdnych spadnie o okrągłe 100%.

Jakub Katulski

www.stosunkowobliskiwschod.pl

eprasa.pl 121512869e

Mateusz Mazzini

Technokrata zamiast wojownika

Czy Keir Starmer, nowy lider Partii Pracy, wyprowadzi brytyjską lewicę z marazmu?

Brytyjska lewica ma wreszcie kogoś, kto wie, jak być przywódcą partii.

Noc z 12 na 13 grudnia ub.r. dla wielu laburzystów była trudna. Z całego kraju zaczynały spływać wyniki zakończonych poprzedniego dnia o godz. 21 wyborów do parlamentu. Choć wszystkich głosów jeszcze nie podliczono, tendencja była jednoznaczna. Partia Pracy pewnie kroczyła po największą wyborczą kompromitację od 1935 r. Przy jednoczesnej, kolejnej już, nieudanej kampanii ze strony Liberalnych Demokratów i bardzo dobrym wyniku szkockich nacjonalistów na północy królestwa oznaczało to dla przyszłości kraju dwa konkretne fakty. Po pierwsze, Boris Johnson i Partia Konserwatywna uzyskiwali ogromną większość w parlamencie, co dawało im mandat do wyprowadzenia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Po drugie, scena polityczna się rozdrabniała – regionalizmy zyskiwały na sile, rosły też nowe ugrupowania. W środku tego wszystkiego rozgrywał się zaś dramat laburzystów.

Zgromadzeni w siedzibie partii przy Victoria Street w stołecznej dzielnicy Westminster uświadamiali sobie z każdą minutą, że Partia Pracy przez ostatnie lata szła złą drogą. Strategia Jeremy'ego Corbyna, polegająca na zmieszaniu starych, socjalistycznych pomysłów na gospodarkę z niejasnym (czyli nie do końca pozytywnym) stosunkiem do Unii Europejskiej, nie porwała elektoratu. Choć sam Corbyn na początku nocy wyborczej zapewniał, że bez względu na wynik pozostanie na czele partii, nad ranem zapowiedział rezygnację. Co do jednego wówczas wszyscy byli zgodni – dla brytyjskiej lewicy nadszedł czas na zmianę.

Jej symbolem ma być 57-letni były prokurator, z nieco pucołowatą twarzą, zaczesaną na bok grzywką i nadanym przez królową tytułem szlacheckim – Keir Starmer, wybrany na nowego przewodniczącego Partii Pracy w środku pandemii koronawirusa. W trwających ponad trzy miesiące wyborach, w których głosować mogli tylko ci członkowie ugrupowania, którzy regularnie płacą składki lub wykupili za 25 funtów jednorazowy „bilet" uprawniający do wskazania nowego przewodniczącego, Starmer zdobył ponad 275 tys. głosów, co przełożyło się na 56,2% poparcia. Wygrał zdecydowanie, choć jego kampania wcale nie była radykalna ani przesadnie wyrazista. I może w tym tkwi jego siła. Daleki od ostrych politycznie pomysłów, przedstawia się raczej jako cierpliwy technokrata, a nie ideologiczny wojownik. Strategiczne, niemal biznesowe podejście do uprawiania polityki stara się łączyć z ludzką twarzą parlamentarzysty z sąsiedztwa, popularnego w swoim okręgu, działającego lokalnie przy globalnych pomysłach i ambicjach. Przynajmniej pod tym względem zdecydowanie bliżej mu do ekipy Tony'ego Blaira, który wraz z ówczesnymi liderami laburzystów i przy silnym wsparciu ekspertów, chociażby socjologa Anthony'ego Giddensa, uczynił z Wielkiej Brytanii *„cool* państwo" na przełomie wieków. Po latach posuchy na polu charyzmy, kiedy partią rządzili kolejno transparentny jak woda Gordon Brown, zjadany przez własne ambicje Ed Miliband i bezkompromisowy ideologicznie Corbyn, brytyjska lewica ma wreszcie na czele kogoś, kto wie, jak być właśnie tym – przywódcą partii. I chce nim być.

Już pierwszy rzut oka na biogram Starmera pokazuje, że nowy szef laburzystów ma papiery na łączenie, a nie dzielenie brytyjskiego elektoratu. Jego życiowe losy łączą bowiem elementy typowe dla niemal wszystkich grup tamtejszego społeczeństwa.

Urodził się wprawdzie w Londynie, ale na jego północnych, robotniczych przedmieściach. Rodzice – pielęgniarka i rzemieślnik – byli zdecydowanymi zwolennikami Partii Pracy, stąd imię przyszłego jej szefa. Starmer dostał je po Keirze

eprasa.pl 121512869e

Hardiem, pierwszym liderze laburzystów w brytyjskim parlamencie. Wychowywał się z trójką rodzeństwa, uczęszczał do prestiżowej Reigate Grammar School – głównie dzięki stypendiom naukowym i socjalnym. Jako kierunek studiów wybrał prawo, co oczywiście należy odbierać w kategoriach wysokiego prestiżu społecznego, ale na początku studiował na uniwersytecie w Leeds, uczelni dobrej, lecz pozbawionej otoczki snobizmu i elitarności. Dopiero na drugi stopień studiów przeniósł się na Oksford, gdzie zresztą bardzo dobrze sobie radził.

Karierę zawodową zaczął jeszcze w latach 80. jako adwokat, szybko specjalizując się w obronie praw człowieka. Działał nie tylko na Wyspach, ale i w innych krajach dawnego brytyjskiego imperium, w tym na Karaibach. Zamiast zdecydowanie bardziej opłacalnej pracy dla prywatnych kancelarii wybrał służbę publiczną. Piął się w strukturach Prokuratury Jej Królewskiej Mości, dochodząc do stanowiska dyrektora generalnego – trzeciej najważniejszej osoby w tej instytucji. Podwładni zapamiętali go jako skutecznego i przede wszystkim niebojącego się podejmowania decyzji, nawet najtrudniejszych. To on doprowadził do postawienia przed sądem ówczesnego ministra ds. energii, Chrisa Huhne'a. Reprezentujący Liberalnych Demokratów w koalicyjnym gabinecie Davida Camerona polityk został oskarżony o to, że zmusił byłą żonę do przyjęcia jego punktów karnych za przekroczenie prędkości. Starmer wytoczył przeciw niemu najcięższe działa, doprowadzając do odejścia z rządu. Huhne był pierwszym w historii Wielkiej Brytanii ministrem, który musiał zrezygnować z powodu oskarżenia w procesie karnym. Starmer natomiast wybił się na pierwszy plan jako prokurator, który elit się nie boi.

Z pracy w prokuraturze zrezygnował w listopadzie 2013 r. Oficjalnie – chciał zmienić otoczenie, zredukować czas pracy. Już wtedy jednak było wiadomo, że kusi go polityka. Najpierw został doradcą Partii Pracy ds. zmiany prawa karnego w przypadkach zbrodni na tle seksualnym. A rok później stanął do wyborów. W londyńskim okręgu Holborn and St Pancras, gdzie od dekad bezproblemowo wygrywali laburzyści, zastąpił odchodzącego na emeryturę Franka Dobsona. Miejsca w parlamencie już nie oddał, a wewnątrz ugrupowania znaczył coraz więcej. Najpierw w gabinecie cieni zajmował się imigrantami, potem Jeremy Corbyn namaścił go na szefa partyjnego zespołu ds. brexitu. Wyjście Londynu z Unii Europejskiej to zresztą chyba jedyny obszar polityki, w którym Starmera można uznać za radykała. Jednoznacznie opowiedział się za pozostaniem Wielkiej Brytanii we Wspólnocie, czym wyraźnie odróżniał się od byłego przewodniczącego laburzystów.

Wybory na szefa partii wygrał, obiecując przede wszystkim sprawne zarządzanie. Chce być „konstruktywną opozycją" dla rządu Borisa Johnsona, oferując swoją wiedzę i doświadczenie i chcąc wprowadzać ponadpartyjne rozwiązania. Wbrew pozorom to nie naiwna deklaracja idealisty, ale sensowna strategia polityczna. Konserwatyści od dobrych kilku lat coraz skuteczniej wbijają się w tradycyjnie lewicowy, wręcz socjalistyczny elektorat. Johnson ma już szeroki przekaz dla brytyjskiej klasy pracującej, chce wyrównać poziom życia poszczególnych warstw społeczeństwa. Oferując bardziej praktyczną, zrównoważoną, opartą na konkretnych propozycjach politykę, Starmer ma szansę wyprowadzić laburzystów z izolacji spowodowanej radykalizmem Corbyna.

Prywatnej oświaty i służby zdrowia nie znosi, publicznie je krytykuje, ale żadnej z nich likwidować – w przeciwieństwie do poprzednika – nie zamierza. Chciał pozostania Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej, ale nie był bezkrytycznym fanem Wspólnoty. Jeszcze jako minister ds. brexitu w 2016 r. apelował o całkowitą zmianę reguł migracyjnych obowiązujących w Unii. Uważał, że liczba imigrantów przybywających na Stary Kontynent była zbyt wysoka i należało ją ograniczyć. Chce zwiększyć nakłady na usługi publiczne, ale najbogatszym podniósłby podatek dochodowy tylko o 5 pkt proc. Całkowicie zreformować chciałby za to brytyjski przemysł zbrojeniowy i w ogóle udział kraju w zagranicznych konfliktach zbrojnych. Jednym z głównych punktów jego programu wyborczego była zapowiedź wprowadzenia tzw. Aktu Przeciwko Nielegalnym Wojnom, który miałby dać parlamentowi szersze uprawnienia do zablokowania udziału brytyjskich żołnierzy w interwencjach militarnych poza granicami kraju.

Nowy szef lewicy chce szybko działać i jednoczyć wokół siebie podzielony elektorat, ale i podzielone społeczeństwo.

Najbardziej zależy mu jednak na tym, by Partia Pracy odzyskała pozytywny wizerunek. Dlatego już w pierwszym przemówieniu jako jej lider przeprosił za wszelkie przejawy antysemityzmu ze strony laburzystów w ostatnich latach, w tym postępowanie samego Jeremy'ego Corbyna, znanego z ostrej niechęci do Izraela. Akty te Starmer nazwał plamą na honorze partii, obiecał ich wyjaśnienie i dyscyplinarne ukaranie winnych. Nowy szef brytyjskiej lewicy chce przede wszystkim szybko działać i jednoczyć wokół siebie podzielony elektorat, ale i podzielone społeczeństwo. Prokuratorem był skutecznym, lecz jego nowe wyzwanie będzie znacznie poważniejsze. Oceniać go będzie nie kilkuosobowy sąd, ale wielomilionowy elektorat. ■

Nowy numer tygodnika „NIE":
w prezencie maseczka gwarantująca nietykalność.

FOT. DARREN ROBINSON PHOTOGRAPHY/LABOUR PARTY

eprasa.pl 121512869e

Morderca na pomniku

Oddział Józefa Zadzierskiego, „Wołyniaka", zabijał Żydów, Ukraińców i Polaków. Nie oszczędzał starców, kobiet ani dzieci

Jakub Woroncow

18 kwietnia 1945 r. oddział partyzantów Okręgu Rzeszowskiego Narodowego Zjednoczenia Wojskowego dokonał w budynku piskorowickiej szkoły egzekucji 100 osób, w tym kobiet i dzieci. Reszta ofiar zginęła podczas próby ucieczki. Wszyscy byli Ukraińcami i oczekiwali na repatriację do ZSRR. To największa spośród licznych zbrodni popełnionych przez oddział Józefa Zadzierskiego, „Wołyniaka". On i jego ludzie zabijali Żydów, Ukraińców i Polaków. Po samobójczej śmierci „Wołyniaka" nazwano go obrońcą narodu i bojownikiem o wolność. Trafił do panteonu „żołnierzy wyklętych".

Kat Leżajska

Józef Zadzierski urodził się w 1923 r. Podczas wojny walczył w oddziale Narodowej Organizacji Wojskowej dowodzonym przez Franciszka Przysiężniaka, „Ojca Jana". Struktury NOW były podporządkowane Armii Krajowej od 1942 r., jednak na Podkarpaciu w sierpniu 1944 r. rozpoczęły proces separacji od AK w związku z krytyczną oceną akcji „Burza". Oddział „Ojca Jana", w którym walczył „Wołyniak", miał wielki wkład w walkę z Niemcami i mimo nacjonalistycznej orientacji politycznej podjął współpracę z innymi opcjami politycznymi. „Wołyniak" współpracował nawet z partyzantami radzieckimi i pomógł w przeprawie przez San oddziałom Armii Czerwonej gen. Nikołaja Puchowa, umożliwiając tym samym wyzwolenie Leżajska 24 lipca 1944 r. Po wejściu Armii Czerwonej „Wołyniak" został komendantem powiatowym MO w Leżajsku. Został jednak zdekonspirowany i ledwo uniknął wywózki do ZSRR. W reakcji na ogłoszenie Manifestu PKWN komenda NOW Okręgu Rzeszowskiego 26 lutego 1945 r. formalnie wznowiła działalność w ramach Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW), powołanego do życia przez struktury NOW i część NSZ.

Wiosną 1944 r. 30 funkcjonariuszy posterunku Ukraińskiej Policji Pomocniczej w Rawie Ruskiej, z Iwanem Szpontakiem, „Zalizniakiem", na czele, zdezerterowało i utworzyło sotnię UPA na terenie powiatu lubaczowskiego. Przeczekali oni wejście wojsk radzieckich i rozpoczęli tworzenie struktur OUN, włączając w nie uciekinierów z Wehrmachtu i miejscową ludność. UPA była zwalczana przez polskie podziemie oraz MO. Obawiano się akcji wymierzonych zarówno w struktury państwowe, jak i w cywilów. Wedle źródeł WiN podziemie ukraińskie w regionie było obiektem infiltracji ze strony NKWD, a z drugiej strony stało się także wrogiem NZW.

Metody walki praktykowane przez „Wołyniaka" dalekie są jednak od działań wojennych. W styczniu i lutym 1945 r. jego oddział dokonał serii zabójstw na Ukraińcach z Leżajska i okolic. 4 lutego Zadzierski osobiście zastrzelił małżeństwo i ich służącą. W tym samym czasie zginęły też trzy kobiety. Cztery dni później jego partyzanci zastrzelili polskiego sołtysa gromady Stare Miasto. Tej nocy zamordowali także 38-letnią kobietę narodowości ukraińskiej i jej 13-letnią córkę. Partyzanci NOW/NZW dość szczegółowo opisali w zeznaniach to ostatnie zabójstwo, motywując je przeprowadzonym „dochodzeniem" w sprawie jej współpracy z Niemcami i NKWD. Jednak we wspomnieniach Ukraińców mieszkających do 1945 r. w Leżajsku zdarzenie zostało opisane nie jako egzekucja, lecz jako mord poprzedzony gwałtem na obydwu ofiarach.

18 lutego partyzanci „Wołyniaka" weszli do miasta. Obiektami ataku stały się siedziba NKWD oraz dwa domy, w których mieszkali miejscowi Żydzi. By dostać się do jednego z domów, napastnicy użyli miny przeciwczołgowej, mieszkańców zastrzelili. Zginęło dziewięciu Żydów, dwóch funkcjonariuszy NKWD i żołnierz Wojska Polskiego.

Trudno stwierdzić, ile dokładnie osób zabiła w tym czasie w okolicach Leżajska, Ożanny i Brzyskiej Woli partyzantka antykomunistyczna. Szacuje się, że w pierwszych miesiącach 1945 r. samych Ukraińców zginęło ok. 50. Jak można przeczytać we wspomnieniach Ludmiły Moorthi-Kobylańskiej, „po wyzwoleniu Leżajsk i okolice jeszcze przez kilka lat były bardzo niebezpieczne. Leżajsk nazywano Meksykiem, co oznaczało, że wszystko może się tam zdarzyć, niezależnie od praw i porządków. Przeciętny mieszkaniec, niewtajemniczony w sytuację, z trudem orientował się, kto, kogo i dlaczego zamordował, zabił czy zlikwidował". Pod wiaduktem kolejowym znajdowano zwłoki zarówno Polaków, jak i Ukraińców.

Najmłodsza ofiara zbrodni w Piskorowicach miała dwa lata.

Być może partyzanci NOW nie podjęliby walki z nową władzą, gdyby nie represje, których ofiarą padli „Wołyniak", „Ojciec Jan" (funkcjonariusze UB zamordowali jego ciężarną żonę) i inni członkowie zbrojnego podziemia. Jednak trudno usprawiedliwiać mordy popełnione na cywilach, którzy bardzo często, oskarżeni o kolaborację z bezpieką lub sprzyjanie OUN, zawinili tylko tym, że byli ocalałymi z Zagłady Żydami lub posiadaczami ukraińskich kenkart.

Pacyfikacja Piskorowic

3 marca 1945 r. oddział „Wołyniaka" zaatakował wieś Wołczaste, gdzie zginęły 22 osoby. Zdaniem Tomasza Berezy z rzeszowskiego IPN napad

eprasa.pl 121512869e

Przysięga żołnierzy NZW, 3 maja 1945 r. Przed szeregiem oddziałów stoją od lewej: kpt. Józef Zadzierski, „Wołyniak", Stanisław Pelczar, „Majka", i Bronisław Gliniak, „Radwan".

mógł mieć tło rabunkowe, ponieważ był to wczesny etap tworzenia jednostki. Mordowani byli jednak wyłącznie Ukraińcy. Nie zabijano Polaków, w tym kobiet zamężnych z Ukraińcami. Wśród zamordowanych znaleźli się tylko dwaj byli funkcjonariusze policji kolaboracyjnej oraz niejaki Michał Leszaj, weteran Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera, uczestniczący mimo pochodzenia w walkach przeciw Ukraińskiej Republice Ludowej. Z relacji syna Leszaja wynika, że ich sąsiedzi przeżyli, gdyż jeden z oprawców na widok ukraińskich kenkart powiedział: „Uciekajcie, bo jak tamten (tj. jego kolega) tu przyjdzie, to was wszystkich zastrzeli". Zniszczona została też wieś Kulno. W reakcji na napad grupki Ukraińców i radzieckich żołnierzy na Kuryłówkę i zabójstwo dwóch Polaków podkomendni „Wołyniaka" po potyczce z atakującymi Kuryłówkę splądrowali i spalili Kulno. Według różnych szacunków zginęło od kilkunastu do 80 Ukraińców oraz czterech żołnierzy Armii Czerwonej. Tydzień później grupa operacyjna UB i NKWD zaatakowała w odwecie Brzyską Wolę, gdzie dokonano kilkudziesięciu aresztowań i zabito trzech mieszkańców.

Sytuacja pozostawała napięta, a miejscowe służby porządkowe nie były w stanie zapobiec zabójstwom. Straty mogła ograniczyć jedynie zdecydowana postawa pojedynczych stróżów prawa. Sierż. Józef Materna, żołnierz AK i komendant posterunku MO w oddalonych o kilka kilometrów na wschód od Piskorowic Cieplicach, prywatnie znajomy Michała Leszaja z Wołczastego, miał powtarzać, że nie dopuści do wymordowania Ukraińców na swoim terenie. Zdaniem miejscowych uchronił Cieplice przed tym, co stało się w Piskorowicach.

Łącznie w Piskorowicach zginęło 178 osób.

Wieś Piskorowice była najbardziej wysuniętym na zachód skupiskiem ludności ukraińskiej ówczesnego powiatu jarosławskiego. Od 1944 r. OUN wysyłała tam swoich agitatorów. Doszło też do zabójstwa sześciu polskich mieszkańców wsi. 10 stycznia 1945 r. z broni maszynowej ostrzelano tamtejszego księdza katolickiego. W lutym z kolei zamordowano dwójkę mieszkańców narodowości ukraińskiej.

Ukraińcy z Piskorowic byli zainteresowani repatriacją na teren USRR. Jednak nastroje te były tłumione przez UPA. Podziemie ukraińskie nawoływało do pozostania i zapowiadało rychłe powstanie niepodległej Ukrainy. 23 marca partyzanci NOW/NZW zaatakowali miejscowy posterunek MO i zastrzelili trzech mieszkańców wsi. Teren w tym momencie znalazł się *de facto* pod ich kontrolą, z czego lokalna społeczność nie zdawała sobie sprawy. 10 kwietnia do Piskorowic przybyła komisja przesiedleńcza.

17 kwietnia do wsi Wiązownica wkroczył kureń UPA Iwana Szpontaka. Spłonęło 150 domów i zginęło 76 osób. Atak ten był pokłosiem krwawego konfliktu, w który zamieszana była m.in. samoobrona ze wsi. Obecnie błędnie tłumaczy się, że atak na Piskorowice, który nastąpił dzień później, był akcją odwetową za Wiązownicę. W rzeczywistości zbrodnia piskorowicka była starannie przygotowywana wcześniej. Jeszcze 17 kwietnia o godz. 19 do wsi przybył „komendant MO z Leżajska", który wynegocjował u komisji przesiedleńczej przyzwolenie na aresztowanie sześciu OUN-owców. Owym „komendantem" był najprawdopodobniej „Wołyniak". Radzieccy żołnierze ochraniający komisję ostrzegli ludność, której część ukryła się w budynku szkoły, a część u polskich sąsiadów. Wieś w obawie przed obławą opuścili też członkowie związanej z UPA samoobrony.

Oddziały partyzanckie podzieliły się na dwie części. Jedna otoczyła wieś, druga weszła do środka. Obiektem ataku stał się dom sołtysa, który wysadzono, oraz budynek szkoły, gdzie przebywało niemal 100 mieszkańców. „Wołyniak" zażądał od komisji i jej ochrony opuszczenia budynku pod groźbą jego wysadzenia. Członkowie komisji i 15 czerwonoarmistów opuścili wieś.

Zgromadzeni w szkole zostali wylegitymowani i rozstrzelani. Najmłodsza ofiara miała dwa lata. Przeżyć udało się pięciu osobom, które albo zostały nieskutecznie postrzelone, albo udawały martwe. Część mieszkańców ukrytych poza szkołą usiłowała uciec. Ci zostali jednak złapani przez pierścień dowodzony przez Józefa Krawczyka, „Kudłatego", i zastrzeleni. Akcja trwała mniej więcej pięć godzin. W sporządzonym w czerwcu 1945 r. meldunku, którego autorstwo przypisuje się Marianowi Kazanowskiemu, „Ospałemu", zbrodnia została określona mianem „akcji terrorystyczno-oczyszczającej".

FOT. IPN

eprasa.pl 121512869e

Piskorowice padły ofiarą kolejnych najść ze strony Kazimierza Żurawskiego, „Janosika", oraz „Kudłatego" 21 kwietnia, 26 kwietnia i w nocy z 29 na 30 kwietnia. Łącznie w Piskorowicach zginęło 178 osób.

Jeszcze tego samego dnia partyzanci usiłowali zaatakować Cieplice. Zbrodni zapobiegli jednak Józef Materna i tamtejsza komisja przesiedleńcza, która odmówiła opuszczenia terenu.

Mordował i nadal będzie mordował

4 maja 1945 r. Franciszek Przysiężniak objął dowodzenie Komendą Oddziałów Leśnych NZW. Miesiąc wcześniej uchylał się od tej funkcji, ponieważ nie chciał dowodzić „takimi bandytami". W związku z sytuacją w partyzantce powołał żandarmerię i usiłował zakazać „Wołyniakowi" akcji wymierzonych w Ukraińców. Uczestniczący w odprawie Józef Warfel powiedział później, że „Wołyniak" oświadczył, że „dotąd mordował Ukraińców i nadal będzie mordował".

21 maja 1945 r. w Rudzie Różanickiej został zawarty rozejm między WiN a UPA. Wśród przedstawicieli tej ostatniej znajdował się m.in. Iwan Szpontak, „Zalizniak". Obydwie strony wyznaczyły strefy wpływów i zobowiązały się do powstrzymania od atakowania ludności. Rozejm był o tyle skuteczny, że choć morderstwa trwały, liczba zabitych Polaków była znacznie mniejsza niż przed pacyfikacją Wiązownicy.

Oddziały NSZ i NZW nie były jednak objęte rozejmem i w dalszym ciągu prowadziły działalność antyukraińską na Lubelszczyźnie i Rzeszowszczyźnie. W Wierzchowinach oddział Pogotowia Akcji Specjalnej NSZ Mieczysława Pazderskiego, „Szarego", wymordował 194 mieszkańców. Był to końcowy etap tzw. akcji „Za Bugiem", zakładającej przeprowadzenie czystki etnicznej na Chełmszczyźnie i wyparcie Ukraińców z ziem polskich. 19 stycznia 1946 r. ludzie „Wołyniaka" ostrzelali greckokatolicką procesję z okazji Święta Jordanu w Dobrej. Zabili 33 osoby, głównie kobiety, dzieci i starców (najmłodsza ofiara miała rok, najstarsza 72 lata). 18 maja 1946 r. „Wołyniak" namówiony przez mieszkańców Majdanu Sieniawskiego przeprowadził wraz z nimi akcję we wsi Dobcza, w czasie której rozstrzelano 18 ukraińskich mieszkańców w wieku od 13 do 68 lat i spalono co najmniej 40 zabudowań.

W nocy z 11 na 12 listopada 1946 r. w rejonie Tarnawca, podczas pacyfikacji Zasania przez oddziały KBW i wojska, „Wołyniak" został ranny w rękę. Wdała się gangrena. Nie widząc wyjścia z sytuacji, w nocy z 28 na 29 grudnia 1946 r. Zadzierski popełnił samobójstwo.

Postać „Wołyniaka" trafiła na pomnik w Bostonie, The Boston Sculpture of Partisans. Postawiony w 1983 r. monument przedstawiający pięciu partyzantów NOW i NZW jest pierwszym pomnikiem poświęconym polskiemu podziemiu antykomunistycznemu. Autor, syn partyzanta, zadedykował go „wojownikom o wolność na całym świecie". „Wołyniakowi" postawiono także pomnik w Tarnawcu. Opatrzono go napisem: „Bohaterski dowódca oddziału partyzanckiego NOW-AK / Polakiem być to bronić praw narodu / a jeśli trzeba w walce lec / Bo lepiej życie swe złożyć za młodu / niż za rydwanem niewolnikiem biec / Naród swemu obrońcy". Ofiary zbrodni mają natomiast skromną tablicę pamiątkową w Piskorowicach.

Na fali mody na „żołnierzy wyklętych" powstały hagiograficzne opracowania i filmy dokumentalne. Przykład Piskorowic pokazuje jednak, że wiele elementów tej historii nie ma nic wspólnego z walką o wolność lub niepodległość. Była to wojna domowa między nową, komunistyczną władzą, partyzantką ukraińską, polskim podziemiem WiN i polskim podziemiem nacjonalistycznym. Konsekwencje w największym stopniu ponosiła ludność cywilna mordowana przez prawie wszystkie strony uczestniczące w tej wojnie.

Postać „Wołyniaka" trafiła na pomnik w Bostonie.

Józef Materna, a także inni, którzy nie dali się ogłupić przez nacjonalizm lub chęć wykorzystania okazji do załatwienia sąsiedzkich porachunków, stawali w obronie ludności ukraińskiej. Ale to nie oni cieszą się statusem bohaterów narodowych. Dopóki gloryfikuje się takie formacje jak NSZ i NZW oraz „Wołyniaka", „Kudłatego" czy „Szarego", nie może być mowy ani o uczciwym rozliczeniu własnej historii, ani o uczciwej krytyce działalności UPA na ziemiach polskich.

Jakub Woroncow

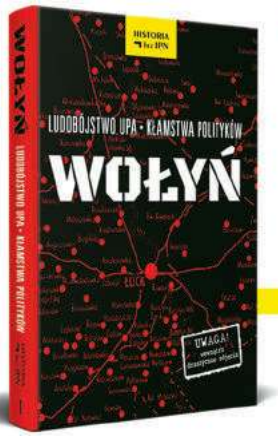

OFIARY RZEZI UPA
I REHABILITACJA ZBRODNIARZY

To książka prawdziwa do bólu. Dokumentacja zdjęciowa przeraża. Zbrodnie banderowców opisane przez tych, którym udało się je przeżyć.

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

Wpłat 44 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 121512869e

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Zmaseczkowani

Polska cała zamaskowana, od 16 kwietnia z powodu pandemii koronawirusa wszyscy poruszający się w przestrzeni publicznej (co jest *de facto*, choć z kilkoma niejasnymi wyjątkami, zabronione...) zobowiązani są do zasłaniania ust i nosa czymś. Generalnie możemy powiedzieć, że zostaliśmy omaseczkowani, choć maseczek nie ma, wolny rynek naciągaczy zarabia krocie, państwo udaje, że odgrywa rolę państwa, i nie wiedzieć czemu największym transportowym samolotem świata, poradziecko-ukraińskim AN-225 Mrija zbudowanym do wynoszenia na orbitę okołoziemską promu kosmicznego Buran, zwozi z Chin tysiące kartonów z maseczkami i innym sprzętem zabezpieczającym, które to maseczki zamierza sprzedawać w podległych sobie sieciach handlowych, np. Orlenach.

Manifestować nie wolno, choć oczywiście czarnostrajkowym środowiskom kobiecym udało się przeprowadzić zauważalny protest podczas operacji w maseczce politycznej, którą było wygrzebanie antykobiecego projektu „obywatelskiego" o zakazie aborcji i propedofilskiego projektu karania za edukację seksualną. A tu hasło do demonstrowania jest podane jak na dłoni: „Maseczki prawem, nie towarem!". Cóż, łatwiej karać niebotycznymi mandatami i karami administracyjnymi (to domena sanepidu, który całkowicie nieprzygotowany do wyzwań, na jakie teraz trafił, udaje sanepid, który sobie radzi, chociaż poradzić sobie nie może, ale ukarać – owszem).

Maseczki na naszych twarzach są zresztą ziszczeniem marzeń o symbolu doskonałym, o gadżecie ideale, niewymyślalnym przez żaden team kreatywny. Oto 40-milionowe społeczeństwo daje sobie odebrać głos i prawa w imię bezpieczeństwa i jako wyraz tej porażki samo się omaseczkowuje. Nie ma głosu, zabrać go nie może, wydobyć z siebie też nie. Nie może nawet w milczeniu zaprotestować, bo milczące wychodzenie także jest nielegalne.

Maseczek nie ma, wolny rynek naciągaczy zarabia krocie, państwo udaje, że odgrywa rolę państwa.

Mimo że maseczki nadlatują tonami, szpitale hurmem apelują w mediach społecznościowych (nieopodatkowanych, bo są amerykańskie i Ameryka sobie tego nie życzy) o dostarczanie ich do szpitali, bo Ministerstwo Zdrowia tego nie robi... Mamy jeden z najwyższych wskaźników zachorowań wśród personelu medycznego i szpitalnego. Zbij termometr – nie będziesz miał temperatury (to zastosowana metodologia nietestowania, w tym po ostatnich decyzjach Sejmu, pracowników służby zdrowia), pójdź do szpitala – to się zarazisz.

Równocześnie jest grupa, która pozostaje autentyczna, nieomaseczkowana, poruszająca się dowolnie, wszechkierunkowo i bez ograniczeń. To politycy Prawa i Sprawiedliwości, obchodzący rocznicę katastrofy smoleńskiej grupowo, stadnie, bez maseczek i innych obostrzeń obowiązujących zwykłych Polaków, to prezes wizytujący grób matki na zamkniętym cmentarzu, kiedy ludzie nie mogą uczestniczyć w pogrzebach najbliższych. To publiczne występy wiceminister zdrowia, bez maseczki, ale z biurokratyczną hucpą na twarzy, to wreszcie wrzucone bez ładu i składu odciągacze i pożeracze politycznej uwagi – kuriozalne projekty ustaw skrajnych środowisk prawicy: o prawie do zabierania dzieci na polowania, o karaniu więzieniem za edukację seksualną czy kuriozalny projekt przeciwko decyzjom amerykańskiego Senatu o rzekomych roszczeniach do majątku pożydowskiego. Nie wspominając już o przewale ostatnich dekad, zwieńczeniu demolki konstytucyjnego trójpodziału władz, czyli próbie zmiany konstytucji w celu zachowania Andrzeja Dudy na prezydenckim stołku, żeby PiS miało dodatkowe, pieczętujące dwa lata na całkowite zabetonowanie swojej autokracji. Maseczki założyła na twarz cała Polska, natomiast z PiS maska państwowości opadła całkowicie i bezwstydnie. Bezpowrotnie? Maski włóż, protestuj, stawiaj opór.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 121512869e

Legenda bez końca

Stulecie Niebieskich z Chorzowa

Ernest Wilimowski strzela bramkę dla Ruchu Hajduki Wielkie w meczu z Dębem Katowice, październik 1936 r.

Maciej Polkowski

W Bismarckhütte (Wielkie Hajduki, Chorzów-Batory) odbyło się spotkanie założycielskie klubu sportowego. W tzw. czerwonym pokoju w Domu Związkowym w Wielkich Hajdukach (obecnie Miejski Dom Kultury Batory) zebrało się 40 osób. Na pierwszego prezesa wybrano nauczyciela Pawła Koppę (w niektórych opracowaniach podawane są imiona Józef Augustyn), a jako klubowe barwy – niebieski i biały. To nie przypadek, w tamtym okresie były to tradycyjne barwy Górnego Śląska (obecnie to żółty i niebieski). Powszechnie nazywani Niebieskimi, są pierwszym śląskim klubem, który powstał z inicjatywy Polskiego Komitetu Plebiscytowego. Przynależność do niego oznaczała w tamtych czasach opowiedzenie się za polskością Śląska, była wyrazem nie tylko sportowej aktywności, ale i patriotycznej postawy. Część historyków twierdzi, że nazwa miała nawiązywać do ruchu narodowo-wyzwoleńczego, właśnie wtedy tworzącego się w regionie. Nikt więc nie oponował, kiedy klubowy skarbnik Edward Supernok zaproponował nazwę Ruch.

Był wtorek, 20 kwietnia 1920 r.

Jedenastka marzeń

Chociaż zdaję sobie sprawę, że zamysł zaproponowania jedenastki 100-lecia jest więcej niż ryzykowny, nie mam najmniejszego zamiaru wdawać się w polemikę, kto zasłużył na miejsce w „zespole gwiazd", a kogo zabrakło. To wybór subiektywny (ze swej istoty dyskusyjny) – wirtualny zestaw graczy z kilku całkowicie odmiennych futbolowych epok. Na kogoś trzeba było się zdecydować… Co wcale nie oznacza, że nie doceniamy klasy lub zapomnieliśmy takich zawodników jak Teodor Peterek, Jan Benigier, Andrzej Buncol, Edward Lorens, Joachim Marx, Jan Rudnow, Mariusz Śrutwa, Henryk Alszer, Eugeniusz Faber, Albin Wira, Gerard Wodarz. To ekskluzywne grono muszą uzupełnić bramkarze: Jan Barow, Henryk Bolesta, Piotr Czaja, Jacek Kurowski, Eryk Tatuś, Józef Wandzik czy Edward Szymkowiak.

Przynależność do Ruchu oznaczała opowiedzenie się za polskością Śląska.

TROFEA NIEBIESKICH

- 14-krotny mistrz Polski: 1933, 1934, 1935, 1936, 1938, 1951, 1952, 1953, 1960, 1967/1968, 1973/1974, 1974/1975, 1978/1979, 1988/1989
- 6-krotny wicemistrz Polski: 1950, 1956, 1962/1963, 1969/1970, 1972/1973, 2011/2012
- 3-krotny zdobywca Pucharu Polski: 1951, 1973, 1996

Zapewne nigdy nie ustaną dyskusje, który Ruch był lepszy, ten przedwojenny, z Ernestem Wilimowskim, Gerardem Wodarzem i Teodorem Peterkiem, czy ten z lat 50. i późniejszych, z Gerardem Cieślikiem, Eugeniuszem Faberem, Joachimem Marxem i Antonim Nierobą.

Bramkarz: Ryszard Wyrobek, „Pingol" (w Ruchu w latach 1945-1962, 259 meczów).

Obrońcy: Jerzy Wyrobek (1969-1982, 264); Antoni Nieroba (1956-1972, 347); Dariusz Gęsior (1987-1996, 178); Antoni Piechniczek (1965-1972, 151).

Pomocnicy: Czesław Suszczyk (1948-1959, 233); Zygmunt Maszczyk (1963-1976, 310); Gerard Cieślik (1939-1959, 237); Bronisław Bula (1961-1978, 318).

Napastnicy: Ernest Wilimowski (1934-1939, 86); Krzysztof Warzycha (1983-1989, 192).

Godzi się przypomnieć kilku najwybitniejszych z plejady wybitnych graczy chorzowskiego klubu. To dwaj dominatorzy: Ernest Wilimowski (okres przedwojenny) i Gerard Cieślik (powojenny) oraz wyjątkowy duet byłych zawodników, a potem selekcjonerów reprezentacji Polski: Antoni Piechniczek i Waldemar Fornalik.

eprasa.pl 121512869e

Arcymistrz Wilimowski

Tak opisywał go Kazimierz Górski w „Alfabecie Pana Kazimierza": „Ernest Wilimowski – widziałem go grającego przed wojną. Zawsze jak Ruch przyjeżdżał do Lwowa, to te tysiąc czy półtora tysiąca więcej ludzi było na meczu. A przeważnie przychodzili na Wilimowskiego i wtedy patrzyli, co on zrobi. A on czasami robił takie numery. Jak dostał piłkę w polu karnym, to był bardzo niebezpieczny, a jeszcze na dodatek po lewej stronie miał świetnego partnera, jakim był Wodarz. Znali się i grali – jak to się mówi – na pamięć. Wilimowski miał drybling, umiał ograć. Bywało tak: on ogrywał obrońcę, ogrywał bramkarza i pusta bramka… A on stanął z piłką na linii, a wszyscy zamarli. Sędzia nie gwiżdże, bo przecież nie ma jeszcze piłki za linią, a Wilimowski sobie stanął i czekał, żeby bramkarz wrócił. A kiedy, wracając, bramkarz próbował ponownie się rzucić, to Ernest pyknął i dopiero była bramka. No, publiczność była zachwycona. Na takie numery mógł sobie pozwolić właśnie tego typu zawodnik, jakim był Wilimowski. On sam wygrywał mecze, sam strzelał wiele bramek. Na niego grała praktycznie cała drużyna".

Drużyna Ruchu Hajduki Wielkie przed meczem z Jugosławią. Od prawej widoczni m.in.: Gerard Wodarz (3.), Eryk Tatuś (4.), Ernest Wilimowski (7.), lipiec 1938 r.

Narodowy bohater Cieślik

„Na przykład Gerard Cieślik! Prowadziłem jakiś mecz ligowy na »jego« stadionie przy ulicy Cichej. Mecz ważny, przede wszystkim dla przeciwników Ruchu, bowiem groziła im degradacja… Co chwila był »kocioł« pod ich bramką, było dużo kornerów i strzałów. Na przedpolu obu bramek brakowało trawy, toteż mieszany nogami piłkarzy piasek często wzbijał się w górę i utrudniał widoczność. W pewnym momencie »mały łącznik Ruchu« (jak nazywano Cieślika) przebiegł z piłką prawie do linii końcowej i z kilku metrów strzelił w kierunku bramki gości. Jaka była dalsza droga uderzonej przez Cieślika piłki, nie mogłem już stwierdzić – z powodu kłębów kurzu (…). Piłkarze Ruchu zbiegli się wokół swojego Gerarda i gratulowali mu zdobycia bramki. Piłka leżała już na punkcie wznowienia gry, kiedy podszedł do niej Cieślik, wziął pod pachę i podążył w moim kierunku. – Panie sędzio – rzekł cicho – gola nie było, pan idzie ze mną, pokażę tę dziurę z boku, przez którą piłka wpadła do siatki. W tym kurzu nie było tego widać!". To z kolei ułamek wspomnień byłego dziennikarza, działacza i arbitra Grzegorza Aleksandrowicza „Moja przygoda z piłką i gwizdkiem".

Cieślika uznano za najlepszego futbolistę 50-lecia. W reprezentacji Polski wystąpił 45 razy, a bohaterem narodowym obwołano go 20 października 1957 r. po zdobyciu obu goli w zwycięskim spotkaniu (2:1) z ZSRR na Stadionie Śląskim w Chorzowie.

Honorowy obywatel Piechniczek

Uznanie i popularność zdobył jako selekcjoner reprezentacji narodowej. Powołany na to stanowisko w 1980 r., uzyskał awans do mistrzostw świata w Hiszpanii w 1982 r., na których drużyna zajęła trzecie miejsce. Wywalczył też awans do MŚ w Meksyku w 1986 r.

Gerard Cieślik (nz. z lewej) w meczu eliminacyjnym do mistrzostw świata z Finlandią (4:0), 3 listopada 1957 r.

Ponownie objął funkcję selekcjonera reprezentacji w maju 1996 r.

Stosunkowo niedawno, bo 29 sierpnia 2019 r., otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Chorzowa. W laudacji dr Jacek Kurek powiedział m.in.: „Antoni Piechniczek jest hajduczaninem,

eprasa.pl 121512869e

Eugeniusz Faber w meczu towarzyskim Polska-Rumunia (1:1), Chorzów, 2 czerwca 1963 r.

chorzowianinem, Ślązakiem, Polakiem, Europejczykiem i obywatelem świata.

Na pierwszy mecz Ruchu Chorzów, który grał wtedy z Polonią Warszawa, Antoniego zabrała babcia Jadwiga w 1948 r. Jej bracia – Bartoszkowie znaleźli się wśród założycieli klubu w 1920 r. I choć Antoś nie był jeszcze wtedy pewny, którzy piłkarze są z jakiej drużyny, zakochał się w futbolu… Odtąd pasjami chodził na piłkarskie zawody (…).

Grzegorz Aleksandrowicz: Cieślik podążył w moim kierunku. – Panie sędzio – rzekł cicho – gola nie było, pan idzie ze mną, pokażę tę dziurę z boku, przez którą piłka wpadła do siatki.

W 1968 r. Antoni Piechniczek odniósł swój największy sukces jako piłkarz, zdobywając wraz z Ruchem tytuł mistrzowski i grając we wszystkich 26 meczach ligowego sezonu. Ten ostatni, z Górnikiem Zabrze na Stadionie Śląskim, przy udziale 80 tys. widzów, okazał się najważniejszy (…). Jako selekcjoner poprowadził 73 oficjalne mecze narodowej reprezentacji. »Gdyby trener Piechniczek został na stanowisku selekcjonera, na pewno grałbym w piłkę co najmniej trzy lata dłużej«, wspominał Zbigniew Boniek. Czyż trzeba więcej dla puenty?”.

Waldek King Fornalik

Waldemar Fornalik, będąc wychowankiem Ruchu, grał w nim przez całą karierę (1983-1987, 1989-1994, 233 mecze). W 1989 r. zdobył mistrzostwo Polski. Jako trener prowadził Ruch dwukrotnie, w latach 2009-2012 oraz 2014-2017. Na stanowisku selekcjonera reprezentacji pracował od 10 lipca 2012 r. do 16 października 2013 r.

Ciekawie scharakteryzował chorzowianina Dariusz Tuzimek (WP Sportowe Fakty): „Skromny na tyle, że niektórzy mówią, że to aż przesada. Nie lubi się chwalić, nie wchodzi w »śliskie« układy z mediami, za co nieraz przyszło mu płacić. Starano się na siłę pokazać, że jest niemedialnym smutasem. I śląskim, zaledwie lokalnym trenerem, który nie zasługuje na szansę pracy w topowych klubach Ekstraklasy. W przełamaniu tego krzywdzącego stereotypu nie pomogła mu nawet funkcja selekcjonera. Dopiero mistrzostwo Polski wywalczone z Piastem Gliwice kazało nawet krytykom inaczej popatrzeć na Waldemara Fornalika (…).

Co do tej skromności, to jest ona nie tylko legendarna, ale też autentyczna. Nie ma w niej krztyny zagrania pod publiczkę, udawania przed kamerami czy grania powściągliwości. W tym miejscu, gdzie innym trenerom – często o mniejszych dokonaniach

Fornalik wierzy, że broni go jego praca.

– odkręca się kran z własną wielkością, Fornalik mówi: »Niech inni mnie oceniają«. Niestety, prostolinijna wiara trenera, że ocenią go uczciwie, ociera się o – przepraszam, że to piszę – naiwność. (…) Fornalik nie jest szołmenem, nie kituje, nie »nawija makaronu na uszy«. Mówi niepopularną prawdę, że do sukcesu prowadzi tylko praca i że nie ma drogi na skróty. I nie sprzedaje szczegółów własnego warsztatu. Nudne, co?

Fornalik nie uwikłał się nigdy w żadne układy z mediami, które dzisiaj aż przebierają nogami, czekając w pełnej gotowości na chętnych do zakulisowej współpracy, sprzedawania newsów, przecieków kontrolowanych itd. Trener nowych mistrzów Polski nie »przysposobił« sobie własnych dziennikarzy, gotowych do manipulacji i bronienia patrona w każdej sytuacji. Fornalik jest dla wszystkich dziennikarzy uprzejmy, ale pewnej granicy nigdy nie przekracza. Nadal wierzy, że broni go jego praca. (…)

Fornalik nie reklamował niczego, co w sumie dziwne, bo przecież takie wartości jak skromność, pracowitość i dobra robota powinny się dobrze sprzedawać. Ale rzadko sprzedają się same. Trzeba o to zabiegać, nadskakiwać, robić wpisy na Twitterze, sprzedawać swoją prywatność.

eprasa.pl 121512869e

To nie dla Fornalika. Nie dlatego dostał miano »Waldek King«".

Znani i w Ruchu zakochani

„Legenda bez końca", głosi hasło promujące klub z Cichej. Przez lata Ruch pozyskiwał więc zwolenników dzięki ligowym rozgrywkom i europejskim pucharom. Powszechnie znana jest sympatia dla Niebieskich, a nawet swego rodzaju kibicowska fascynacja, tak znanych osób jak Jan Miodek, Bogdan Kalus, Jerzy Buzek czy świętej pamięci Kazimierz Kutz.

Gerard Cieślik (na. z lewej) i Krzysztof Warzycha 23 czerwca 1989 r., kiedy to Ruch zdobył tytuł mistrza Polski w sezonie 1988/1989.

Wielokrotnie dawali świadectwo, że z prawdziwej miłości do ulubionego klubu nigdy się nie wyrasta.

Kazimierz Kutz zawsze podkreślał, że klubem, który łączył wszystkich Ślązaków, był „oczywiście Ruch Chorzów". „Co prawda, w pierwszej lidze grał jeszcze AKS Chorzów, ale tej drużynie sprzyjało znacznie mniej ludzi. AKS to był przecież proniemiecki klub, a Ruch był jak najbardziej polski. Pamiętam, że raz w roku Ruch przyjeżdżał do Szopienic na mecz towarzyski. Połowa tamtej drużyny Ruchu to byli reprezentanci Polski. Mogłem wtedy oglądać wspaniałych przedwojennych piłkarzy – Peterka, Wilimowskiego, Wodarza, Giemsę. To było coś wspaniałego, obok odpustu największe wydarzenie w moich Szopienicach. Magia Ruchu powodowała, że chłopców ciągnęło do piłki nożnej. Na robotniczym Śląsku

Kazimierz Kutz zawsze podkreślał, że klubem, który łączył wszystkich Ślązaków, był „oczywiście Ruch Chorzów".

Ruch miał duże zaplecze społeczne. W późniejszych czasach miało to o tyle duże znaczenie, że Niebiescy nie musieli się sprzedać, aby nadal funkcjonować. W moim sercu zawsze był Ruch i nie ma się co oszukiwać – jest nadal!".

Bogdan Kalus: „Nie uważam się za najpopularniejszego kibica Ruchu, bo są przecież profesorowie Buzek i Miodek oraz jeszcze paru

Magia Ruchu powodowała, że chłopców ciągnęło do piłki nożnej. Na robotniczym Śląsku Ruch miał duże zaplecze społeczne.

z niebieskim podniebieniem. Spikerowałem na Cichej od 1998 do 2004 r. Byłem pierwszym facetem na chorzowskim stadionie, który spowodował, że fani wywoływali nazwiska strzelca bramki dla gospodarzy, a także skład drużyny. Wprowadzanie innowacji było dość ciężkie, ale z kibicami Ruchu dogadywałem się dość dobrze. Pamiętam ten najlepszy okres Ruchu, czyli połowę lat 70., kiedy grali tacy zawodnicy jak Bula, Marx, Maszczyk. 1974 rok mistrzostwo, 1975 dublet. Wspaniała drużyna i wtedy w Chorzowie to była w zasadzie, o ile nie jedyna, to jedna z nielicznych rozrywek dla

Jan Miodek: Od dziecka istniał dla mnie tylko Ruch. Najlepszym prezentem było, jak tata zabrał mnie do Chorzowa na mecz.

mieszkańców tego miasta. Wtedy, niezależnie z kim Ruch walczył, na każdym meczu był komplet publiczności".

Jan Miodek: „Nie ukrywam, że Ruch Chorzów to mój kibicowski dramat. Klub, który jest mi bardzo bliski od 1952 r., zjechał tak nisko! Finisz sezonu sprzed 66 lat pamiętam jak dziś. Drużyny pierwszej ligi były podzielone na dwie grupy. Jedną wygrał Ruch, drugą Polonia Bytom i one zmierzyły się w dwumeczu o mistrzostwo Polski. W Chorzowie gospodarze wygrali 7:0. W Bytomiu, na śniegu, było 0:0 i oczywiście Ruch został mistrzem. Gerard Cieślik, który strzelił cztery gole, był niemal bogiem. Dla nas, chłopców, ale dla dorosłych też. Kiedy rozważano, czyim imieniem ochrzcić stadion przy Cichej, główny kandydat, czyli Cieślik, był o to pytany, odpowiadał gwarą: »Ino Wilimowski«. Mój ojciec, zawsze powściągliwy w ocenach, do śmierci mi powtarzał: »Janek, ja nie odbieram ci sympatii do Cieślika, bo sam go bardzo lubię, był najlepszym polskim piłkarzem pierwszych dziesięciu, piętnastu powojennych lat. Ale pamiętaj, że prawdziwym geniuszem piłki był tylko Ernest Wilimowski«.

Od dziecka istniał dla mnie tylko Ruch. Nie chciałem cukierków, nie chciałem czekolady, bo najlepszym prezentem było, jak tata zabrał mnie do Chorzowa na mecz. Miałem ojca przedobrego, więc on mi te prezenty często robił. Nigdy nie zapomnę, jak pierwszy raz pojechałem na Ruch. Był rok 1954, miałem osiem lat… Ja, stary kibic, w każdą sobotę czy niedzielę sprawdzam w internecie, jak tam Ruch. Te pierońskie dziady znowu przegrały! Albo euforia, bo jest zwycięstwo. I tak przez całe lata. Teraz aż żal do komputera zaglądać. Nie jestem w stanie pojąć, jak można było dopuścić, by klub słusznie określany mianem legendy bez końca, został ogarnięty przez taką degrengoladę finansową i sportową".

Jerzy Buzek: „Dzięki Ruchowi pokochałem piłkę nożną i jestem tej miłości wierny do dziś. Nigdy, nawet przez moment, nie pomyślałem, aby zmienić niebieskie barwy na rzecz innego klubu czy innej dyscypliny".

Maciej Polkowski

FOT. NAC (2), EUGENIUSZ WARMIŃSKI/EAST NEWS (2), PAP/STANISŁAW JAKUBOWSKI

eprasa.pl 121512869e

Biegłość w języku obcym jest przereklamowana

Najważniejsze to być skutecznym w innym języku. Nie musimy mówić doskonale, żeby mówić

Rozmawia Katarzyna Niedurny

Niedawno ukazała się twoja książka „Języczni. Co język robi naszej głowie" (Wydawnictwo Karakter) poświęcona nauce języków obcych i zjawisku dwujęzyczności. Co to właściwie znaczy znać język obcy?

– Odpowiedź dla każdego będzie brzmiała inaczej. Dla niektórych będzie to absolutna biegłość, dla innych zdolność wypowiedzenia kilku zdań. Moim zdaniem znać język to komunikować się na miarę własnych potrzeb i dostrzegać zjawiska i procesy w języku jako takim.

Co zmienia w nas nauka języków obcych?

– Po pierwsze, dwujęzyczność otwiera przed nami świat innych kultur i inne punkty widzenia. Po drugie, oswajanie się z drugim językiem wzbudza w nas refleksje dotyczące języka ojczystego, ponieważ siłą rzeczy dokonujemy między nimi porównań, także na płaszczyźnie ekspresji. Zaczynamy się zastanawiać, w jaki sposób mówimy, dostrzegamy, że język ma funkcję nie tylko komunikacyjną. Nauka drugiego języka pozwala dostrzec, że w wymiarze poznawczym język rzeczywiście na nas wpływa. Istnieje teoria językoznawcy Benjamina Whorfa, że język kształtuje rzeczywistość i determinuje to, w jaki sposób ją postrzegamy. To bardzo dyskusyjne, bo oznaczałoby, że jako Polacy mamy podobny sposób patrzenia na świat tylko dlatego, że władamy tym samym językiem, a tak nie jest. Oraz że, skoro mamy wykształcony przez określony język sposób postrzegania, nie jest w stanie wpłynąć na niego nic, czego o świecie uczy nas następny język. To również nie jest prawda. Na szczęście! I to kolejny powód, by uznać naukę nowego języka za wartość.

Piszesz m.in. o ludziach, którzy w drugim języku zachowywali się inaczej niż w pierwszym. Podajesz przykład dziewczyny z Portugalii potrafiącej w swoim drugim języku soczyście przeklinać i wyrażać się o wiele swobodniej niż w pierwszym.

– W tym przypadku było to związane z wychowaniem. Jej rodzina chciała, by była ułożoną dziewczyną, co nierozerwalnie kojarzyło się jej z okresem życia i otoczeniem, w których korzystała tylko z języka pierwszego. Język drugi jest zaś językiem jej dorosłości, rozmów z przyjaciółmi – w nim wyraża cechy osobowości, którym daje dojść do głosu w innym otoczeniu, językowym i kulturowym. O języku drugim mówi się często jako o tzw. języku oderwania, czyli takim, który daje nam dystans do tego, co przeżywamy. Widać to w badaniach, w których językoznawcy starają się dowieść, jak dużą terapeutyczną wartość ma mówienie w języku drugim właśnie w trakcie terapii. Drugi język pozwala się oddalić i spojrzeć z dystansu na swoje emocje. Działa jak filtr. Język pierwszy jest bardzo silnie nacechowany emocjonalnie, bo poznawaliśmy go na najwcześniejszych etapach naszego rozwoju.

To dlatego piszesz, że w nauce języka obcego najbardziej pomagają przeżywane w nim emocje?

– W im większej liczbie kontekstów emocjonalnych się znajdziemy, tym większe prawdopodobieństwo, że językiem drugim będziemy się posługiwać swobodnie. A emocji uczymy się przecież z życia, nie z podręczników, gdzie dialogi są sztampowe. Dotyczą nierealnych sytuacji, np. grupa nastolatków spotyka się na imprezie i zaczyna dyskutować o sortowaniu śmieci. Stąd pytanie, czy lepiej, by w takich rozmowach pojawiały się wyrażenia slangowe lub mówiące o bardzo silnych przeżyciach. Pozostawiam tę kwestię otwartą, ale przypuszczam, że nie tylko lepiej byśmy się bawili, lecz także poczuli dzięki naturalności języka.

Z podręcznika też trudno się nauczyć poczucia humoru. Koleżanka tłumaczka opowiadała, jak w spotkaniu biznesowym między dwiema stronami uczestniczył tłumacz, który tłumaczył z języka japońskiego na rosyjski, i ona, przekładająca to na polski. Nagle padł żart, w którego zawiłości tłumacze zaczęli się zagłębiać, aż ustalili, że po prostu przekażą drugiej stronie polecenie: teraz zacznijcie się śmiać.

– To sprawdzona sztuczka, której stosowanie również mi zalecano

Znać język to komunikować się na miarę własnych potrzeb.

Jagoda Ratajczak – członkini Polskiego Towarzystwa Tłumaczy Przysięgłych i Specjalistycznych TEPIS oraz Związku Zawodowego Tłumaczy Przysięgłych. Absolwentka Wydziału Anglistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Jako sferę badań i działań obrała psycholingwistykę, naukę o dwujęzyczności i przyswajaniu języka.

eprasa.pl 121512869e

JAGODA RATAJCZAK
– filolożka, tłumaczka przysięgła i konferencyjna, autorka książki „Języczni. Co język robi naszej głowie”

w pracy zawodowej, bo jeśli żart jest oparty na grze słownej, trzeba go wymyślić od nowa, a to stresujące i mało realne, gdy pracujemy pod presją czasu. I nawet jeśli żart sprawnie przetłumaczymy, a jest mocno osadzony w jakimś kontekście kulturowym, to żeby szczerze się roześmiać, trzeba mieć kompetencję społeczno-kulturową. Pod tym mądrym terminem kryje się wprawa w rozpoznaniu tego, co jest kulturowo właściwe, co ludzi posługujących się danym językiem bawi, świadomość prawdziwego znaczenia znaków i sytuacji. Niestety, kompetencja społeczno-kulturowa nie jest gwiazdą w tym towarzystwie, gwiazdą jest szeroko rozumiana biegłość, o której wszyscy marzymy. Musimy jednak pamiętać, że ona nie daje nam wszystkiego.

Kompetencji, o której mówisz, najtrudniej nauczyć się w czasie zajęć.

– Tego możemy się nauczyć, tylko spotykając z ludźmi, obcując z popkulturą, czytając książki, wchłaniając wszystko, co w tym języku powstało. Tyle że nie należy oczekiwać natychmiastowego sukcesu. To nie tak, że obejrzę pięć filmów i przeczytam dwie książki i już wszystko wiem. Trzeba dać sobie czas, aby rzeczywiście w tej kulturze się zanurzyć.

Pamiętasz, jak u ciebie wyglądał taki moment zanurzenia?

– Od dziecka bardzo się interesowałam językiem angielskim, ale pierwszy raz pojechałam do Wielkiej Brytanii dopiero w wieku 21 lat, byłam wtedy na trzecim roku studiów i uważałam się za wielką filolożkę. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że sobie poradzę, bo byłam nakarmiona teorią i przyswoiłam wszystkie informacje na temat tego, czym się różni samogłoska krótka od długiej. Przychodziłam do sklepu po pomidory, mówiąc do ludzi językiem Hiacynty Bukiet z serialu „Co ludzie powiedzą?”. Największą lekcją, którą dała mi angielska ulica, było wyluzowanie się i próby naśladowania ludzi mówiących prostym językiem. Przekonałam się też wtedy, że czasem o prawdziwej biegłości świadczy to, że potrafimy odłożyć na bok trudne formy, których z takim wysiłkiem się uczyliśmy.

Według obiegowej opinii, jeśli uczymy się kilku języków, to z każdym kolejnym łatwiej nam je przyswajać.

– Zależy to od kilku czynników. Przede wszystkim od tego, jaki jest nasz język pierwszy i drugi. Moim językiem pierwszym jest polski, drugim angielski, a trzecim niemiecki, więc język drugi i trzeci są do siebie podobne. To faktycznie pomaga, najczęściej w nauce słownictwa. Chociaż czasami jest wręcz przeciwnie, bo jeśli języki są do siebie zbyt podobne, mogą zacząć nam się mylić, przynajmniej na początku nauki. Często dochodzi wtedy do tzw. transferu, czyli przeszczepiania pewnych struktur językowych z języka, który opanowaliśmy wcześniej, do kolejnego. Kiedy zaś uczymy się języka kompletnie nowego, kiedy, powiedzmy, po angielskim nachodzi nas ochota na portugalski, może nam być trudno ze względu na brak podobieństw. Z drugiej strony fakt, że to język zupełnie inny, może być wyzwalający.

Również moim drugim językiem jest angielski, a trzecim niemiecki. Zauważyłam, że mój mózg nie potrafi zrobić jednej rzeczy – oglądania angielskiego filmu z niemieckimi napisami lub niemieckiego z angielskimi. Wtedy nie rozumiem żadnego z nich.

– To pokazuje, jak trudnym procesem jest przełączanie się między językami. Weźmy eksperyment, który przeprowadzimy w warunkach domowych. Możemy coś wygłosić, przełączając się w połowie każdego zdania z jednego języka na drugi. Bardzo trudno zrobić to płynnie, czujemy wtedy, jak w mózgu dosłownie skrzypią nam wszystkie zawiasy.

Jeśli nie mamy nic ciekawego do powiedzenia w języku pierwszym, to po co nam ten drugi?

FOT. DANUTA PUCIŁOWSKA

eprasa.pl 121512869e

Kazimierz Zarzycki
Moja melodia PRL-u.
Da capo al fine
Firma Dziennikarska Pol – Sil – Jan Dziadul, Katowice 2020

Autor oczami dziecka widział w rodzinnej wiosce nad Sanem okrucieństwa wojny. Z tamtych stron przywędrował na Śląsk, studiował na dzisiejszym Uniwersytecie Ekonomicznym. Brylował w katowickim radiu i przez półtora roku był osobistym sekretarzem Edwarda Gierka. Do Warszawy nie chciał z nim pójść. Wybrał rodzinę i Śląsk. Szefował „Wieczorowi", „Trybunie Robotniczej" i Telewizji Katowice.

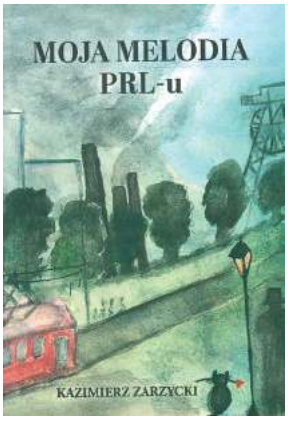

Nie przeszedł weryfikacji stanu wojennego, ale w 1983 r. ówczesne władze pozwoliły mu powołać do życia tygodnik „Tak i Nie", w którym dotrwał do historycznego przełomu lat 1989/1990. Na ostatnim zjeździe PZPR z drużyną Mieczysława F. Rakowskiego wyprowadzał sztandar. Widział wiele i ma co opowiadać – często przez łzy i śmiech:

Po co Zarzycki prowokuje? W imię historycznej prawdy, której nie da się wymazać czy zmienić. Historia jest niepoprawialna. Trzeba z nią żyć. Pisze, że: „Oceny niedawno minionych dziejów denerwują powierzchownością i brakiem rozumnej refleksji. (…) Nie mogę się zgodzić z takim biegiem spraw. Byłem jednym z nich".

Wydawcą książki jest Jan Dziadul – autor, dziennikarz, reportażysta, publicysta historyczny i przyjaciel Kazimierza Zarzyckiego, laureat niemal 30 konkursów dziennikarskich.

„Melodia…" dostępna jest w Księgarni „Wolne Słowo" w Katowicach, ul. 3 Maja 31, i u wydawcy: Pol – Sil – Jan Dziadul, j.dziadul@polityka.com.pl

W książce wspominam, co pisze na ten temat niderlandzki językoznawca Cornelis Kees de Bot – próba kontrolowania wszystkich języków „zmagazynowanych" w naszym umyśle jest jak przytrzymywanie pod wodą kilku piłeczek pingpongowych. W pewnym momencie któraś siłą rzeczy wypłynie. Nie jesteśmy w stanie tego całkowicie kontrolować.

Czyli raz nauczony język będzie w nas zawsze obecny?

– Wiele wskazuje na to, że tak. Choćby znikomy kontakt z językiem już wpływa na reorganizację naszego leksykonu mentalnego i pozwala danemu językowi na wejście w interakcję z pozostałymi językami.

Jeśli nauczę się dobrze jakiegoś języka, a później przez kilka lat go nie używam, to czy istnieje ryzyko, że całkowicie go zapomnę?

– O rzeczywistym zapomnieniu języka możemy mówić tylko w jednym przypadku – tzw. atrycji będącej następstwem schorzeń neurologicznych bądź urazu. Kiedy słyszymy znajomego, który po roku mieszkania w Anglii twierdzi, że już w ogóle nie pamięta ojczystego języka, nie możemy mu wierzyć. Podobnie gdy chodzi o kolejne języki – nasze zasoby nie ulegają całkowitej degradacji. Ale brak kontaktu z danym językiem na pewno powoduje, że zapisuje się on gdzieś w głębszych zakamarkach umysłu, z których jednak dzięki powtórkom możemy go wydobyć.

Kolejna obiegowa opinia: nauka języków dla osób starszych jest trudna.

– W książce piszę o tym, że nie jesteśmy w stanie wyciągnąć w tej kwestii jednoznacznych wniosków. Niektórzy badacze uważają, że tzw. okresy krytyczne, o których mówi hipoteza wieku krytycznego – a więc konkretne ramy czasowe, w obrębie których zachowujemy umiejętność przyswojenia elementów języka w takim stopniu jak rodzimi użytkownicy – dotyczą jedynie fonetyki i gramatyki. Ma za tym stać zmniejszająca się z wiekiem neuroplastyczność, zwana inaczej plastycznością mózgu. Ale to wyłącznie hipoteza. Nie ma żadnych ograniczeń czasowych, jeśli chodzi o przyswajanie wiedzy pamięciowo, np. naukę słownictwa. Rezerwa poznawcza jest czymś indywidualnym, jej zwiększaniu służy stymulacja intelektualna, której nie powinniśmy sobie odmawiać tylko dlatego, że krążą pesymistyczne teorie, jak to z wiekiem nasza efektywność spada.

Czy istnieje coś takiego jak zdolność albo niezdolność do nauki języków obcych?

– Są badania, które mówią, że zdolność do nauki drugiego języka jest najczęściej skorelowana z umiejętnościami językowymi w języku ojczystym; inne, że jest skorelowana z ekstrawertyzmem lub introwertyzmem. W tym drugim przypadku możemy powiedzieć, że są to ryzykowne twierdzenia, bo bardzo trudno opracować jednoznaczną definicję jednego i drugiego, a wreszcie opracować odpowiednią metodologię. Choć kuszące jest założenie, że osoba o silniejszej potrzebie ekspresji będzie osiągać lepsze rezultaty... bo będzie miała większą potrzebę ich osiągnięcia, będzie bardziej zmotywowana. Myślę jednak, że w tych obawach znowu chodzi o mityczną biegłość. A moim zdaniem jest ona przereklamowana. Najważniejsze to być w języku skutecznym. Nie musimy mówić doskonale, żeby mówić.

Drugi język pozwala spojrzeć z dystansu na swoje emocje. Działa jak filtr.

Masz jakieś rady i wskazówki dla uczących się języków obcych?

– Mogę poradzić jedno: pielęgnujmy w sobie ciekawość świata. Wyobraź sobie, że rozmawiasz z kimś po polsku i pytasz go, co ciekawego ostatnio przeczytał, jaki film obejrzał, co go zachwyciło, zdziwiło, co przeżył, a ta osoba odpowiada: nie wiem. Teraz, w czasie pandemii, możliwość poznawania świata osobiście mamy mocno ograniczoną, ale przecież wokół nas wciąż jest wiele rzeczy, które karmią nasz umysł. Warto po nie sięgać i z nich korzystać. Bo jeśli nie mamy nic ciekawego do powiedzenia w języku pierwszym, to po co nam ten drugi?

Katarzyna Niedurny

eprasa.pl 121512869e

Oko w oko

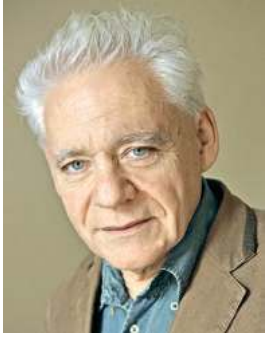

Tomasz Jastrun

Bal maskowy

Rowerem do sklepów, ścieżką przez las, co jest nielegalne, co z kolei jest surrealistyczne. W takim lesie głośniej śpiewają ptaki. A potem puste ulice, puste sklepy, wiatr podrywa do lotu jednorazowe rękawiczki wymiecione z kosza na śmieci. Fruną koślawo jak chore ptaki, po czym siadają niezgrabnie na pustej jezdni.

•

Przed pierwszą w nocy jadę do Lidla. Czynny teraz przez całą noc. Mimo późnej godziny kolejka przed sklepem, zgodnie z nakazem bardzo rozciągnięta. Wszyscy w maseczkach i w rękawiczkach. Ludzi dzielą dwa metry, ale łączy wspólny niepokój. I jakoś przyjemnie i serdecznie jest w tej kolejce w środku nocy, jakby wszyscy doceniali dziwność istnienia.

•

Od miesięcy piszę, że Małgorzata Kidawa-Błońska jest fatalną kandydatką na prezydenta. Nie dała mi szansy na zmianę opinii. Popełniono błąd z tych niewybaczalnych. Ona nawet się stara, próbuje być mocna i stanowcza, co brzmi nieautentycznie i irytuje. Pół biedy, gdyby to było tylko moje odczucie. Nie dziwię się, że Kosiniak-Kamysz dogania ją w sondażach. Jeśli dojdzie do tych kopertowych wyborów, czy należy je bojkotować? Czy uda się nam, niepogodzonym ze stanem rzeczy, ustalić wspólny front? Jeśli wybory odbędą się w maju, pogłębi się choroba polskiej demokracji. Życie w tym kraju pogrążonym w kryzysie gospodarczym i w oficjalnym podłym kłamstwie stanie się nie do zniesienia. Jaką trzeba mieć pogardę dla Polaków, by walczyć o władzę po ich trupach. Urasta do rangi symbolu słynna już wizyta prezesa z asystą na grobie matki, na zaplombowanym cmentarzu. Ilona Łepkowska pisze emocjonalny list (co na to jej mąż, mój dawny kolega Czesław B., do niedawna pisowiec, doprawdy nie wiem, czy on tak z przekonania, czy raczej z przekory). Cytuję Łepkowską: „Wjechał Pan na Powązki – gdzie i ja mam grób swoich bliskich – jak król do prywatnej kaplicy. Jak cesarz do mauzoleum swoich przodków w swoim prywatnym pałacu. Okazał Pan nie po raz pierwszy, ale pierwszy raz w tak szczególnym czasie, który powinien być czasem wyjątkowym, czasem wzajemnej empatii, solidarności i czułości, że ma się Pan za kogoś lepszego, ważniejszego, kogo zakazy i nakazy nie obowiązują. (…) Tym samym okazał Pan głęboką pogardę i całkowity brak zrozumienia uczuć milionów zwykłych Polaków, ludzi, w których interesie działa Pan ponoć od dziesięcioleci. (…) Piszę to Panu jako osoba, która od lat uważana jest za twórcę wyjątkowo dobrze odczytującego potrzeby i uczucia Polaków, czego dowodem są wielomilionowe wyniki oglądalności stworzonych przeze mnie seriali. I mając za sobą te miliony widzów, zwykłych Polaków, mówię Panu – popełnił Pan wielki błąd. Okazał Pan lekceważenie ludziom, którzy też kochali swoich Rodziców, ale zastosowali się do zakazów nałożonych na nas przez rząd powołany z Pana nadania. Wstyd, proszę Pana. (…) Myślę, że się to na Panu i na Pana obozie politycznym zemści. (…) Mówię to Panu z głębokim przekonaniem, że czegoś takiego Rodacy Panu nie zapomną”.

Jaką trzeba mieć pogardę dla Polaków, by walczyć o władzę po ich trupach.

Nie, proszę pani, ci wierzący rodacy zapomną i wybaczą, wierzący, czyli elektorat PiS. Bo prezes to wedle nich pomazaniec boży, jest ponad prawem, a nawet prawo tworzy. Nie tylko wybaczą, nawet się wzruszą, że tak kocha matkę.

•

Epidemia to pierwsze takie wydarzenie od czasów wojny, które dotyka realnie wszystkich na świecie. Zostanie po tym blizna, nie wiadomo jak szeroka i w jakim miejscu naszej zbiorowej pamięci ulokowana. Taką bliznę zostawił kryzys gospodarczy z przełomu lat 20. i 30. Optymista powie: nastąpi rewitalizacja socjaldemokracji, kapitalizm straci kły, będzie większa równość społeczna. Pesymista zauważy: fakt, że z epidemią najlepiej poradziły sobie Chiny, kraj autorytarny, zachęci państwa do większej kontroli społecznej i ograniczania demokracji. A może uświadomimy sobie, że idea ciągłego wzrostu za wszelką cenę, kompulsywna potrzeba, by mieć więcej i więcej, jest niszcząca nie tylko dla naszej planety, ale też dla naszej psychiki? I że jeśli chcemy, by następne pokolenia w ogóle mogły przetrwać, potrzebna jest wielka zmiana myślenia. Olga Tokarczuk uważa, że świat po koronawirusie nie będzie taki sam. Wiele osób tak sądzi. Ja myślę, że zmiany nie będą radykalne. Zbyt głębokie są koleiny, którymi jedziemy na złamanie karku nie wiadomo dokąd. Niemożność przewidzenia przyszłości, jakie to straszne – jakie to cudowne.

•

Od minionego czwartku obowiązek noszenia maseczek. Takiego balu maskowego jeszcze w Polsce nie było. A prezes? Czy prezes będzie nosił? Fascynujące czasy.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 121512869e

Pandemia sztuki online

#Zostanwdomu, odwiedź najważniejsze muzea i baw się w artystę

Rafał Pikuła

Do Luwru robiłem trzy podejścia. Za pierwszym razem popełniłem typowy błąd i umyśliłem sobie, że wejdę z marszu. Przy powtórce wykupiłem przez internet bilet na wyznaczoną porę i już cieszyłem się na rychłe *rendez-vous* z Mona Lisą, ale pomyliłem dni. Trzecie podejście było porażką na całej linii, więc spuszczę na to zasłonę milczenia. Odwiedzić Luwr udało mi się dopiero teraz.

Na kwarantannie, nie wychodząc z domu, wybrałem wirtualną wycieczkę po słynnym paryskim obiekcie (www.louvre.fr/en/visites-en-ligne). Zdecydowałem się – jak na nowicjusza przystało – na oprowadzanie pod tytułem „Historia Luwru", a trzeba wspomnieć, że jest także ścieżka ukazująca pokaźną kolekcję sztuki starożytnego Egiptu oraz trasa po barokowej Galerii Apollina. Następnego dnia, siedząc w tym samym fotelu, wybrałem się do holenderskiego Rijksmuseum (www.rijksmuseum.nl/en/tours). Dzięki nowej technologii nurzałem się w sztuce. Wręcz dosłownie. Muzeum w Amsterdamie przygotowało nie tylko klasyczne oprowadzanie po obiekcie metodą Google Street View, ale także specjalne prelekcje poświęcone konkretnym dziełom. W ten sposób można dokładnie przeanalizować np. obraz „Mleczarka", poznać słynne dzieło Vermeera dogłębnie, w sposób niemożliwy przy klasycznym zwiedzaniu.

Wirtualny spacer

Zwiedzanie metodą Street View to w dużej mierze zasługa programu Google Arts & Culture. Technologiczny gigant zaprosił do współpracy ponad 500 galerii sztuki i muzeów z całego świata, w tym Van Gogh Museum w Amsterdamie, National Gallery w Londynie oraz wspomniane Luwr i Rijksmuseum. W projekcie Google'a wzięły też udział 32 instytucje z naszego kraju, takie jak Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN w Warszawie, Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku czy Muzeum Narodowe w Krakowie.

Szukając wytchnienia od filmu i książki, warto pobyć sam na sam ze sztuką. Tym bardziej że bogactwo możliwości aż zaskakuje. Stały rozwój technologii zaś sprawił, że taka forma kontaktu z kulturą jest znacznie atrakcyjniejsza niż jeszcze kilka lat temu. Dla wielu osób niezmącony turystyczną gorączką kontakt z dziełami, wybitnymi artystami i dostojnymi instytucjami może być początkiem poważnego zainteresowania sztuką. Możliwości jest sporo, przedstawiamy nasze propozycje.

1. MoMA, Nowy Jork

To jedno z najsłynniejszych muzeów sztuki nowoczesnej. Ekspozycje zbiorów Museum of Modern Art oraz wystawy czasowe (indywidualne i tematyczne) prezentują malarstwo, rysunek, grafikę, rzeźbę, fotografię, film, wideo, instalacje, nowe media. Nowojorski ośrodek przygotował specjalną autorską serię „The Way I See It", w ramach której krytycy sztuki i artyści opowiadają o ulubionych dziełach z kolekcji galerii.

Muzeum prowadzi też kanał na YouTubie, gdzie można znaleźć filmy dotyczące nowych dzieł i wystaw wraz z komentarzami.

artsandculture.google.com/partner/moma-the-museum-of-modern-art?hl=en

2. British Museum, Londyn

Szacowne brytyjskie muzeum przygotowało możliwość zwiedzania w stylu RPG, *role-playing games*. Poruszamy się tu po osi czasu jak w grze komputerowej. W zbiorach znajduje się ponad 8 mln eksponatów, gigantyczna kolekcja składa się zaś przede wszystkim z zabytków historii starożytnej. Jeżeli ktoś chciałby poznać całościowe dzieje ludzkości, ma ku temu idealną i bezpieczną okazję.

blog.britishmuseum.org/how-to-explore-the-british-museum-from-home/

3. Metropolitan Opera, Nowy Jork

Jeśli ktoś interesuje się operą, wizyta w Metropolitan Opera będzie wymarzonym sposobem na udany wieczór. Poprzez stronę instytucji można nie tylko poznać bogatą historię opery, ale także zobaczyć najwybitniejsze dzieła gatunku. Nie ruszając się z fotela, obejrzymy m.in. „Carmen", „Traviatę" i „Eugeniusza Oniegina".

www.metopera.org

eprasa.pl 121512869e

4. Interaktywne spotkanie z „Ogrodem rozkoszy ziemskich" Hieronima Boscha

Choć ta perełka trafiła do sieci już prawie cztery lata temu, być może wiele osób wciąż nie miało czasu na tę podróż w głąb słynnego dzieła niderlandzkiego malarza z przełomu XV i XVI w. Dzięki interaktywnej prezentacji nie tylko dokładnie przyjrzymy się wszystkim szczegółom i pociągnięciom pędzla, ale również z pomocą lektora poznamy historię powstawania obrazu i tego, co prezentuje.

archief.ntr.nl/tuinderlusten/en.html

5. Muzeum POLIN

Jedno z najbardziej znanych polskich muzeów włączyło się w akcję #zostanwdomu i zaprasza do zwiedzania *online*. Oferta Muzeum Historii Żydów Polskich jest bogata. „Muzeum POLIN w Twoim Domu" to specjalnie przygotowany wybór spacerów po wystawach, podcastów i relacji wideo. Wśród gości spotkań *online* znaleźli się m.in. Agnieszka Holland, Norman Davies czy Marcin Wicha. Przewodnikami

podczas spaceru po wystawie „1000 lat historii Żydów polskich" są Maria Seweryn i Maciej Orłoś.

www.polin.pl/pl/muzeum-polin-w-twoim-domu

Sztuka z kwarantanny

Sztuka w sieci to także Instagram, Facebook oraz liczne projekty interaktywne, cyfrowe i efekty żmudnej digitalizacji, które teraz mają swój czas. Wielkim powodzeniem cieszy się zabawa w… odtwarzanie dzieł sztuki. Zaczęło się od facebookowej grupy „Изоизоляция" (www.facebook.com/groups/izoizolyacia). W tej rosyjskojęzycznej, otwartej grupie, liczącej na początku kwietnia już 350 tys. osób, można znaleźć improwizacje na temat znanych dzieł. Zakazane jest używanie Photoshopa, filtrów, wklejanie elementów czy projektowanie sztucznego tła. Wyzwanie polega na tym, że ludzie mają jak najdokładniej czy najciekawiej odtworzyć obraz lub rzeźbę krok po kroku, nie wychodząc z domu i korzystając jedynie z tego, co ma się w zasięgu ręki. Pomysł podchwycili autorzy instagramowego konta Tussen Kunst & Quarantaine, proponując zabawę z klasyką niderlandzkiego malarstwa. W akcję włączyły się instytucje sztuki, m.in. Muzeum Getty'ego w Los Angeles, które zamieszcza nadesłane zdjęcia na swoich kontach w mediach społecznościowych.

Najwięcej „dzieł" można odnaleźć, posiłkując się popularnymi hashtagami #BetweenArtandQuarantine, #tussenkunstenquarantaine i #artchallenge.

Swoją odpowiedź na te pomysły z sieci przygotowało Muzeum Narodowe w Warszawie. „Przenosimy nasze działania do sieci, żeby pozostać nieprzerwanie na łączach z kulturą w tym trudnym dla nas wszystkich okresie", napisali organizatorzy akcji #niebawemwMNW. Zgodnie z ideą warszawskiego muzeum każdy może wybrać dzieło sztuki, skorzystać z przedmiotów codziennego użytku i ubrań domowych, by stworzyć wariację na jego temat. Następnie należy opublikować zdjęcie na Facebooku lub Instagramie, oznaczając profil Muzeum Narodowego w Warszawie i opatrując je hashtagiem #niebawemwMNW. Własną wersję zabawy przygotowało też Gdyńskie Centrum Filmowe, które prosi widzów o ich wersje słynnych plakatów filmowych.

Można się spodziewać wysypu tego typu inicjatyw. Z korzyścią dla nudzących się na domowej kwarantannie, jak i dla samej sztuki. Taka oryginalna forma obcowania z nią może nauczyć więcej niż leksykon czy tradycyjny wykład.

Kultura na czas kryzysu

Marcowe badania Empiku mówią o wzroście czytelnictwa i sprzedaży książek (szczególnie w formie e-booków), Netflix odnotowuje 20-procentowy wzrost zainteresowania platformą w Europie i Stanach Zjednoczonych. Konsumujemy więcej kultury i być może jednym z nielicznych pozytywów całej epidemii będzie ukulturalnienie. Na ile obcowanie z kulturą i sztuką jest tylko zabijaniem czasu – gdy do baru wyjść nie można, a piłkarze mają wolne – a na ile nowym nawykiem, dopiero się okaże.

Na razie triumfy święcą intymne, domowe formy poznawania twórczości, ale każda forma kultury pomaga przetrwać kryzys, w jakim jesteśmy. O tym, że kultura jest niezbędna do radzenia sobie z trudnymi czasami, mówił prof. Jerzy Hausner. Bez niej nie ma rozwoju gospodarczego – przekonuje od lat były wicepremier. Zanim ruszymy odbudowywać kraj i swoje kariery, wybierzmy się na moment do świata sztuki. ■

FOT. ARCHIEF.NTR.NL/TUINDERLUSTEN/EN, POLIN.PL, WWW.MOMA.ORG

eprasa.pl 121512869e

SERIAL

ANGIELSKA GRA

reż. Birgitte Stærmose i Tim Fywell, prod. Wielka Brytania, Netflix

Mamy wiek XIX. Piłka nożna dopiero co oddzieliła się od rugby, zasady niby są ustalone, ale dużo zależy od widzimisię prezesa związku, bufonowatego angielskiego arystokraty. W „Angielskiej grze" futbol jest tylko pretekstem do opowieści o robotniczej emancypacji i początkach ruchów związkowych. Sześcioodcinkowy miniserial produkcji Netfliksa pokazuje początki związku futbolu z kapitalizmem, dziś tak silne, że niemal nierozerwalne. Widzimy, jak przemysłowcy wietrzą interes w budowaniu stadionów, dzięki którym więcej osób może oglądać mecze, ale też więcej będzie płacić za wejściówki. Oglądamy, jak rozrywka staje się biznesem, jak pojawiają się transfery i zakłady. Choć jeszcze przez lata futbol był amatorską przygodą, serial pokazuje, że tam, gdzie popularność, tam i podaż, a za nią pieniądze. *Rafał Pikuła*

FABUŁA

KOLOR Z PRZESTWORZY

reż. Richard Stanley, prod. USA, Cineman.pl

Jeśli wydaje się państwu, że mamy przechlapane, ten film może nieco to przekonanie zmienić. W ekranizacji mrocznego opowiadania H.P. Lovecrafta w ogrodzie przeciętnej rodziny z klasy średniej (jeśli zamożna familia może w ogóle uchodzić za przeciętną), na amerykańskiej wsi, ląduje fioletowy meteoryt. I się zaczyna: domownikom puszczają nerwy, zwierzętom mieszają się cykle dnia, sprzęty buntują się przeciw użytkownikom, a miastowi nie wykazują zainteresowania życiem prowincjuszy. Reżyser Richard Stanley na nowo definiuje straszenie obrazem. Zamiast krwiożerczych ufoludków mamy lejącą się z ekranu intensywną magentę, coraz bardziej zawłaszczającą piksele, co na widza działa jak narkotyk: stępia zmysły, wywołuje fizyczny ból, zabiera niemal w narkotyczny trip. Ekologiczny wątek urealnia ekranowe zagrożenie, a samotność bohaterów, nieświadomych, że zło wysysa z nich siły, dobitnie ukazuje bezsilność człowieka w starciu z…? No właśnie: wirusem? kosmosem? naturą? Jak to w horrorach, nie ma co liczyć na psychologiczną głębię ani wysublimowaną grę, ale „Kolor…" i tak sprawdza się jako straszak na miarę naszych czasów.

Artur Zaborski

DOKUMENT W TV

22 kwietnia we wszystkich krajach zmienia się całodniowa ramówka National Geographic. Nadawca honoruje ustanowiony 50 lat temu Dzień Ziemi, prezentując dokumenty o niegrzecznych aktywistach, jak Jane Goodall. Kontrowersyjna badaczka szympansów wykazała, że małpy człekokształtne posługują się narzędziami i dzielą zadania na wzór naszych ról społecznych, czym zbliżyła je do człowieka. Nie spodobało się to republikanom ani Kościołowi. Pierwsi próbowali sabotować jej badania, drugi wyklinał z ambon. W filmie są i momenty chwały, kiedy Goodall odbiera nagrody, i sentymentalne, gdy głaszcze włochatych przyjaciół, i te podnoszące ciśnienie, gdy przypomina się nam, jak wielu ma planetę w nosie. Szeroki rejestr nastrojów składa się na portret silnej kobiety, która pokazała, że szympans też człowiek. *Artur Zaborski*

JANE GOODALL: NADZIEJA NA PRZYSZŁOŚĆ

reż. Elizabeth Leiter i Kim Woodard, prod. USA, National Geographic, 22 kwietnia, godz. 21.00

MIĘDZY OKŁADKAMI

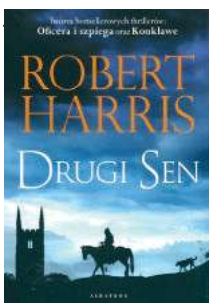

Robert Harris

Drugi sen

tłum. Andrzej Szulc

Albatros, Warszawa 2020

Pytanie na czasie: co po nas zostanie? Przede wszystkim mnóstwo plastiku, w tym „wyspa starożytnych śmieci", o której donoszą „żeglarze wracający z długich rejsów do Indii Zachodnich". Trochę szkła i martwej elektroniki, resztki betonowych konstrukcji zapomnianego przeznaczenia. Rozpadną się ultranowoczesne wieżowce, za to stare już dla nas, kamienne kościoły w Harrisowski świat po apokalipsie wpasują się idealnie. Bo tu rządzi Kościół, który wrócił do praktyk inkwizycyjnych, a za heretyków uznał szczególnie... antykwariuszy. Ta w naszych oczach kompletnie nieszkodliwa profesja zajmuje się wszak przeszłością, zbieraniem jej resztek – jeszcze ktoś, badając je, doszedłby do wniosków podważających dogmaty, jeszcze ludzie wkroczyliby znów na drogę postępu, który starożytnych, czyli nas, zdaniem Kościoła wykończył. W rzeczy samej niebezpieczna to herezja. Bohater, młody ksiądz, ledwo się z nią zetknął, kroczek po kroczku traci niewinność. Wiedza kosztuje, odpowiedzi nie dają ukojenia, a najbardziej boli chyba to, że chociaż mamy potencjał przetrwania, wciąż wybieramy sobie złych bogów do czczenia.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 121512869e

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Słowem w mór

Niby truizm, ale trudno z nim się spierać: człowiek jest zdrowy, póki się nie dowie, że jest chory. A jak już choruje, koniecznie chce wiedzieć, na co. Z psychologicznego punktu widzenia można to uznać za coś w rodzaju „syndromu Rumpelstilzchena" (wszelkie zesłowiańszczenia brzmią raczej śmiesznie niż złowrogo, jak czeski dubbing horroru – Rumpelsztyk, Rupieć-Kopeć lub Hałasik, dajmy więc im spokój). W baśni Grimmów demoniczny pokurcz obiecuje odstąpić od planu uprowadzenia niemowlęcia w plugawe zaświaty, pod warunkiem że odgadnie się jego imię. Chory, skoro już poznał swój status, chce znać nazwę licha, które go bierze. Może myśli magicznie, że w ten sposób choroba go odstąpi jak gnom z baśni nazwany po imieniu, a może całkiem racjonalnie – że to, co rozpoznane, skatalogowane, a zatem doświadczone przez innych i objęte rozumami medycznych mędrców, lżej jakoś będzie znieść. Poza makabreskami filmowymi o szalonych naukowcach nikomu raczej nie śpieszy się do tego, by choroba została nazwana jego imieniem – od pierwszego przypadku. To doprawdy najbardziej trefny sposób na nieśmiertelność.

Wirus, który nam się pandemicznie rozpanoszył i sparaliżował świat, wciąż jeszcze zdaje się być przed oficjalnymi chrzcinami. W pierwszej fazie rozrostu był najczęściej zwany po prostu koronawirusem, ale to zaklęcie najwyraźniej nie pomogło. Od kiedy ściślejsza nazwa COVID-19 utrwaliła się w potoczności, skubaniec może jakby nieco spowolnił (o ile to nie jest wyłącznie przedwyborcze „wypłaszczenie krzywej" oficjalnych danych), ale to wciąż nie to. To mógłby być jakiś robot z „Gwiezdnych wojen" albo kryptonim operacji szpiegowskiej, dla niewidzialnego masowego zabójcy historia przewiduje bardziej malownicze miano. Nikt dzisiaj nie mówi o grypie hiszpance H1N1, co mogłoby wskazywać, że to chiński wirus zostanie nam w pamięci na trwałe, pamięć społeczna nie zna poprawności politycznej.

Gdybyśmy jednak mieli tak magicznie, po grimmowsku odpędzić morowe powietrze, należałoby się wysilić nieco bardziej. Polszczyzna medyczna bywa wszak równie barwna jak nomenklatura biologów. Taka pląsawica Huntingtona – koszmarna przypadłość neurologiczna, ale jaka roztańczona w nazwie, laik myśli sobie, że pacjenci trwają w jakowymś nieustannym tangu. Szczególnie trafione wydają się określenia staropolskie – o ileż sugestywniej brzmią np. suchoty niż gruźlica; skądinąd w polskiej tradycji kulturowej suchoty utrwaliły się jako przyczyna śmierci wieszczów i geniuszy romantycznych. W Młodej Polsce zaś na lidera wśród pogromców wieszczów wysforował się syfilis, o przepraszam, kiła, popularnie zwana francą – znowu ta niesprawiedliwość nazw potocznych, zaraza zawsze przychodzi z zagranicy (Hiszpanie na ten przykład nazywali hiszpankę zgoła poetycznie żołnierzem z Neapolu).

Konkurs na to, by odpowiednie dać morowi słowo, trwa, morowe panny i chłopcy morowi mogą się nad tym głowić, póki umierają inni. Tymczasem – myślę sobie – żal, że życie nie jest tak okrutne jak w baśniach Grimmów. Jest bowiem znacznie okrutniejsze. Złośliwy gnom Rumpelstilzchen, czy jak go tam zwą, gdy go zdemaskowano, ze złości rozdarł się na dwoje i sczezł. W Polsce, gdzie historia powtarza się jako farsa, baśń odtwarza się jako palindrom. Z dwóch ostał się jeden, dawno już sam się zdemaskował, wszyscy wiemy, jak mu na imię, a mimo to szlag trafia nie jego, ale kilkadziesiąt milionów Polaków, każdego dnia od nowa. Kiedy piszę te słowa, on właśnie pociąga za sznurki swoich sejmowych marionetek i przepycha kolejne ustawy, drwiące z demokracji, mijające się z rozumem, odbierające godność – a wedle sondaży naród niezmiennie pozostaje pod jego czarem.

Konkurs na to, by odpowiednie dać morowi słowo, trwa, morowe panny i chłopcy morowi mogą się nad tym głowić, póki umierają inni.

Cóż począć, nie wiem, jak tę chorobę nazwać, ale ja w ogóle mało wiem – np. do niedawna nie wiedziałem, że jestem chory na niejaką prozopagnozję. Obecnie jej objawy odczuwa całe zakwefione maseczkami społeczeństwo, śpieszę więc wyjaśnić, że chodzi o niemożność zapamiętywania ludzkich twarzy. Ma się wtedy wybór: albo profilaktycznie kłaniać się wszystkim i uchodzić za niegroźnego wariata, albo nie witać się z nikim – co czyni nas w oczach ogółu groźnym ponurakiem. W Polsce ostatnimi laty wybieram tę drugą metodę, albowiem naród nasz groźnym ponurakom samoczynnie oddaje hołdy.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 121512869e

Suchy świat

Woda jest już najważniejszym surowcem – i dla ludzi, i dla rynków

Mateusz Mazzini

Położone w południowym, przygranicznym stanie Chiapas miasto San Cristóbal de Las Casas mogłoby się znaleźć na typowej pocztówce z Meksyku. Stolica kultury regionu, uznawana za jedno z najbardziej malowniczych miast kraju, co roku gości dziesiątki tysięcy turystów spragnionych widoku Meksyku z czasów kolonialnych. Wycieczki do katedry, kościoła św. Dominika czy okolicznych hacjend rodem ze starych wersji serialu o Zorro napędzają w dużej mierze lokalną gospodarkę. Jeśli dodać do tego fakt, że miasto leży przy słynnej Autostradzie Panamerykańskiej, najważniejszym lądowym szlaku transportowym w tej części świata, można by uznać, że San Cristóbal de Las Casas to jedno z lepszych miejsc do życia, przynajmniej w samym Meksyku.

Przeszło stutysięczne miasto światowy rozgłos zyskało jednak nie dzięki zabytkom czy rozwojowi gospodarczemu, ale przez wodę. A precyzyjniej rzecz ujmując, z powodu coraz większych jej niedoborów. Choć region ten charakteryzuje się jednym z najwyższych wskaźników opadów w całej centralnej Ameryce, mieszkańcy San Cristóbal i okolicznych miast czy wsi od dawna mają problemy – techniczne, ale też finansowe – z utrzymaniem regularnego dostępu do wody pitnej. A to wszystko właśnie z powodu lokalizacji: fatalnej dla mieszkańców, idealnej dla kapitalistycznych interesów globalnych korporacji.

Na rogatkach miasta znajduje się bowiem rozlewnia koncernu Coca-Cola. Na terenie kraju prawa do butelkowania kultowego napoju i pozostałych z firmowej oferty ma Femsa, jedna z największych i politycznie najbardziej wpływowych spółek w całym Meksyku. Bliskie związki z nią miał chociażby Vicente Fox, prezydent w latach 2000-2006. Zanim wszedł na stałe do polityki, wspinał się po szczeblach kariery właśnie w Coca-Coli. Zaczynał w wieku 23 lat, rozwożąc butelki po zatłoczonych dzielnicach Mexico City, żeby z czasem awansować na szefa krajowego oddziału spółki, a potem na prezesa całego latynoamerykańskiego ramienia koncernu. Jego prezydentura naznaczona była licznymi skandalami, od afer korupcyjnych, przez związki niektórych członków administracji z gangami narkotykowymi, po naruszenia procedur demokratycznych na każdym etapie działania państwa. Oprócz autokratycznych zapędów Fox zdradzał jednak smykałkę do interesów w liberalnym stylu. Jako wielki fan NAFTA, rozmontowanego już przez Donalda Trumpa Północnoamerykańskiego Układu o Wolnym Handlu, pozwalał amerykańskim korporacjom szaleć w Meksyku bez względu na konsekwencje. Jednym z beneficjentów była jego dawna firma – Coca-Cola, za pośrednictwem Femsy otrzymująca setki milionów dolarów w ulgach podatkowych i rządowych zapomogach. A przede wszystkim krok po kroku przejmująca za bezcen meksykańskie ujęcia wody pitnej.

Tak stało się w Chiapas. Jak donosi „New York Times", lokalna rozlewnia Femsy zużywa dziennie ponad 300 tys. galonów (ponad 1,1 mln litrów) wody pitnej. Zyskuje nie tylko na prawach do korzystania z miejscowych źródeł, ale też na niezwykle rozwiniętej sieci dystrybucji i roli, którą coca-cola jako napój odgrywa we współczesnym Meksyku. Ponieważ rozlewnie praktycznie nie muszą płacić za surowce, mogą swój produkt sprzedawać relatywnie tanio. A że monopolizują zużycie wody, ograniczają konkurencji jej dostępność. Skutek – butelkę coli w Meksyku łatwiej kupić niż butelkę wody mineralnej, a cena obu napojów jest porównywalna. Często nawet napoje gazowane są tańsze niż sama woda, bo koszty rozlewania i dystrybucji tej drugiej nie są zmniejszane dzięki rządowemu wsparciu. To z kolei przekłada się na ogromne problemy zdrowotne miejscowej ludności, bo cola zamiast wody to prosta droga do masowej cukrzycy.

Odpowiedź władz globalnej korporacji na zarzuty zaniedbywania zdrowia publicznego i sprzedaży uniwersalnego dobra, jakim jest woda pitna, jest dość przewidywalna. Femsa generuje przychód, daje ludziom pracę, jest kołem zamachowym gospodarki całego stanu. I rzeczywiście, według oficjalnych danych Chiapas zyskuje ponad 200 mln dol. na obecności rozlewni, w której pracuje na co dzień ponad 400 osób. Liczby te jednak nie odpowiadają na pytanie, czy to właściwa cena za zagwarantowanie ludziom możliwości korzystania z wody pitnej.

Butelkę coli w Meksyku łatwiej kupić niż butelkę wody mineralnej, a cena obu jest porównywalna.

Zakłady Coca-Coli, ale również innych koncernów spożywczych, np. Nestlé czy Danone, są tak bardzo dochodowe właśnie dlatego, że władze wielu państw pozwalają

eprasa.pl 121512869e

WHO szacuje, że ponad 2,2 mld ludzi na świecie nie ma regularnego dostępu do czystej wody.

na ich budowę w bezpośrednim sąsiedztwie ujęć wody. Sprawia to, że dane źródło, strumyk, akwen staje się prywatny i nawet jeśli wciąż coś z niego wypływa i trafia do publicznego użytku, firmy te mają pełne prawo pobierać za wodę haracz. To zjawisko powszechne w krajach rozwijających się. WHO szacuje, że ponad 2,2 mld ludzi na świecie nie ma regularnego dostępu do czystej wody. Do tego trzeba doliczyć ponad 450 mln osób, które czerpią wodę ze źródeł całkowicie prywatnych. Oznacza to, że spółki odpowiedzialne za dostawy nie podlegają wcale lub podlegają w minimalnym stopniu regulacjom rządowym. Dotyczy to zarówno cen, dostępności, przerw w dostawach, jak i kontroli bakteryjnej i czystości wody dostarczanej do domów, szkół bądź publicznych studni.

Ekspansja globalnych koncernów w kwestii kontroli nad źródłami wody nie zawsze bezpośrednio dotyczy ich głównej działalności. Często służy jako element łańcucha produkcyjnego lub wręcz ubezpieczenie na gorsze czasy na rynku. Przykładem takiej polityki względem zasobów wodnych jest chociażby coraz większa obecność odzieżowego koncernu Benetton w argentyńskiej Patagonii. Początkowo włoska firma skupowała tereny pod pastwiska, tworząc własne hodowle owiec i uniezależniając się w ten sposób od dostawców z innych części świata, tąpnięć na globalnych rynkach i biznesowych kataklizmów. Z czasem jednak imperium rodzeństwa Benetton osiągało coraz większe rozmiary, rosły też koszty jego utrzymania. Szybko zorientowano się, że wraz z kolejnymi zakupami gruntów, na które rząd federalny w Buenos Aires patrzył bardzo przychylnie, bo sprzedawał przecież ziemię „niczyją", warto zainwestować w te obszary, na których znajdują się źródła wody pitnej. W ten sposób nie trzeba będzie nikomu płacić za wodę potrzebną do utrzymania hodowli. Od pierwszego zakupu ziemi w 1991 r. minęły już prawie trzy dekady. Dopiero niedawno w obronie rdzennych mieszkańców tych terenów, ludu Mapucze, stawać zaczęły światowe organizacje pozarządowe. Dla Indian prywatyzacja źródeł wody oznaczała ryzyko wyginięcia – nie mieli gdzie poić swoich zwierząt, musieli migrować dalej na południe lub przechodzić przez Andy na terytorium Chile. W dodatku wiele z tych sprywatyzowanych źródeł miało charakter sakralny lub znajdowało się w bezpośrednim sąsiedztwie miejsc kultu i pochówku.

Gonzalo Sanchez, argentyński dziennikarz śledczy, autor dwóch książek na temat prób wyparcia Indian Mapucze z Patagonii, sądzi, że właśnie duchowy aspekt odebrania im możliwości korzystania z wody pitnej jest najboleśniejszy. „Są związani z tą ziemią przez naturę i przez przodków, których tu chowali, przez ich duchy. Odcięcie ich od możliwości życia w symbiozie z wodą zabija ich tożsamość", pisze w książce „Lost Patagonia" („Utracona Patagonia").

Prywatyzacja ujęć wody to nie tylko problem dawnego Trzeciego Świata. Według danych EPA, amerykańskiej agendy rządowej zajmującej się ochroną środowiska, wodę z prywatnych źródeł dostaje 15% mieszkańców USA. W Irlandii (i innych krajach europejskich) odsetek ten jest znacznie wyższy – wynosi aż 40%. Czasem wynika to z uwarunkowań geograficznych, decentralizacji usług, ale często – jak np. w Chile – jest konsekwencją prywatyzowania wszystkich możliwych obszarów działalności państwa. Fakt, że wodę można sprywatyzować, powoduje także bardzo niebezpieczną konsekwencję – przekonanie, że na wodzie można (i warto) zarabiać.

Już w tej chwili nie jesteśmy daleko od momentu, w którym dostępność wody w kranie czy publicznej fontannie zależeć będzie od decyzji pojedynczego prezesa spółki. Blisko współpracujące francuskie korporacje Suez i Vivendi, odpowiedzialne za dostęp do wody prawie 230 mln ludzi w Europie i Afryce Północnej, niejednokrotnie w ostatnich latach dawały do zrozumienia urzędnikom w Paryżu, że muszą otrzymywać większe ulgi i wsparcie w ekspansji na amerykański rynek, w przeciwnym razie kurki mogą zostać – nawet na chwilę – zakręcone. Jeżeli doda się do tego katastrofę klimatyczną, szalejące w Europie susze i ryzyko, jakie niesie to dla produkcji żywności, widać gołym okiem, że woda jest już najważniejszym surowcem – i dla ludzi, i dla rynków finansowych. ■

Wodę z prywatnych źródeł dostaje 15% mieszkańców USA i aż 40% Irlandczyków.

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 121512869e

Sowy wyglądają jak my. Duża głowa, dziób jak nos i frontalnie położone oczy do złudzenia przypominają ludzką twarz

Być jak sowa

Jacek Karczewski

18 grudnia 1994 r., departament Ardèche, południowo-wschodnia Francja. Trzech grotołazów znajduje skalną szczelinę, która prowadzi do dawno zapomnianej jaskini. Po chwili śmiałkowie stają w wielkiej jak pałacowa komnata grocie, jednej z wielu, które razem z łączącymi je korytarzami ciągną się na długości ponad pół kilometra. Ich ściany pokrywają prehistoryczne malowidła zwierząt. Mamuty i tak samo włochate nosorożce, tarpany, tury, żubry, jelenie. Obrazy typowe dla tego typu galerii. Ta jednak już na pierwszy rzut oka jest wyjątkowa, bo wielkim trawożercom towarzyszą hieny, lwy, pantery i niedźwiedzie jaskiniowe. Badacze doliczą się tam ponad 300 rysunków zwierząt 12 różnych gatunków. Wszystkie uderzają realizmem, a jeszcze bardziej artyzmem. W pewnym momencie zaskoczeni przybysze zdają sobie sprawę, że ktoś im się przygląda… Wielka głowa, dwoje, jak się z bliska okazało, lekko zamazanych oczu i sterczące uszy. To mogła być tylko sowa! Najprawdopodobniej uszatka. A może jakiś wymarły gatunek? W każdym razie dzisiaj znamy ją jako sowę z jaskini Chauvet, którą pewien utalentowany jaskiniowiec narysował jakieś 38 tys. lat temu, poświęcając jej całą ścianę, z daleka od innych zwierząt. Wiedział, że sowy swobodnie obracają głowę, bo sportretował ją od strony pleców, ale patrzącą na wprost. Najstarszy znany rysunek sowy i w ogóle jakiegokolwiek ptaka. Początek naszej *love & hate* (anglojęzyczny zwrot, który znaczy miłość i nienawiść, a którym opisuje się burzliwe związki oparte na przeciwstawnych uczuciach) relacji z sowami?

Nasi przodkowie, zamieszkujący groty i szałasy zbieracze, a czasami myśliwi, spędzali niewiele czasu na poszukiwaniu jedzenia i tropieniu zdobyczy. Wszystkiego razem może tydzień w miesiącu. Reszta to był czas wolny. Mieli go aż nadto, żeby wymyślać języki, rytuały, religie i sztukę. Tym bardziej że coraz większy mózg, nasza ewolucyjna specjalność, ciągle domagał się zajęcia. O nudzie nie mogło być mowy. Natura dostarczała (i wciąż dostarcza) nieograniczonej liczby bodźców i inspiracji. Tak narodziła się sowa z Chauvet oraz niezliczone korowody innych zwierząt i postaci z jaskiń rozrzuconych po całym świecie. Malowidła sów pojawiają się również w innych miejscach. Te najbardziej znane, choć dużo młodsze, to rodzina sów śnieżnych z jaskini Trois Frères u podnóża francuskich Pirenejów oraz jeszcze jedna śnieżna z niedalekiej jaskini Le Portel. Kolejny dowód na to, że jeszcze 10 tys. lat temu nasz kontynent pokrywał ogromny lądolód, a tam, gdzie go nie było, rozciągała się tundra. Jak się okazuje, w surowym klimacie dobrze radziły sobie nie tylko sowy śnieżne, mamuty czy renifery, ale też ludzie. W każdym razie mieli czas na sztukę.

Według Światowej Listy Ptaków na Ziemi żyje dzisiaj 249 różnych gatunków sów.

•

Sowy są wyjątkowe pod wieloma względami, ale z naszego punktu widzenia chyba najbardziej niezwykłe jest to, że ktokolwiek którąś z nich zobaczy – dziecko czy dorosły, prawdziwą czy wystylizowaną postać z kreskówki – wie, że to sowa. Zapytasz, kiedy ostatnio widział jakąś na żywo – najczęściej nie widział wcale. Międzykulturowy, ogólnoludzki fenomen. Dlaczego? Bo sowy wyglądają jak my. Duża głowa, dziób jak nos i frontalnie położone oczy do złudzenia przypominają ludzką twarz. W każdym razie tak nam się wydaje… My, ludzie, jesteśmy genetycznie zaprogramowani na widzenie twarzy nawet tam, gdzie jej nie ma – np. w masce samochodu, w unoszącej się na kawie piance czy na pełnej tarczy księżyca. Przy nich twarz sowy wydaje się oczywista. Obcując

eprasa.pl 121512869e

z sową, mamy wrażenie, jakbyśmy byli w towarzystwie istoty rozumnej, a spojrzenie jej wielkich oczu daje nam złudzenie porozumienia, a nawet więzi. Wyprostowana sylwetka, czujne uszy (choć nie u wszystkich), piękny rysunek na miękkich jak jedwab piórach oraz ta szczególna aura – połączenie ciszy i pewności siebie – przydają jej jakiejś arystokratycznej wyższości. Wszystko to sprawia, że ludzie przy sowach zachowują się inaczej niż w towarzystwie innych zwierząt. Ale sowa to ptak sprzeczności. (…) Nocny łowca i jednocześnie totem kobiet. Ptak wiedzy i ptak przeklęty. Bo niby taka rozumna, a działa pod osłoną ciemności, jakby miała złe intencje albo coś do ukrycia, tak jak złodzieje, mordercy, duchy i różni nieumarli. (…)

•

Z ewolucyjnego punktu widzenia za pierwszą sowę wielu uważa *Ogygoptynx wetmorei*. Żyła jakieś 60 mln lat temu, a jej szczątki znajdowane są w Ameryce Północnej. Odrębne zdanie w tej kwestii zgłosił Heimo Mikkola, uznawany za największy europejski, jeśli nie światowy autorytet od sów. Jego zdaniem pierwsze sowy pojawiły się na Ziemi już pomiędzy 70 a 135 mln lat temu, czego mają dowodzić fragmenty szkieletów odkryte w Rumunii. *Ogygoptynx* zdaniem fińskiego supereksperta i sowoholika może być wspólnym przodkiem i ogniwem łączącym wszystkie współczesne sowy. Prasowa z Ameryki na pewno żyła w czasach wielkiego rozkwitu swojego plemienia i chyba nikogo nie zdziwi, jak powiem, że w trzeciorzędzie miał też miejsce prawdziwy wysyp gryzoni. Z bujnych prehistorycznych traw co chwila popiskiwał nowy gatunek myszy, szczurów lub norników. Sowy nie mogły pozostać obojętne na taki urodzaj i odpowiedziały własnym. Podzieliły się na dwie rodziny, płomykówkowate i puszczykowate, a każda eksplodowała wieloma nowymi gatunkami. 20 mln lat temu na Ziemi były już sowy należące do wszystkich rozpowszechnionych obecnie rodzajów – *Bubo*, *Asio*, *Otus*, *Strix* i *Tyto* (odpowiednio puchacze, uszatki, syczki, puszczyki i płomykówki). Nie ma jednak dowodów na to, że którykolwiek ze współczesnych gatunków pojawił się na scenie wcześniej niż w plejstocenie, czyli przed 3 mln lat.

Znane nam dzisiaj sowy to tylko część dużo większego kiedyś rzędu. Szczególnie w przypadku płomykówek więcej jest gatunków wymarłych niż żyjących. Największe, o których wiemy, mierzyły ponad metr wysokości i ważyły co najmniej 10 kg. Dwa-trzy razy tyle, co współczesne puchacze. *Tyto gigantea* żyła w rejonie Morza Śródziemnego, a *Tyto pollens* na Karaibach. Ta druga mogła przetrwać w kilku odosobnionych lokalizacjach do czasów historycznych, jej los został jednak przesądzony wkrótce po tym, jak na rajskich wyspach osiedlili się ludzie. Wiele wskazuje na to, że olbrzymie sowy nie latały, a sądząc po wielkości stóp i szponów, mogły siać grozę nawet wśród tamtejszych kapibar, które dopadały albo w biegu, albo z zasadzki.

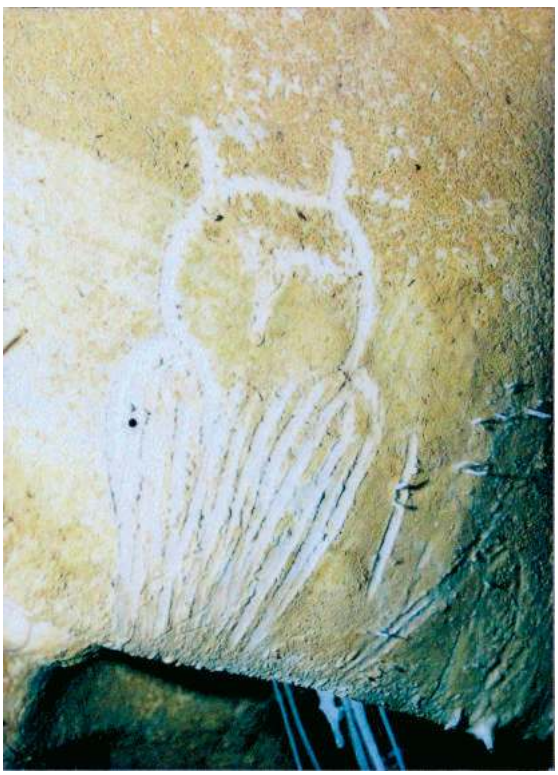

Wizerunek sowy z jaskini Chauvet liczy ok. 38 tys. lat.

•

Według Światowej Listy Ptaków (*World Bird List*) na Ziemi żyje dzisiaj 249 różnych gatunków sów. 19 należy do rodziny płomykówek, pozostałe 230 to puszczykowate. Jeszcze w roku 2015 na pytanie o to, ile mamy sów, ornitolodzy odpowiedzieliby, że 240, w 2008 –189, a 30 lat wcześniej, że zaledwie sto trzydzieści kilka gatunków. Nie, nie odkryliśmy w międzyczasie ponad 100 nowych, a zaledwie dwa: sowicę szarolicą z indonezyjskiej wyspy Sumba, którą naukowcy opisali w roku 2001, oraz sóweczkę kasztanowatą znalezioną w 2002 roku w Brazylii. Wysyp nowych gatunków pojawił się wraz z dostępem do DNA ptaków. Tym razem nie odkrywaliśmy ich na odludnych wyspach ani w dziewiczych lasach deszczowych, ale w laboratoriach. Wiele różnych ras, które tradycyjnie uważano za podgatunki, z genetycznego punktu widzenia okazało się niezależnymi gatunkami. Badania i dyskusje wciąż trwają, więc z całą pewnością jeszcze nieraz usłyszymy o nowych, choć dawno odkrytych zwierzętach. Zresztą ewolucja ciągle trwa i to, co dzisiaj widzimy, to jedynie bieżący stan odysei życia na Ziemi.

Koncepcje gatunków oraz ich listy bez wątpienia są potrzebne. Pomagają nam opisać i zrozumieć świat przyrody. Musimy się jednak pogodzić z faktem, że wiele z naszych definicji ma charakter umowny. I tak umówiliśmy się, że kluczowym kryterium przynależności do danego gatunku jest możliwość reprodukcji. Zwierzęta należące do tego samego gatunku mogą swobodnie się rozmnażać, czego owocem jest płodne potomstwo, które zapewni swojej linii ciągłość. (…) Zgodnie z przyjętą definicją zwierzęta należące do różnych gatunków nie mogą się ze sobą łączyć. Ale zwierzęta lubią seks i nierzadko dochodzi do międzygatunkowych mezaliansów. (…)

Na tle innych ptasich rodzin sowy i tak są wyjątkowo powściągliwe. Mają jeden z najniższych odsetków hybrydyzacji: zaledwie 1%. Mimo to w Ameryce regularnie krzyżują się ze sobą syczek krzykliwy z zachodnim oraz zachodni z plamistym. No trudno… Sen z powiek przyrodników spędzają za to romantyczne związki puszczyków kreskowanych z plamistymi. Wszystko dlatego, że te drugie są gatunkiem zagrożonym wyginięciem. Głównym powodem jest

FOT. DOMENA PUBLICZNA/WIKIPEDIA, ADOBE STOCK

eprasa.pl 121512869e

postępujący zanik siedlisk (starych lasów), co dodatkowo wystawia je na z góry przegraną rywalizację z większym i silniejszym puszczykiem kreskowanym. Krzyżowanie się z innym, dużo liczniejszym gatunkiem może tylko przyśpieszyć rozmycie, aż wreszcie zanik czystej puli genowej. Ciekawe, że puszczyk kreskowany najczęściej bezceremonialnie przepędza lub po prostu eliminuje puszczyki plamiste ze swoich rewirów. Są jednak takie, które znalazły na niego sposób – sypiają z wrogiem.

I tak w amerykańskich lasach kluja się kolejne puszczyki hybrydowe. Mają już nawet swoją żargonową nazwę – *Sparred Owl*. W bardzo wolnym tłumaczeniu mogłaby ona brzmieć „puszczyk plaskowany". Po angielsku plamisty to *Spotted*, a kreskowany to *Barred Owl*. Lubiący zabawy z językiem Anglosasi skrzyżowali obie nazwy, tak jak krzyżują się ze sobą obydwa gatunki. W naszych lasach dzieje się podobnie. Skłonność do łączenia się puszczyka uralskiego ze zwyczajnym, zewnętrznie dwóch zupełnie różnych gatunków, była największym wyzwaniem, z jakim borykali się niemieccy przyrodnicy w projekcie reintrodukcji uralskich. Dobrze znane są też m.in. krzyżówki puchacza zwyczajnego z puchaczem pustynnym. W jednym i w drugim przypadku owocem tych związków jest chętne i płodne potomstwo!

•

Wbrew dawnym przekonaniom sowy nie są spokrewnione ze szponiastymi, czyli dziennymi ptakami drapieżnymi. Te ostatnie zresztą też są bardzo zróżnicowane i przynajmniej niektóre rodziny bardziej łączy nasza tradycja i układ przewodników o ptakach niż DNA. Zewnętrzne podobieństwo to tylko konwergencja, jakiej w przyrodzie pełno: niespokrewnione ze sobą gatunki, żyjąc w podobny sposób w podobnym środowisku, upodabniają się do siebie wyglądem.

Nie powinno nas to dziwić, bo pod osłoną nocy sowy robią dokładnie to, co szponiaste za dnia – zabijają i zjadają inne zwierzęta. Kiedyś sowy kojarzono z owadożernymi lelkami, z którymi dzielą nocne nieba. Dzisiaj jednak uważa się, że sowom genetycznie bliżej jest do papug oraz spokrewnionych z papugami… sokołów! Lelki z kolei według najnowszych ustaleń ciążą ku jerzykom i kolibrom.

Sowy pohukują i pokrzykują ze wszystkich wielkich lądów, a także z wielu wysp i wysepek. Nie ma ich tylko na Antarktydzie i okolicznych wyspach. Najwięcej różnych gatunków żyje w Ameryce Południowej i wbrew temu, co często o nich myślimy, sowy wolą cieplejsze klimaty. Niektóre mają niewielkie, endemiczne zasięgi oraz populacje, które w najlepszym razie liczą kilkadziesiąt ptaków. Tak jak maleńka wąsówka odkryta w 1976 r. w Peru, którą do tej pory widziała garstka osób w zaledwie trzech lokalizacjach. W tej smutnej kategorii są też syczki złowrogie, stokowe i krótkouche z Komorów, syczek brązowy z Indonezji, pójdźka leśna z Indii oraz wspomniana już sóweczka kasztanowata z Brazylii. Co do płomykówki brunatnej, której całym światem były zagubione w archipelagu Moluki malutkie wyspy Sula, nikt nawet nie ma pewności, czy ona w ogóle jeszcze istnieje. Tymczasem jej kuzynka, płomykówka zwyczajna, zamieszkuje wszystkie kontynenty – oczywiście z wyjątkiem Antarktydy i… być może Australii. Tuż za nią leci sowa błotna.

Sów nie ma tylko na Antarktydzie i okolicznych wyspach. Najwięcej różnych gatunków żyje w Ameryce Południowej.

Wbrew temu, co często o nich myślimy, sowy wolą cieplejsze klimaty.

Za wielkich czempionów możemy też uznać klan puszczyków. Tylko 21 gatunków, za to co najmniej jeden, a często dwa lub trzy z nich znajdziemy niemal w każdym lesie pomiędzy Arktyką i zwrotnikiem Raka. Niektóre wciąż mają kilkumilionowe populacje, co dzisiaj zdarza się tylko największym szczęściarzom. Sowy, jak to drapieżniki, nigdzie nie są częste, ale na tle innych ptasich rodzin mają się stosunkowo dobrze. Najwyraźniej w świecie zdominowanym przez dziennych z natury ludzi wybór nocnego życia okazał się dobrą strategią na przetrwanie. Wydaje się, że przynajmniej dopóki nie zabetonujemy całej Ziemi i nie wytrujemy wszystkiego, co na niej żyje, mądre sowy znajdą dla siebie dość jedzenia i dalej będą pohukiwać z mroków nocy.

•

Nie bez znaczenia jest fakt, że różne sowy zajmują bardzo różne siedliska i krajobrazy. To po części tłumaczy też wielkie zróżnicowanie ich wagi i rozmiarów. Ważący 4,5 kg puchacz japoński jest ponad 100 razy cięższy od maleńkiej kaktusówki z południowego zachodu Ameryki Północnej. Kaktusówka wygląda jak każda typowa sowa, tyle że w miniaturze. Nic dziwnego, że w anglojęzycznej literaturze nazywają ją elfem, *Elf Owl*. Przy średniej wadze 40 gramów i wielkości najwyżej wróbla nie pozostało jej nic innego jak zamiast na gryzonie polować na owady i pajęczaki. Musi tylko pamiętać, żeby chwytając skorpiony, najpierw pozbyć się ich kolca jadowego. Przy jej rozmiarach sama musi mieć się cały czas na baczności. Kaktusówka ma przy tym nerwy ze stali. Gdy wpada w zęby jakiegoś drapieżnika, bardzo przekonująco udaje martwą, a kiedy ten zluzuje uścisk – ucieka!

Bycie sową, dużą czy małą, przeważnie oznacza widzenie w ciemnościach, słyszenie tego, czego nikt inny usłyszeć nie może, i bezgłośne poruszanie się. Trzy cechy, które składają się na definicję typowej sowy oraz tworzą jej ekologiczne USP, *Unique Selling Proposition* (USP możemy przetłumaczyć jako wyróżniającą cechę produktu – coś, czego nie mają inne podobne towary lub usługi, a co z reguły jest mocno akcentowane we wszelkich działaniach marketingowych). Pozwoliły one też sowom zająć wolną od konkurencji (innych skrzydlatych drapieżników) niszę – noc.

Fragmenty książki Jacka Karczewskiego *Noc sów. Opowieści z lasu*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2020

eprasa.pl 121512869e

Oko i ucho dyplomaty

Dyplomacja to nie tylko żelazne argumenty, którymi można rozmówcę przekonywać. To także umiejętności miękkie, rozładowywania złej atmosfery, skracania dystansu. Ale także umiejętność patrzenia i słuchania, żeby osobę z drugiej strony biurka lepiej rozumieć.

Właśnie o tym opowiada Jakub T. Wolski, wiceminister spraw zagranicznych w czasach premiera Marka Belki, w książeczce „Dyplomatyczny cicer cum caule". Warto przypomnieć z niej dwie anegdoty.

Pierwsza to opowieść gen. Edwarda Rowny'ego, uczestnika, a potem szefa amerykańskich delegacji w rokowaniach rozbrojeniowych w latach 70. i 80., od Nixona po Busha seniora. Ojciec Rowny'ego był Polakiem, on sam mówił też po rosyjsku i wspominając rozmowy SALT II w Genewie w latach 1973-1979, przytacza taką historyjkę:

„Przy jednej z okazji zaprosiłem radzieckich negocjatorów na wspólną wycieczkę statkiem po Jeziorze Genewskim. Nie potrafiąc inaczej skłonić ich do odprężenia się, wyjąłem harmonijkę ustną. Kiedy zagrałem na niej »Poliuszko, polie« (piosenkę dziecięcą), zaczęli ją nucić. Kiedy zagrałem im »Podmoskownyje wieczera«, zaczęli tańczyć. W odpowiedzi na moje wykonanie pieśni »My, komunisty« utworzyli taneczny wąż i buszowali po całym statku.

Ale to nie koniec zabawy. Później minister Władimir Siemionow zebrał od zaskoczonych widzów kolekcję dolarów, rubli oraz szwajcarskich i francuskich franków.

– Podzielimy się *fifty-fifty* – powiedział do mnie. Ale gdy wyciągnąłem rękę po swoją część, włożył ją do kieszeni. – Miałeś stuprocentową przyjemność, grając. Ja będę miał stuprocentową przyjemność, wydając pieniądze – dodał.

Fifty-fifty. Tak Rosjanie rozumieli uczciwy interes".

Jeżeli poznaliśmy już Rosjan i Amerykanów, spójrzmy na Francuzów. Ich z kolei wspomina Andrzej Wielowieyski, przy okazji Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy:

„Było to w czasie drugiej interwencji w Iraku w 2003 r. Polska i większość krajów Europy Środkowej wraz z Anglią postanowiły wspomóc Stany Zjednoczone, ku ogromnemu oburzeniu Francji, a także Niemiec. To wtedy prezydent Chirac wypowiedział słynne zdanie o Polsce, która nie skorzystała z okazji, by siedzieć cicho. Było to w czasie trwania sesji Zgromadzenia. I od razu otrzymaliśmy, jako polska delegacja, zaproszenie na spotkanie z delegacją francuską. Ich było 10 czy 12, pół na pół gaullistów i socjalistów, a nas tylko troje: Tadeusz Iwiński, Hanna Kucharska-Leszczyńska, sekretarz naszej delegacji, i ja. Przez ponad godzinę trwał huraganowy atak na nas za »zdradę Europy«. Niezwykle ciekawa i znamienna była argumentacja Francuzów, raz z prawicy, potem z lewicy, którzy się uzupełniali. Kwintesencja zarzutów pod naszym adresem i uzasadnienie, abyśmy zmienili stanowisko, polegała na następujących prostych konstatacjach: Amerykanie to głupi gangsterzy, pójście z nimi jest błędem, ale najgorsze, że daliście się nabrać tym oszustom angielskim, których dobrze znamy, a którzy świadomie rozsadzają Europę w swoim interesie, aby ją utrzymać w stanie nieładu i rozbicia".

Nie dziwmy się więc, że głównym negocjatorem Unii w sprawie brexitu został Michel Barnier, były francuski minister rolnictwa. I że negocjacje wyglądają tak, a nie inaczej.

Jakubie T. Wolski – dziękujemy Ci za lekcję dyplomacji!

Attaché

Ludzie zamknięci w domach, przyroda może odetchnąć. Lwy morskie w Mar del Plata w Argentynie.

FOT. VICENTE ROBLES/SPUTNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 121512869e

JOLKA

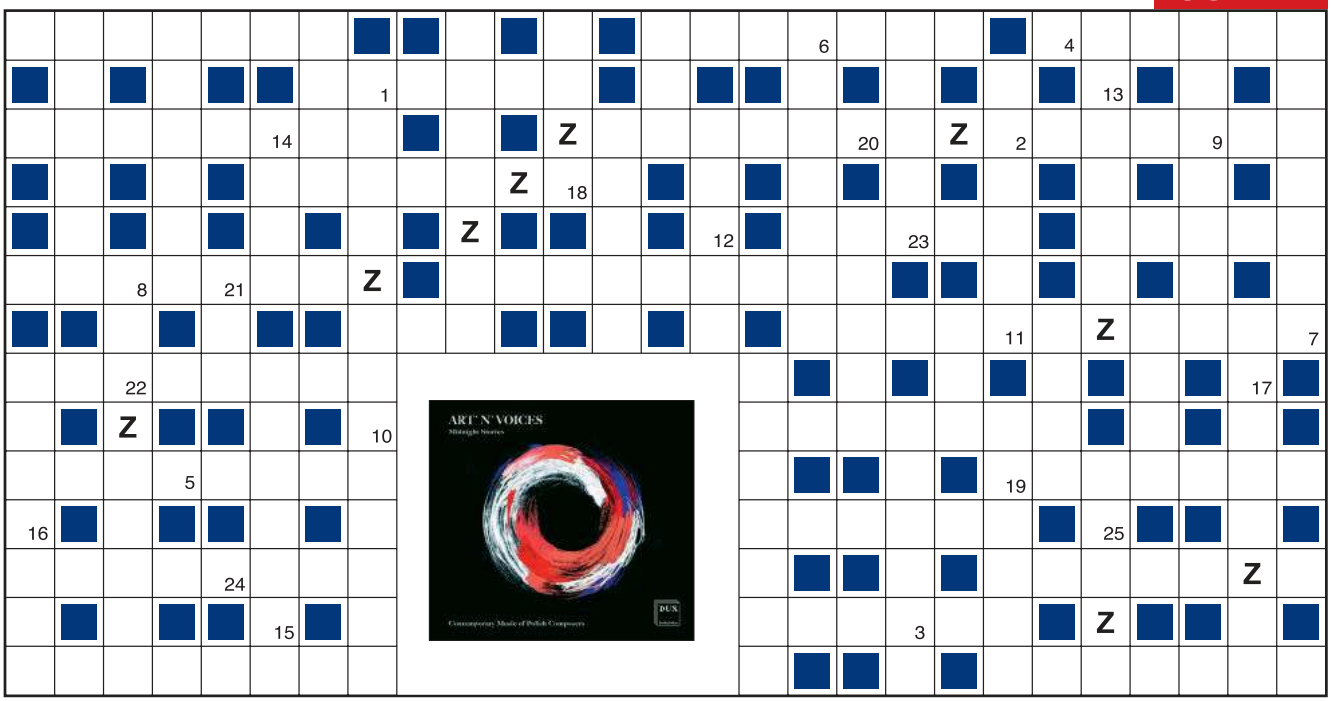

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- i doskonały byt, i wódka
- jego liście ozdobą głowicy korynckiej
- imię piosenkarki Pugaczowej
- łagodzi wstrząsy i drgania w pojeździe
- przodek z łaciny
- aperitif na jego pobudzenie
- opracowuje nową wersję piosenki
- np. Główne Akt Dawnych
- pracownia artysty
- szczególne względy, uprzejmości
- zupa z młodych buraków ćwikłowych
- dmuchanie w coś z całej siły
- nie znajdziesz tego, co on ogonem nakrył
- dawne tłumaczenie się, przeprosiny
- brzydota go razi
- wyspa nazywana dawniej Hispaniolą
- cesarzowa bizantyjska, przywróciła kult obrazów
- ineksprymable
- autor „Krytyki czystego rozumu”
- jedno z najliczniejszych plemion Indian kanadyjskich
- suknia usztywniona obręczami
- leserstwo, próżniactwo
- lady… we śnie próbowała zmyć krew z dłoni
- sentencja, aforyzm
- płakać komuś w niego to żalić się
- i w zakonie, i wśród fokowatych
- doradca królewski w dawnej Francji
- resztka, śmieć
- oprócz festiwalowego jest Lubelskie
- wietrzna, krowia lub prawdziwa
- o wiernych zjednoczonych wokół swojego pasterza
- o pojedynczym wiernym
- ząb mądrości
- Artur Noga na bieżni
- w niej fotografia lub obrazek
- żelazne pręty nad popielnikiem
- Morawiecki mówił o tyraniu za jego miskę
- proszę wstać, on idzie
- niezbyt dobra do trzymania oszczędności
- ścinek, obrzynek
- w nim zapasy zboża
- …Łaskiego – wydany w 1506 r.
- rewolwer na ślepaki
- luz, brak przymusu i ograniczeń
- założenie, które ktoś zamierza udowodnić
- słuszność, np. sformułowania
- „Born in The...”, śpiewał Springsteen
- widiowe do betonu
- pobłażliwość, tolerancja
- hrabstwo, miasto i ród z wojny Dwóch Róż
- moralne lub materialne odszkodowanie
- poręcza spłatę pożyczki

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-957”. Do rozlosowania CD zespołu Art’n’Voices „Midnight Stories” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 kwietnia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-954” z 5 kwietnia: *Do odważnych świat należy.* Nagrody otrzymują: Krzysztof Dorzynkiewicz z Płoskini, Zbigniew Grzegorzewski ze Śremu, Grzegorz Szustak z Wrocławia.

eprasa.pl 121512869e

PENETRACJE

PROF. TOMASZ MARUSZEWSKI, PSYCHOLOG

Autokraci, wydając poddanym polecenia, spodziewają się, że ci posłusznie je spełnią. Oczekują podporządkowania się. Wierzą zarazem, że są w stanie trafnie sterować całym państwem, bez względu na to, czy posiadają władzę formalną, czy też nie. Dopóki funkcjonariusze systemu będą wierzyli w moc autorytetu, dopóty będą mu posłuszni bez względu na konsekwencje swoich działań.

PIOTR MORKOWSKI, PRZEWODNICZĄCY RADY NADZORCZEJ BRAND NEW GALAXY

Warto zwrócić uwagę, jak dużo czasu spędzamy na dyskutowaniu o tym, jak ochronić swoje dane przed tym, żeby na przykład Google nie pokazywał nam reklamy, której byśmy nie chcieli, a kompletnie się nie zastanawiamy nad tym, jak te dane są wykorzystywane na poziomie państw i służb państwowych. Bo Google najwyżej pokaże ci coś, czego nie chcesz, a państwo może nawet zamknąć cię do więzienia. Słabo uświadamiamy sobie, że dostęp do danych może zmienić w twoim kraju coś, czego byś nie chciał, dane mogą pomóc komuś wygrać wybory albo zmienić ustrój.

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA, PRZEŁOŻONA WSPÓLNOTY „CHLEB ŻYCIA"

Ten niepokój będzie nam niestety towarzyszył. On mi też towarzyszy, dlatego że jestem odpowiedzialna za 10 domów dla ludzi bezdomnych i wiele innych rzeczy. W tych domach mamy między 250 a 300 osób. I jeśli się zawali, te osoby znajdą się po prostu na ulicy, a to są starzy, chorzy, bezdomni ludzie, już nie mówiąc o pracownikach tych domów, którzy muszą z czegoś żyć.

RAFAŁ OLBIŃSKI, MALARZ, GRAFIK

Sukces zawsze działa jak narkotyk. Ale potem przychodzi konstatacja, że trzeba pracować jeszcze ciężej, żeby utrzymać się na powierzchni. Sztuka dla artysty staje się całym jego życiem. Oceniają cię nie po liczbie kochanek, tylko po jakości ostatniej pracy. Sztuka to nasza modlitwa o nieśmiertelność. Chcemy, by nasze dzieła trwały dłużej niż my sami. Piszę, robię scenografie, jestem niespełnionym architektem, maluję. Każdy artysta dąży do tego, żeby odnaleźć w sobie utracone dziecko. Dlatego chyba tak mnie dziwi, gdy patrzę w lustro i widzę starego pierdziela.

Oszczepnik Marcin Krukowski podczas treningu w trakcie kwarantanny w Serocku pod Warszawą.

FOT. PAWEŁ SKRABA/SUPER EXPRESS/EAST NEWS

Aby język giętki…

JANUSZ GAJOS O ANDRZEJU DUDZIE

Prezydent nie jest dobrym aktorem, jest aktorem niewiarygodnym.

OLGA TOKARCZUK O POLITYCE

Jestem zmęczona przepychaniem z ironicznym uśmieszkiem partykularnych celów. Malutkimi nocnymi zamachami stanu.

PROF. TADEUSZ GADACZ O NADZIEI

Nadzieja to nie jest przylepiec z opatrunkiem. To jest coś, czemu trzeba wychodzić naprzeciw, nie myśląc o tym, co teraz.

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Szaleńczo, bezwzględnie i nieodpowiedzialnie – i pod względem moralnym, i każdym innym – prze do wyborów za wszelką cenę.

ANNA SENIUK O IMPULSIE

Kupiłam drewnianą chatkę w opuszczonej wiosce pod Przemyślem, z widokiem na Bieszczady.

JERZY PILCH O SOBIE I ŻONIE

My mamy usposobienia z lekka faszyzujące. Lubimy ład, wysiłek, skrajne warunki, silną dyscyplinę, realizację planów do punktu. Dzięki takim podwojonym cechom radzimy sobie.

JOANNA KULIG O MAMIE

Łagodziła moją nadwrażliwość i strach o pierdoły. Wychowała pięcioro dzieci i wychowuje jedenaścioro wnuków.

BARTOSZ BIELENIA O KOBIETACH

Zawsze w życiu ciągnąłem do kobiet. Wsłuchiwanie się w ich perspektywę otwierało mi oczy na inny świat.

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA O SYMBIOZIE Z MĘŻEM JANEM

Jak idzie kupować coś do domu, to nie musi tego ze mną konsultować, bo wiem, że kupiłabym to samo, wybrałabym taki sam kolor farby.

GABRIELA MUSKAŁA O ROLACH

Musiałam się przyzwyczaić, że zawsze gram kobiety o mniej więcej 10 lat młodsze ode mnie.

eprasa.pl 121512869e

Wybaczcie zajączkowi

Pani premier Nowej Zelandii do listy zawodów kluczowych podczas pandemii oficjalnie dołączyła Wróżkę Zębuszkę oraz zajączka wielkanocnego. „Spędzają oni teraz czas w domach ze swoimi rodzinami" powiedziała Jacinda Ardern na konferencji, zwracając się do najmłodszych obywateli. „Jeśli zajączek nie dotrze do waszych domów, musimy pamiętać, że trudno mu obecnie wszystkich odwiedzić" dodała. Warto wspomnieć, że w marcu półgodzinną konferencję dla dzieci zorganizowała premier Norwegii Erna Solberg, a w Polsce szef rządu opowiada bajki na co dzień.

Posiłek z pieprzykiem

Lokal ze striptizem w Portland znalazł oryginalny sposób na przetrwanie epidemii. Dopóki w stanie Oregon nie zostanie przywrócone normalne funkcjonowanie barów i restauracji, pracownice Lucky Devil Lounge będą dostarczać jedzenie na zamówienie. Pomysł właściciela przybytku pod czerwoną latarnią był żartem, ale kiedy się okazało, że klienci są zainteresowani nową ofertą, a striptizerki nie mają nic przeciw roli kurierek – usługa weszła na rynek. Kosztuje 30 dol., a polega na tym, że dwie tancerki erotyczne w strojach służbowych (uzupełnionych o maseczki ochronne i rękawiczki) odwiedzają w towarzystwie kierowcy dom zamawiającego i dostarczają mu posiłek z wybranego lokalu. Rozebrać się do rosołu nabrało nowego znaczenia.

Szkoci uczą oszczędzać (klimat)

Po pięciu latach prac szkoccy naukowcy z Abertay University i James Hutton Institute opracowali gin przyjazny dla klimatu. Baza spirytusowa tego napitku o aromacie jałowca powstaje nie ze zbóż, których uprawa łączy się ze sporymi emisjami gazów cieplarnianych, ale z zielonego groszku, którego niewykorzystane resztki znajdują ponadto zastosowanie w produkcji paszy dla zwierząt. Wytworzenie 0,7 litra ginu Nàdar zmniejsza emisję dwutlenku węgla o 1,5 kg w porównaniu do tradycyjnej produkcji z ziaren zbóż. Cena ekologicznego trunku z groszku: nieco ponad odpowiednik 210 zł.

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 121512869e

Kreatywność i uśmiech to sposób na pokonanie strachu przed wirusem. Dzieci z Bajt Lahii w północnej Strefie Gazy w maseczkach kapuścianych, a Rosjanka w pomarańczowej.

Gromkie wirtualne NIE!

W obliczu pandemii COVID-19, uniemożliwiającej masowe protesty uliczne, hongkońska opozycja demokratyczna manifestuje swoje poglądy w grze na konsolę Nintendo. Animal Crossing polega na podróżowaniu po tropikalnych wyspach, budowaniu domów, zaprzyjaźnianiu się ze zwierzętami, przy czym w trybie *online* gracze mogą się odwiedzać. W związku z tym protestujący na swoich wyspach wyrażają przekonania polityczne, np. tworzą banery z napisem „Wolny Hongkong". „Większość ludzi na świecie chce tylko prowadzić w niej idealne wirtualne życie. Mieszkańcy Hongkongu chcą za to przenieść do niej cały nasz ruch protestu", skomentował Joshua Wong, jeden z liderów opozycji.

O nagrodę Złotego Szewca

Dziennikarze serwisu Buzz Bingo przeanalizowali ponad 3,5 tys. scenariuszy filmowych i stworzyli ranking dzieł z największą liczbą wulgaryzmów, a także listę aktorów, którzy najczęściej rzucali mięsem na ekranie. Złoty medal zgarnął Martin Scorsese za „Wilka z Wall Street". Najwięcej przekleństw (367) w ekranowej karierze wypowiedział Jonah Hill, któremu po piętach depcze Leonardo DiCaprio (361). Nie uwzględniono Bogusława Lindy? Nie chce nam się z nimi gadać…

Koronawirus w wersji audio

Markus J. Buehler z MIT zaprezentował na swoim kanale na YouTubie utwór muzyczny bazujący na budowie wirusa wywołującego COVID-19. Specjalne algorytmy przekształciły w dźwięki oraz elementy rytmiczne m.in. drżenie wirusowego białka oraz jego skomplikowaną strukturę przestrzenną. Nie wiadomo do końca, czemu służy to przedsięwzięcie, ale trzeba przyznać, że śmiercionośny patogen brzmi całkiem ładnie.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), DEMOTYWATORY.PL, MOHAMMED ABED/AFP/EAST NEWS, NEWSFLASH/MIRONOVA&MIRONOV/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD CONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 121512869e

Filmy o sztuce i artystach

Co warto obejrzeć

Tęsknimy za wizytami w muzeach, galeriach, teatrach i za wypadami do kina, ale na pierwszym miejscu stawiamy bezpieczeństwo. Prezentujemy kilka naszych filmowych propozycji o sztuce oraz ze sztuką w tle na wieczory w domu.

1. Dziewczyna z perłą (2003), reż. Peter Webber
2. Ostatnia rodzina (2016), reż. Jan P. Matuszyński
3. Mój Nikifor (2004), reż. Krzysztof Krauze
4. Frida (2002), reż. Julie Taymor

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

1.

2.

3.

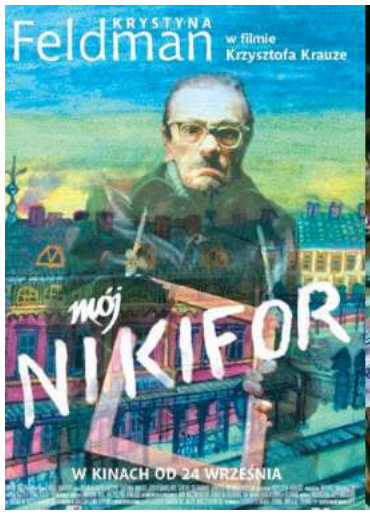

4.

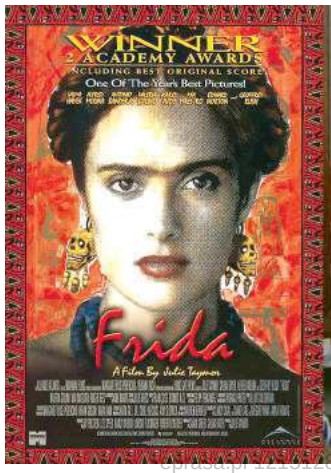

epraśa.pl 121312865c

STODOLA more than live music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY

KARAŚ/ROGUCKI

14 czerwca | Klub Stodoła | Warszawa

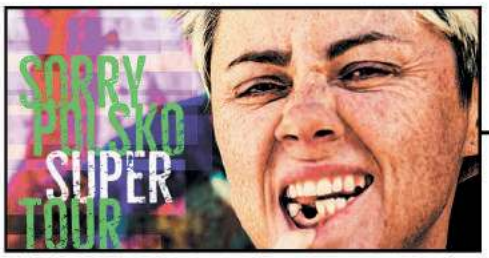

MARIA PESZEK

26 września | Klub Stodoła | Warszawa

KRÓL

1 października | Klub Stodoła | Warszawa

LADY PANK O DWÓCH TAKICH CO UKRADLI KSIĘŻYC

20 października | Klub Stodoła | Warszawa

LADY PANK

20 listopada | Klub Stodoła | Warszawa
21 listopada | Klub Stodoła | Warszawa

EDYTA GEPPERT

10 stycznia | Klub Stodoła | Warszawa

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL

DROGA DO DOROSŁOŚCI

ZACZYNA SIĘ OD TWOJEGO 1%

NATALIA
STUDIUJĄCA MAMA

BYŁA PODOPIECZNA SOS WIOSEK DZIECIĘCYCH

Opieka, stabilność i poczucie bezpieczeństwa, to wartości które odegrały ważną rolę w drodze do samodzielności i dorosłości podopiecznych SOS Wiosek Dziecięcych. To wartości, które nabierają ogromnego znaczenia, zwłaszcza teraz w obliczu kryzysu, z którym przyszło nam się zmierzyć. Pragniemy zapewnić, że robimy wszystko co w naszej mocy aby zadbać o bezpieczeństwo dzieci, młodzieży oraz rodzin, które są pod naszą opieką. Prosimy, nie zapomnij o opuszczonych i osieroconych dzieciach w tym trudnym czasie. Przekaż 1% podatku wpisując nasz **KRS 0000 056 901**.

SOS WIOSKI DZIECIĘCE

www.dziecisos.org

POMÓŻ I PRZEKAŻ 1%

KRS 000 056 901

eprasa.pl 121512869e